

Fortel

Veronica Sattler

Prolog

Pałac królewski. Baravia, kwiecień 1812

Sensacyjna wiadomość obiegła cały pałac. Służba kuchenna dowiedziała się o tym od pomywaczki, która przypadkiem podsłuchiwała rozmowę. Nowina szybko dotarła do stajni, a potem do wszystkich zakątków pałacu: dziś w południe Kapitan Lancet będzie walczyć na białą broń na dziedzińcu zamkowym.

Było to niezwykle wydarzenie. Kapitan Lancet z Królewskiej Gwardii Konnej Baravii, wspaniały szermierz, słynął ze swoich umiejętności w całym królestwie. Nikt jednak, poza kilkoma oficerami, nie był świadkiem tych mistrzowskich pojedynków, które do tej pory odbywały się bez widzów.

Dzisiaj będą mogli napatrzeć się do woli - cieszył się tą myślą kuchcik, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób wymknąć się kucharzowi, aby móc to zobaczyć. Dzisiaj będzie można przyjrzeć się jego osławionym umiejętnościom, powtarzał sobie chłopiec stajenny, myśląc, jak się wymigać od sprzątania stajni, nie zwracając na siebie uwagi koniuszego. Dzisiaj będzie prawdziwa uroczystość, mówili lokaje i naradzali się, jak umknąć przed ochmistrem. Pójdą na dziedziniec, żeby nie wiem co się działo. Lancet to mistrz w jeździe konnej w posługiwaniu się pistoletem i szablą. Ale

przede wszystkim niezrównany szermierz. Żaden mieszkaniec Baravii nie mógłby pominąć okazji obejrzenia tej walki.

Wreszcie rozległ się dźwięk dzwonu, oznajmiający południe. Białe kwietniowe słońce oświetlało zatłoczony dziedziniec. Byli tam ludzie wszystkich stanów, jedni w skórzanych fartuchach, inni w czerwono-czarnych barwach królewskich. Każdy chciał stanąć jak najbliżej sznurów, którymi otoczony był środek dziedzińca. Rozlegały się głośne rozmowy, robiono nawet zakłady, ale co bardziej przezorni nie brali w tym udziału. Co prawda, przeciwnika Lanceta poprzedzała sława niepokonanego szermierza, był też podobno o sześć lat starszy od kapitana, ale trudno było wątpić w wynik pojedynku. Lanceta nikt nie pokona.

Gwarny tłum uciszył się, kiedy czterdziestu ośmiu oficerów Gwardii Konnej wmaszerowało na dziedziniec. Gwardia Konna była doborową jednostką, najlepszym wojskiem Baravii, może nawet całej Europy. Sam król Rupert wybierał kandydatów, korzystając czasem z pomocy naczelnego wodza, hrabiego Winthera. W tej jednostce służyło pięćdziesięciu ludzi. Ta liczba była niezmienna od Deverella I, czyli od czternastego wieku, kiedy Gwardia Konna została powołana do życia.

Twarze gwardzistów nie zdradzały żadnych emocji, chociaż niektórzy zerkali na północną wieżę, gdzie znajdowały się prywatne apartamenty króla. Wiedzieli, dlaczego Lancet zdecydował się na to publiczne widowisko.

Król Rupert zachorował. Cały dwór zajęty był roztrząsaniem wiadomości o stanie jego zdrowia. Niektórzy mówili, że jest umierający. Król, który był dzielnym władcą i potrafił skutecznie chronić Barawię przed wrogami, tracił siły. Obawiano się, że teraz ich maleńkie królestwo nie będzie mogło obronić się przed atakiem Napoleona. Publiczny pokaz szermierki miał odwrócić uwagę dworu od tych kwestii i jednocześnie dostarczyć rozrywki królowi.

Oficerowie Gwardii Konnej mieli powody do zmartwienia.

Król miał tak silne bóle w klatce piersiowej, że musiał położyć się do łóżka, co nie zdarzyło się nigdy przedtem. Przez trzydzieści dwa lata swojego panowania zawsze cieszył się doskonałym zdrowiem. Chociaż był chory zaledwie od dwóch dni, polityczna sytuacja w królestwie gwałtownie się zaostrzyła. Oficerowie Gwardii Konnej dobrze wiedzieli, że aa dworze królewskim istniały frakcje, spiskujące przeciwko królowi. Frakcje, które uważały, że właściwym posunięciem jest poddanie się Napoleonowi,

Kiedy na dziedzińcu ukazali się dwaj ostatni gwardziści, w tłumie rozległy się owacje. Mieli na sobie zwykłe spodnie, luźne koszule i miękkie obuwie, podczas gdy ich koledzy ubrani byli w czarno-czerwono-złote galowe mundury gwardii i wysokie, błyszczące buty. Bohaterowie dnia mieli rapiery o drugich klingach, zamiast paradnych szabli gwardzistów.

Szermierze oddali honory wojskowe hrabiemu Wintherowi, który ukazał się na balkonie w towarzystwie premiera i kilku dworzan. W tłumie zapanowała cisza.

Porucznik Broyer - zastępca kapitana Lanceta, dowódcy gwardii - wystąpił z szeregu.

- Ogłaszam - oznajmił donośnym głosem - że kadet Jamek Hillott staje dziś do pojedynku na rapiery z kapitanem gwardii. Według regulaminu, ustanowionego przez króla Deverella Pierwszego, każdy kandydat do Gwardii Konnej Jego Królewskiej Mości musi przejść tę próbę. Kadecie Hillott – Broker zwrócił się teraz do muskularnego, rudowłosego młodzieńca - czy jesteś gotów?

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedział Hillott; był o głowę wyższy od swojego przeciwnika.

- Kapitanie Lancet?

- Gotów - brzmiała odpowiedź Lanceta.

Kapitan gwardii różnił się od swojego współzawodnika również drobniejszą budową ciała.

Porucznik skinął głową i wstąpił do szeregu.

- Zaczynajcie! - zawołał.

Przeciwnicy podnieśli rapiery na wysokość czoła, mierząc się wzrokiem. Pierwsze pchnięcie należało do Lanceta. Był to genialny atak, szybki i bezbłędny. Ale Hillott odpierał błyskawicznie każdy sztych kapitana. Rapiery krzyżowały się

w powietrzu z niesłychaną szybkością. Było już oczywiste, że obaj przeciwnicy są mistrzami we władaniu białą bronią.

Zebrany tłum ogarniało coraz większe podniecenie. Pojedynek był wspaniały.

Wreszcie Hillott przeszedł do brawurowego ataku. Lancet bronił się dzielnie, odpierając każde jego pchnięcie. Tłum zamarł. Czyżby kapitan Lancet mógł zostać pokonany? Hillott był wyższy i cięższy, co stanowiło o jego przewadze. Atutem kapitana były długie nogi i szybkość. Obaj przeciwnicy byli silni i świetnie wyszkoleni. Cięcie następowało po cięciu, zasłona po zasłonie. Słychać było tylko szcęk stali uderzającej o stal i ciche szuranie butów szermierzy. Nagle rozległ się dziwny brzęk...

I już było po wszystkim. Rapier Hillotta leżał na bruku dziedzińca. Kadet nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Jak to się stało?

- To był dobry pojedynek, kadecie... a raczej gwardzisto. - Kapitan Gwardii Konnej uścisnął dłoń Hillotta. - Gratulacje. - Ręka kadeta powędrowała do góry. - Przedstawiam nowego członka Gwardii Konnej Jego Królewskiej Mości – gwardzistę Jamesa Hillotta!

Widzowie i oficerowie gwardii wznosili radosne okrzyki.

Zebrany tłum zerwał sznury i wdarł się na środek dziedzińca, aby móc dobrze się przyjrzeć nowemu

gwardziście. Oficerowie składali mu gratulacje i klepali po plecach.

Z tłumu wymknęła się jakaś szczupła postać. Kapitanowi Lancetowi udało się umknąć niespostrzeżenie, gdyby nie rozległ się donośny okrzyk starej kobiety:

- Milady, milady, proszę zaczekać!

Z ciężkim westchnieniem lady Marisa Lancet – kapitan Marisa Lancet - zatrzymała się na wołanie swojej starej niańki.

- O co chodzi, Marto?

- Och, milady, nie może pani w takim stroju stanąć przed królem! A on, biedak, jest taki chory. Nie można mu sprawiać przykrości.

Marisa westchnęła ponownie. Nie było łatwo zachować cierpliwość. Marta traktowała ją stale jak dziecko, które, z braku matki, musiała sama wychowywać, była również jedyną osobą w Baravii, która zwracała się do córki Lanceta milady. Marisa tego nie znosiła. Unikała wszystkiego, co przypominało jej, że jest kobietą. Nie mogła pogodzić się z faktem, że nie urodziła się chłopcem.

- Marto - powiedziała łagodnym tonem, starając się ukryć rozdrażnienie — Jego królewska mość widywał mnie już w stroju szermierza.

- Należy się ubrać jak przystoi damie. - Marta nie dawała za wygraną.

- Przecież sama mi powiedziałaś, że król chce mnie widzieć natychmiast po pojedynku. Muszę się więc pospieszyć.

Marta zawahała się. Król na pewno usłyszał dobiegający z dziedzińca hałas, oznaczający koniec szermierczych popisów, i czeka na Marisę. Widząc niepokój na twarzy niańki, Marisa wbiegła na schody, zadowolona, że tym razem udało się jej przechytrzyć niańkę.

Radosny uśmiech szybko zniknął z jej twarzy. Nie widziała króla od czasu, kiedy położył się do łóżka, i nie wiedziała, w jakim jest stanie. Trudno było uwierzyć w jego chorobę. Król Baravii, Rupert IV, był zawsze zdrowym, silnym mężczyzną. Nie wyglądał na sześćdziesiąt jeden lat. Był aktywny i bardzo sprawny. Jednak teraz jego lekarze stwierdzili, że już nigdy nie będzie mógł polować ani prowadzić swoich wojsk do walki.

Mimo to Marisa nie traciła ducha. Była pewna, że król opracował plan na wypadek zagrożenia ze strony Napoleona. Nie tylko król Rupert mógł stanąć na czele wojska. Stefan Lancet, hrabia Winther - jej ojciec - był doświadczonym generałem, a ona była przecież dowódcą najdzielniejszej formacji, jaką była gwardia królewska. Razem ze swoimi ludźmi będzie bronić króla i ojczyzny, nawet za cenę życia. Wszyscy mieszkańcy Baravii byli dzielnymi żołnierzami, a położenie kraju uniemożliwiało niespodziewaną napaść.

- A oto kapitan! - rozległ się donośny głos premiera Donnera. - Proszę tędy. Jego królewska mość czeka na kapitana.

Komnata królewska pogrążona była w półmroku. Znajdowali się tam, oprócz ojca Marisy, lordowie Blicker i Achten. Jeden był strażnikiem królewskiej pieczęci, a drugi ministrem skarbu. Premier wszedł do komnaty razem z Marisa. Lekarz nadworny i pisarz czekali na rozkazy króla. Królowa Sophie bawiła w tym czasie w Londynie, dokąd dość często wyjeżdżała.

- Jesteś już, kapitanie! Proszę, wejdź do środka.

Król Rupert był trochę bledszy niż zwykle, miał z lekka ściągnięte rysy, ale nie wyglądał na ciężko chorego. Siedział na łożu, podparty poduszkami, i skinął ręką na Marisę, która ten gest pamiętała z dzieciństwa. Znał ją przecież od urodzenia, był nawet jej ojcem chrzestnym.

Moim i Marka, dodała w duchu, ale nie chciała myśleć teraz o bracie. Robiła to tylko w samotności. Oczy jej pociemniały, spochmurniała, a powinna przecież powitać króla radosnym uśmiechem.

- Ależ moja droga - odezwał się monarcha. - Nie rób takiej smutnej miny. Nie mam zamiaru długo chorować. - Spojrzał groźnym wzrokiem na lekarza. - Wezwałem was wszystkich, żeby przedyskutować pewne sprawy. Sir Meerston powiedział, że ze względu na stan zdrowia muszę ograniczyć

swoją aktywność. - Znowu zerknął z wściekłością na lekarza. - Niestety, muszę się do tego zastosować. Ale, jak wiecie, może się to w tragiczny sposób odbić na sytuacji naszego kraju!

Król zrobił pauzę, żeby podkreślić powagę chwili, a Marisa stłumiła uśmiech. Rupert miał zawsze skłonność do dramatyzowania.

- Wszyscy dobrze wiemy, co nam zagraża ze strony Korsykanina - ciągnął król. - Chciałby się dostać do naszych rud żelaza, aby przekuć je na broń, którą skieruje przeciwko nam. Musimy mu w tym przeszkodzić i na pewno to zrobimy! Wysłałem właśnie trzy listy do Londynu. Jeden list wzywa do powrotu królową. Drugi nakazuje przyjazd baronowi Malsaurowi. A to - król wyciągnął rękę po list, który trzymał pisarz - jest kopia listu do następcy tronu, księcia Deverella z rozkazem natychmiastowego powrotu do kraju.

Wszyscy wymienili spojrzenia. Widać było, że premier i ojciec Marisy spodziewali się tej wiadomości. Ale ona zupełnie zapomniała o istnieniu następcy tronu. Księżę Deverell, jedyny potomek króla, został wysłany do Anglii kilka lat wcześniej, aby pobierać stosowne nauki na tamtejszym dworze. Anglia była najbliższym sprzymierzeńcem B ara vii.

Chociaż Marisa знаła młodego księcia od dzieciństwa, zupełnie o nim nie myślała, ponieważ skupiona była zawsze

na jednym - chciała być najlepszym żołnierzem, jaki kiedykolwiek służył pod komendą jej ojca.

Spojrzała na niego ukradkiem, ale on jak zwykle ją zignorował. Jednak przysięgła sobie, że nadejdzie taki dzień...

- A więc, panowie i oczywiście ty, kapitanie. – Rupert uśmiechnął się do Marisy. - Biorąc pod uwagę, że stan zdrowia nie pozwala mi dźwigać ciężaru obecnego zagrożenia, posłałem po syna. Już czas, aby następca tronu przejął te obowiązki. Ufam, że jego książęca mość nie dopuści do tego, aby nasz kraj stracił niepodległość.

1

*Carlton House, londyńska rezydencja księcia Walii,
tydzień później*

- **I** tak oto pozbyłem się kłopotu - zakończył swoje opwiadanie książe Walii.

Zebrane towarzystwo skwitowało to śmiechem. Książe regent chciał dać dobrą radę lordowi Alvanley, który nie wiedział, jak się rozstać z kochanką. Opowiedział więc o tym, jak to posłał swojej metresie pięknego konia z pożegnalnym bilecikiem przyczepionym do uzdy.

Wszyscy świetnie się bawili. Dochodziła północ, ale zgromadzeni w Carltonie towarzysze księcia, nazywanego przez przyjaciół Prinny, nie mieli zamiaru się rozchodzić. Pijackie żarty regenta bardzo się podobały jego równie nietrzeźwym gościom.

- Nacieszyć się nimi, a potem dać jakąś błyskotkę i niech idą swoją drogą, prawda, Dev? – kontynuował książe.

- Oczywiście. - Następca tronu B ara vii uśmiechnął się złośliwie. - A w przypadku waszej książęcej mości można by powiedzieć, że daje się jej możliwość odjechania, kiedy się już na niej dość najeździło.

Rozległ się głośny śmiech. Książe Deverell był również pijany, ale stan ten wyostrzał jego zmysł humoru. Był on

znany nie tylko ze swojego dowcipu, ale również z tego, że, jak to określiła lady Jersey, był nieprzyzwoicie piękny.

Książę Deverell był wysoki, miał niebieskie oczy, jasne włosy i zawsze był świetnie ubrany. Ale jego głównym atutem był bystry umysł, który wykorzystywał jedynie w celu wyszukiwania przyjemności życiowych. Ta cecha zyskała mu wielką popularność w towarzystwie.

Książę Deverell zawsze stawiał na zwycięskiego konia. Potrafił się założyć o dziesięć tysięcy gwinei i wygrać zakład. Potrafił odebrać młodziutką konkubinę austriackiemu księciu, wrzucając przez okno sypialni sonet miłosny, w który zawinał ogromny rubin.

Brał udział we wszystkich wydarzeniach towarzyskich. Widziano go na wyścigach i na polowaniach na lisa. Wszyscy znali jego lekki powóz o żółtych kołach z dwoma kłusakami w zaprzęgu. Mówiono, że zapłacił za nie przeszło dwieście tysięcy funtów. Książę Deverell nie musiał liczyć się z pieniędzmi.

- Słuchaj, Dev - odezwał się znowu książę Walii. - Podobno wyszedłeś bez pożegnania z ostatniego przyjęcia. Nie powinieneś tego robić. Damy były bardzo niezadowolone.

- Damy są tylko wtedy niezadowolone, kiedy Dev nie idzie z nimi do łóżka. - Lord Cholmondeley zaśmiał się.

- Nie idzie z nimi do łóżka! - powtórzył rozbawiony Prinny. - To świetny dowcip.

W drzwiach ukazał się marszałek dworu.

- Przepraszam, wasza książęca mość, ale przyjechał kurier z Baravii z pilną wiadomością.

- Niech lichy weźmie pilne wiadomości! Czy to dla następcy tronu? - spytał Prinny.

- Tak, wasza wysokość. Kurier ma doręczyć list do rąk własnych. Czy mam...

- Czy nie widzisz, człowieku, że jestem zajęty? – przerwał mu Deverell. - Powiedz posłańcowi, żeby poczekał do rana.

Marszałek dworu nie ruszył się z miejsca.

- O co ci jeszcze chodzi? - spytał Prinny.

- Przepraszam, wasza książęca mość, ale kurier mówi, że jest to pilna wiadomość.

- Do diabła - mruknął Deverell.

- Chyba musisz to przeczytać, Dev - powiedział książę. - Możesz skorzystać z bocznej komnaty.

Następca tronu Baravii podniósł się z trudnością, złożył ukłon gospodarzowi i reszcie towarzystwa, po czym skierował się chwiejnym krokiem do wskazanej mu komnaty.

Kiedy wrócił do stołu, ze zmiętym listem w ręku, był wyraźnie zirytowany.

- Niech to szlag trafi. Król każe mi wracać do domu.

Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością. Deverell wyjął srebrną tabakierkę z kieszeni kamizelki i spokojnie zażył

tabaki. Potem przyłożył do nosa białą, obramowaną koronką chusteczkę i kilkakrotnie kichnął.

- Już mi lepiej - stwierdził, rozglądając się dokoła. – Co mówiłem?

- Że wzywają cię do domu - odpowiedział mu Alvanley.

- Rzeczywiście, do diabła! - przyznał następca tronu. - Wcale nie mam zamiaru jechać.

- Nie masz zamiaru jechać? - powtórzył zaskoczony gospodarz, który nagle wytrzeźwiał. Królewskiemu synowi nie mieściło się w głowie, że następca tronu może nie posłuchać, kiedy ojciec go wzywa.

- Mam jutro ważne spotkanie z krawcem – powiedział nadąsany Deverell. - Ostatnia przymiarka surduta.

- Jutro masz być u krawca? - spytał Prinny. - Czy dobrze zrozumiałem, że ojciec każe ci wyruszyć natychmiast?

- No tak - potwierdził Deverell, bawiąc się chusteczką. - Podobno jest kiepsko z jego zdrowiem czy coś w tym rodzaju.

Po tym beztróskim stwierdzeniu przy stole zapanowała cisza. Tym razem Deverell posunął się za daleko.

- Chyba jednak pojedę - powiedział wreszcie niechętnie.

*Londyńska siedziba Deverella
St. James Street,
dwadzieścia minut później*

- Garrick, wstawaj szybko. Nie mamy czasu do stracenia! - wołał Deverell, stukając do pokoju swojego służącego. - Garrick!

Następca tronu zupełnie nie wyglądał na pijanego.

- Idę, idę!

W drzwiach ukazał się krępy, siwowłosy mężczyzna. Szybko rzucił okiem na stojący w holu zegar.

- O co chodzi, u licha?

- Jedziemy do domu, dziś w nocy. Spakuj to, co konieczne. Resztą zajmie się jutro służba.

- Tak - powiedział Garrick. - Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie, chłopcze. O co chodzi?

- O ojca - odrzekł Deverell poważnym tonem. - Jego królewska mość jest chory. To prawie nie do uwierzenia. Wzywa nas do domu - wszystkich - królową, Malsaura i całą resztę. Ale przede wszystkim chodzi mu o mnie.

- Oczywiście - przytaknął Garrick, idąc za księciem do jego komnaty. - Jesteś przecież następcą tronu. Chory, powiadasz? Poważnie chory?

- Znasz mojego ojca - zauważył Deverell, wyciągając z szafy ogromny kufer. - Nie przyzna się do niczego, nawet gdyby był umierający. Ale sam fakt, że mnie wzywa...

- Nie martw się, chłopcze. - Garrick położył mu rękę na ramieniu. - Nawet jeśli choroba jest poważna, nie musi być śmiertelna.

- Wiem, ale przecież... On nie miał nigdy nawet kataru!

Służący skinął głową. Popatrzyli na siebie. Garrick wiedział, jak bardzo Deverell kochał ojca. Księżę nie miał przed nim żadnych tajemnic, zresztą Garrick Quince nie był zwykłym służącym. Kiedy urodził się młody księżę, Garrick był sierżantem w armii Baravii. Został ochroniarzem małego księcia. Z biegiem czasu stał się jego powiernikiem i przyjacielem. Tylko dwoje ludzi zaskarbiło sobie ufność, szacunek i miłość Deverella: król i Garrick Quince.

- Trzeba się brać do pakowania - oznajmił Garrick, zaglądając do szafy pełnej ekstrawaganckich strojów. – Chyba będziesz potrzebował tych cudacznych ubrań?

Deverell nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok skrzywionej z obrzydzenia twarzy Garricka. Chociaż obaj już przed laty postanowili, że Deverell będzie udawał lekkoducha i zniewieściałego słabeusza, aby zmylić nieprzyjaciół króla, Garrick zawsze zżymał się na jego stroje.

- Cudaczne ubranie? Pamiętaj, Garrick, że fortel księcia Hala był twoim pomysłem.

Księżę Hal, w Henryku IV Szekspira, udawał nicponia, aby wprowadzić w błąd nieprzyjaciół króla. Przed sześcioma laty, kiedy Garrick przedstawił Deverellovi swój plan, księżę

zapoznał go z przygodami księcia Hala. Od tamtej pory zaczęli nazywać swoją maskaradę fortelem księcia Hala.

- To był bardzo dobry pomysł - stwierdził Garrick, pakując kufer. - Malsaur coś szykuje. To mi pachnie zdradą. Takie wnioski wyciągnąłem po przeczytaniu listu, który niedawno przechwyciłem.

Lord Lucien Borne, baron Malsaur został ambasadorem w Anglii przed sześcioma laty, w tym samym czasie, kiedy Deverella wysłano za granicę. Ten ulubiony dworak i zausznik królowej Sophie miał opiekować się tam następcą tronu i czuwać nad jego postępami w nauce. To stanowisko zawdzięczał wstawiennictwu królowej, ponieważ król za baronem nie przepadał. Deverell kochał matkę, ale zdawał sobie sprawę, że królowa znajduje się całkowicie pod wpływem Malsaura, a obaj z Garrickiem wiedzieli, że tego człowieka należy się strzec.

To właśnie Malsaur wprowadził młodego następcę tronu w koła lekkomyślnej, złotej młodzieży, zgromadzonej wokół księcia Walii; to on zachęcał go do szastania pieniędzmi; to on przymykał oko na wszystkie ekscesy młodego księcia, jednocześnie dyskretnie zniechęcając go do pobierania nauk, niezbędnych dla przyszłego króla. A przez cały czas ambasador wysyłał królowi entuzjastyczne raporty na temat postępów następcy tronu.

- Tak, to mój pomysł - dorzucił Garrick, wkładając ćwiczebną szablę Deverella do pochwy.

Garrick od wielu lat uczył księcia władania szablą i wszystkich sztuk wojennych, w których był niezrównanym mistrzem. Nikt nie wiedział, że następca tronu uczy się wytrwale wojennego rzemiosła.

- Ale, Garricku - powiedział Deverell - jak to będzie z moim ojcem? - Twarz mu się zachmurzyła. - Czy przed nim też będę musiał udawać?

W sztuce Szekspira ksiązę Hal był zmuszony do odgrywania Komedii również przed własnym ojcem, Henrykiem IV. Deverell też nie wtajemniczał ojca w swoje plany. Nie wiedział, co się dzieje na dworze. Garrick miał pewne informacje od swoich przyjaciół z Baravii, którzy donosili mu, że w otoczeniu króla mogą być potencjalni zdrajcy z frakcji popierającej Napoleona. Deverell nie chciał ryzykować i nie wtajemniczył ojca w sprawę swojej mistyfikacji.

- Uczyłem cię, chłopcze, logicznego myślenia. Jaką więc przyjmiesz strategię? - Garrick odpowiedział księciu pykaniem.

- Po pierwsze - odezwał się ksiązę po chwili – Malsaur nie działa sam. Wiemy też, że na dworze jest przynajmniej jedna frakcja, która dąży do obalenia króla, ale jest przeciwna planom Napoleona...

- Mów dalej - zachęcił go stary żołnierz.

- Jest wiele powodów, aby się nie dekonspirować, dopóki nie uda się nam pokonać frakcji Mai s aura i wyeliminować tych wszystkich, którzy chcieliby dokonać przewrotu, korzystając z choroby króla. Musimy poznać naszych zwolenników i zapewnić sobie ich pomoc.

- Dobrze mówisz, chłopcze.

Deverell miał dwadzieścia siedem lat, ale spodziewał się, że Garrick będzie go nazywać chłopcem do późnej starości.

- Jak myślisz, Garrick, co powinniśmy powiedzieć królowi? Jak znasz ojca, to będzie wściekły, kiedy prawdy dowie się po czasie. Ale z kolei, gdy zobaczy, że jego następcą, w którym pokłada tyle nadziei, jest zniewieściałym fircykiem, rozsierdzi się nie na żarty. Co, u diabła, mam zrobić?

Garrick, który już był gotów do wyjścia, uśmiechnął się tylko.

- Tak czy inaczej, jest źle. Ale to będzie prawdziwa próba dla przyszłego króla - podjąć decyzję w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. Tak to jest, chłopcze.

Deverell skinął głową.

- Nie wtajemniczę go, dopóki nie zorientujemy się w sytuacji. Czy tak będzie dobrze?

Garrick poklepał go po ramieniu. Fortel księcia Hala pozostanie tajemnicą.

2

Deverell wszedł do swoich komnat i zatrzasnął za sobą drzwi. Po chwili w drzwiach garderoby księcia ukazał się Garrick, który natychmiast zauważył zły humor następcy tronu.

- No i jak? - spytał tylko.

- Jej królewska mość nie była zadowolona, że wyprzedziliśmy ją w powrocie do domu - powiedział Deverell, siadając w głębokim fotelu. - Oskarżyła mnie o brak względów dla uczuć matczynych. Mówiła, że zachowałem się wyjątkowo impertynencko, nie czekając na nią przy wyjeździe z Anglii. I do tego miałem czelność zawiadomić ją o tym zwykłym bilecikiem, przysłanym przez służącego. Niech nas Bóg chroni od opiekuńczych matek! - zakończył z ciężkim westchnieniem.

Rozmowa z matką zirytowała Deverella, chociaż spodziewał się wyrzutów z jej strony. Celowo wyjechali z Anglii wcześniej, aby być w kraju, zanim dotrą tam królowa i Malsaur. Zyskali czterdzieści godzin na swobodne rozejrzenie się w sytuacji.

Przez ten czas zebrali wystarczająco dużo informacji. Na królewskim dworze panował chaos. Jak donosili szpiedzy Garricka, od czasu choroby króla trudno było stwierdzić, kto na dworze pozostaje mu wiemy. Develler i Garrick sami też

zasięgali języka. Przez te czterdzieści godzin odwiedzali w przebraniu karczmy i tawerny i przysłuchiwali się uważnie temu, co mówili prości ludzie. Wszystko to, co donosił szpiedzy Garricka, znalazło potwierdzenie.

- Królowa bardzo cię kocha, chłopcze - Garrick przerwa milczenie - chociaż trochę...

- Dominuje? - podpowiedział Deverell. - Jest nadopiekuńcza? Wprowadza różne ograniczenia?

- Tak, ograniczenia - powtórzył Garrick. - To ona nie dopuszcza cię teraz do króla.

- Nie wątpię, że robi to pod wpływem Malsaura - powiedział książe ze złością.

Natychmiast po przyjeździe chciał się zobaczyć z ojcem i dowiedzieć o jego zdrowie, ale tym razem Malsaur był szybszy: gołąb pocztowy przyniósł wiadomość dla sir Meerstona, że nikt nie ma prawa odwiedzać króla przed powrotem królowej. Królewski lekarz dostosował się rygorystycznie do tego polecenia i nie pozwolił wejść do sypialni króla nawet następcy tronu. Deverell chciał tylko spojrzeć na ojca, żeby się zorientować w stanie jego zdrowia. Jednak lekarz był nieprzejednany.

- Stan zdrowia jego królewskiej mości jest stabilny - powtarzał.

- Czy król wie, że wróciłeś? - spytał Garrick.

- Oczywiście, że nie. - Deverell roześmiał się. – Czy wyobrażasz sobie, że leżałby spokojnie w łóżku, wiedząc, że już jestem w pałacu?

- Masz rację. Wzywałby cię głosem tak donośnym, że wszyscy by to słyszeli. Kiedy go zobaczysz? - dopytywał się Garrick.

- Królowa zgodziła się, prawie pod przymusem, żeby król mógł udzielić mi audiencji. Niech to szlag trafi, Garrick, tak to właśnie nazwała!

Deverell podejrzewał, że były to słowa Malsaura. Było też możliwe, że matka chciała wziąć odwet za jego pospieszny wyjazd z Anglii.

- Cholerna audiencja - powtórzył. - Jutro, o dziewiątej rano. A ja muszę nadal urządzać tę maskaradę. To nie będzie przyjemne spotkanie.

Siedząc przy otwartym oknie sypialni, Rupert z przyjemnością wdychał balsamiczne, wiosenne powietrze. Był szczęśliwy, że wreszcie wstał z łóżka. Był też całkowicie ubrany, po raz pierwszy od...

- Wejść! - zawołał, spodziewając się, że to stuka lokaj, którego wysłał po swoje ulubione długie buty. Ten bezczelny idiota, Meerston, kazał zabrać z sypialni obuwie króla! A dlaczego? Ponieważ król powiedział, że chce wstać i ubrać się!

- Najjaśniejszy panie! - W drzwiach ukazał się sir Meerston. - Co wasza królewska mość robi? - spytał zatrwożony.

- Jak myślisz, co robię? - warknął Rupert, dając znak stojącemu za doktorem lokajowi, aby wszedł do sypialni. - Ubieram się na spotkanie z synem, którego nie widziałem przez sześć lat. Przyjmę go w niebieskim salonie, tak jak należy!

- Ale jej królewska mość i jego wysokość mają tu przyjść...

- Na audiencję - dokończyła królowa, która stała za lekarzem - a wasza królewska mość przyjmie syna, nie wstając z łóżka.

Zaskoczył ją widok lokaja, wkładającego wysokie buty na nogi swojego pana.

- Co to ma znaczyć? - wyjąkała.

- To znaczy, że tego ranka wszyscy zadają mi pytania - zadrwił król, patrząc karcącym wzrokiem na królową i lekarza.

Nagle w drzwiach sypialni ukazał się siwowłosy mężczyzna, którego król obrzucił nieprzychylnym spojrzeniem.

- Możesz wejść, Malsaur - odezwał się zirytowany Rupert.
- Niczego więcej nie pragnę, jak towarzystwa lękliwych kumoszek!

Wstał z fotela i podał ramię królowej.

- Teraz mogę odpowiedzieć na twoje pytanie, moja droga. To wszystko oznacza, że idziemy do błękitnego salonu na długo oczekiwane spotkanie z synem. To spotkanie powinno było się odbyć natychmiast po przyjeździe następcy tronu - powiedział dobitnie król, obrzucając piorunującym spojrzeniem wszystkich zgromadzonych.

Zegar na wieży już dawno wydzwonił dziewiątą, kiedy Deverell szedł za lokajem w kierunku błękitnego salonu. Wiedząc, że król nie toleruje spóźnień, celowo przetrzymał służącego, który przyniósł mu wiadomość o zmianie miejsca spotkania. Ojciec będzie początkowo zdziwiony takim zachowaniem, ponieważ Deverell był zawsze punktualny. Potem zdumienie przerodzi się w szok, po czym ojciec wpadnie we wściekłość.

Ale nie ma rady. Musi oszukiwać ojca, nie może mu jeszcze wyjawić tajemnicy. Królestwu grozi zbyt wiele niebezpieczeństw.

Może tylko pocieszać się faktem, że król czuje się na tyle dobrze, że wstał z łóżka i przeszedł do błękitnego salonu.

Kamerdyner otworzył przed księciem drzwi.

- Jego książęca mość, książę Deverell - zaanonsował.

- Przepraszam za spóźnienie.

Następca tronu wykonał niedbały gest dłonią, w której trzymał uperfumowaną, koronkową chusteczkę. Skinął głową

matce i podszedł do króla, który siedział w fotelu przy kominku.

- Długo się tu idzie z moich komnat - dodał, machając chusteczką. - Cieszę się z naszego spotkania, najjaśniejszy panie. Jak zdrowie waszej królewskiej mości?

- Hm... dość dobre. - Rupert patrzył na księcia dziwnym wzrokiem. - Deverell, odłóż to paskudztwo!

- To? - Deverell popatrzył z uśmiechem na chusteczkę i wzruszył ramionami. - Oczywiście. Według życzenia waszej królewskiej mości - powiedział, chowając chusteczkę do kieszeni bogato haftowanej różowej kamizelki. - Więc my...

Król uniósł brwi, a w jego niebieskich oczach ukazał się wyraz zdumienia.

- Mój panie, tu nie ma żadnego my. Nie jesteś królem! Co, u diabła, się z tobą dzieje?

- Ze mną, najjaśniejszy panie? - spytał urażony Deverell. - Nie rozumiem, o co tu chodzi. - Uczynił gest w kierunku pustego krzesła, stojącego naprzeciwko królewskiego fotela. - Czy mogę usiąść?

- Nie, nie możesz! - zagrzemiał Rupert.

- Ależ najjaśniejszy panie! - Deverell zatrząsł się i zakrył uszy palcami.

- Wasza królewska mość, proszę się tak nie podniecać - odezwał się sir Meerston, kiedy król zerwał się z fotela.

- Rzeczywiście! - Król spojrział na lekarza takim wzrokiem, że ten szybko cofnął rękę, którą go chciał powstrzymać. – Już jestem podniecony! - wrzasnął. - I mam do tego powody!

- Rupercie, pamiętaj o swoim sercu! - krzyknęła zaniepokojona królowa, zapominając o wymogach etykiety i zwracając się do męża po imieniu.

- Mojemu sercu nic by nie brakowało, gdybym widział w swoim synu i następcy prawdziwego mężczyznę! – huknął król. - Widzę wyraźnie, że nie informowano mnie o tym, co się działo w Londynie. Ale dowiem się wszystkiego! To hańba - dodał, wskazując syna palcem.

Deverell wyczuwał głęboki ból w głosie ojca. Monarcha rozejrzał się po zgromadzonych i zatrzymał wzrok na ambasadorze.

- Przede wszystkim winie pana, milordzie, za raporty o wspaniałych postępach następcy tronu. To trwało sześć lat, Malsaur!

- Wasza królewska mość - wtrąciła królowa. - Lord Borne nie zrobił nic takiego, aby mieć podstawy do...

- Nie zrobił nic takiego? - warknął Rupert. - Nic takiego, tylko pozwolił, aby mój syn stał się zniewieściałym głupkiem! Ty też maczałaś w tym palce!

- Głupkiem? -powtórzył z oburzeniem Deverell. –Jeszcze niczego takiego...

- Cisza! - ryknął król.

W salonie zapadło milczenie. Rupert przypatrywał się uważnie frymuśnemu ubraniu syna. Nie słyszał ruchu za drzwiami - jego donośny głos przyciągnął pod drzwi salonu zaciekawioną służbę.

Kiedy odezwał się znowu, mówił podejrzenie cicho.

- Dwadzieścia siedem lat temu, kiedy się urodziłeś, szczęście zapanowało w całym królestwie. Byliśmy od pięciu lat małżeństwem i już zacząłem pogrążyć się w rozpacz z powodu braku potomka. I wreszcie przyszedł na świat zdrowy syn. Wiedzieliśmy już, że nie będziesz mógł mieć rodzeństwa, ale byliśmy wdzięczni losowi, że mamy ciebie. Byłeś silnym, energicznym dzieckiem, nigdy nie chorowałeś. Byłeś też zdolnym, odważnym chłopcem...

Króla zawiódł głos. Zacisnął wargi, odetchnął głęboko, a po chwili ciągnął już mocniejszym tonem.

- Daliśmy ci imię na cześć dwóch najświetniejszych królów Baravii. Byli tak wspaniałymi władcami, że żaden kolejny monarcha nie ośmielił się już dać synowi imienia Deverell, nie wierząc, że którykolwiek zdoła im dorównać. Deverell Pierwszy i jego wnuk, Deverell Drugi, byli bohaterami Baravii! Ale my mieliśmy dość śmiałości, aby dać to imię tobie. Twoje przyjście na świat, po pięciu latach oczekiwania potomka, wydało się nam znakiem danym z niebios. Wierzyliśmy, że będziesz wielkim królem!

Rupert westchnął ciężko. Deverell odwrócił wzrok. Tak bardzo chciał wyznać ojcu swoją tajemnicę!

- Masz patrzeć na swojego króla, kiedy mówi do ciebie! - krzyknął Rupert, odzyskawszy już panowanie nad sobą.

- Tak, Najjaśniejszy Panie - wyjąkał Deverell.

- Teraz słuchaj uważnie. Jutro, o świcie, zameldujesz się w koszarach Królewskiej Gwardii Konnej. Musisz wykazać się swoimi umiejętnościami.

- Umiejętnościami, najjaśniejszy panie?

- Tak, ty niedołego. Kapitan gwardii sprawdzi, czy posiadasz sprawność fizyczną i inne umiejętności, nieodzowne dla następcy tronu. Czy umiesz jeszcze siedzieć na koniu?

Pograżony w myślach Deverell nie odpowiedział na pytanie króla. Będzie musiał tracić czas, kiedy jego zadaniem jest zdemaskowanie zdrajców! Może powinien zrezygnować ze swojego planu. Sytuacja rozwijała się w trudnym do przewidzenia kierunku. Starał się też przypomnieć sobie, kto jest obecnie kapitanem gwardii.

- Odezwij się, chłopcze! - krzyknął Rupert. - Czy umiesz jeszcze jeździć konno?

- Oczywiście - przytaknął Deverell.

- Zgłosisz się do koszar gwardii o świcie - powtórzył król, trzęsąc się z wściekłości. - A teraz zejdz mi z oczu!

Marisa szła korytarzem prowadzącym do komnat księcia

Deverella. Musiała wykonać powierzone jej zadanie, chociaż nie miała na to specjalnej ochoty. Słońce było już od dziesięciu minut na niebie, wzeszło dokładnie dwie minuty po piątej, a następca tronu nie zastosował się do polecenia króla i nie pokazał się jeszcze w koszarach. Marisa otrzymała od króla wyraźny rozkaz: Jeśli jego książęca mość nie stawi się w koszarach, rozkazuję ci wyciągnąć go z sypialni, nawet przy użyciu siły, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Marisa uśmiechnęła się złośliwie. Nic dziwnego, że król był wyprowadzony z równowagi! Pałac huczał od plotek, jeszcze zanim Marisa otrzymała rozkaz od króla. Wszyscy już wiedzieli, że następca tronu sprawił ojcu ogromny zawód. Mówiono, że jest kompletnym niedołęgą, niezdolnym do przejęcia tronu.

Te pogłoski nie interesowały Marisy. Ona miała sprawdzić umiejętności młodego księcia i na tym koniec. Nie obchodziło jej, jak się on zachowuje i jakie zaszły w nim zmiany podczas pobytu w Anglii. Jeśli powierzone jej zadanie odbiegało od ogólnie przyjętych norm - chodziło przecież o następcę tronu - to również nie było jej sprawą.

Przypominała sobie teraz brzmienie królewskiego rozkazu:
- Rozkazujemy, abyś traktowała następcę tronu tak samo jak każdego, kto stara się o przyjęcie do gwardii. Musisz sprawdzić, czy potrafi wykonywać rzemiosło żołnierskie w

całym jego zakresie. Nie masz prawa faworyzować go ani dawać specjalnych przywilejów.

Usłyszała bicie zegara. Było piętnaście po piątej, trzynaście minut po wschodzie słońca. Zastukała mocno do drzwi sypialni księcia.

- Wstawać! Natychmiast!

Deverell usłyszał ostry głos kobiety, a walenie w drzwi mogłoby obudzić umarłego. Musiał jednak udawać rozpieszczonego księcia śpiocha. Zastanawiał tylko, kiedy ktoś po niego przyjdzie.

Nie mógł jeszcze ochłonąć ze zdziwienia, że lady Marisa Lancet jest kapitanem gwardii, o czym z uśmiechem poinformował go Garrick. Pamiętał ją jako dziecko, które chodziło za nim krok w krok, kiedy bawił się z jej bratem. Jaka kobieta chciałaby...

- No już! Dostyc tego!

Ktoś zerwał z niego kołdrę i zrzucił poduszkę na podłogę. Deverell z trudnością powstrzymał uśmiech, kiedy usłyszał, jak intruz gwałtownie złapał powietrze. Ta pannica nie spodziewała się tego, co zobaczyła, ale on również nie wiedział, że ona będzie ściągać z niego pościel!

Marisa czuła, że jej twarz oblewa rumieniec, kiedy ujrzała księcia nagiego. Mimo że ponad pięć lat spędziła wyłącznie w towarzystwie mężczyzn, żadnego z nich nie widziała jeszcze rozebranego. Może król postarał się o to, żeby gwardziści

traktowali ją z należnym kobiecie szacunkiem. Ona sama nigdy by nie poprosiła o specjalne traktowanie. Zwróciła się z prośbą do króla jedyny raz - o przyjęcie jej do Gwardii Konnej, w której służyli wyłącznie mężczyźni. Król musiał wtedy wydać specjalne pozwolenie.

- Daję panu trzy minuty na ubranie się, wasza książęca mość - powiedziała ostro Marisa, koncentrując się na obowiązkach. - Będę czekać za drzwiami. Jeśli pan się nie ubierze, to odbędzie pan sprawdzian nago!

Do napisaniu listu do Wellingtona Rupert westchnął ciężko. Zwrócił się do swojego kolegi szkolnego i przyjaciela z osobliwą prośbą. Musiał podjąć drastyczne kroki, nie miał innego wyjścia. Rezultat sprawdzianu był katastrofalny. Jako następca tronu, wódz armii w stanie zagrożenia kraju, Deverell był do niczego! Deverell -jego syn!

Jak to się mogło stać? Król potrząsnął głową. Jak ma udowodnić Malsaurowi jego winę? Baron mu tłumaczył, że stosował się do woli królowej. Sophia zażarcie broniła Malsaura i Deverella. Sophia, która stale jeździła do Anglii, aby czuwać nad swoim ukochanym synem. A on, Rupert, nigdy tam nie pojechał.

W gruncie rzeczy mógł mieć pretensję tylko do samego siebie. Teraz musiał temu zaradzić.

Rupert włożył okulary i czytał uważnie zakończenie listu:

Zdecydowałem się więc wysiać go na czasowe wygnanie, jeśli zgodzisz się na to, aby go przyjąć. Proszę Cię, Stary Przyjacielu, abyś poważnie potraktował moją propozycję. Może się okazać, że tylko Deverell zdoła uratować Baravię, ale dopiero wtedy, kiedy nauczy' się być królem. Kocham mojego syna, ale muszę go wystać na wojnę, aby okrzepnął przy Twoim boku. W tej chwili on nie nadaje się do niczego. Nie może nic zrobić ani dla mnie, ani dla swojego kraju.

Podpisał listy imieniem Rupert, zapieczętował i posłał po swojego zaufanego kuriera. Był to ten sam człowiek, który dostał polecenie przywiezienia Deverella z Londynu. Tymczasem plan króla miał pozostać tajemnicą, dopóki Wellington nie przyśle pozytywnej odpowiedzi. Potem zostaną zawiadomieni jedynie najbliżsi dworzanie i królowa.

3

- **D**o jutra, Achillesie.

Marisa poklepała konia po szyi i skierowała się do wyjścia. Obiecała Marcie, że zjedzą razem południowy posiłek, i nie chciała się spóźnić. Nie zdążyła jeszcze wyjść ze stajni, kiedy z jednego z ostatnich boksów wysunął się czarny łeb - to był Mustafa, koń księcia Deverella.

Było to piękne, rasowe zwierzę. Tego ranka, kiedy musiała wypełnić swój niemiły obowiązek, widok Mustafy był dla niej jedyną pociechą. Marisa sięgnęła do kieszeni i wydobyła kawałek cukru. Ogier delikatnie wziął cukier z jej dłoni.

Po wyjściu ze stajni Marisa potrząsnęła głową z oburzeniem. Taki piękny, tak świetnie ułożony koń, a należał do kogo? Do tego niezguły, marionetki przebranej za księcia!

Żaden książę, który miałby choć trochę szacunku dla samego siebie, nie nosiłby takich ubrań. Nie stroiłby się w koronkowe żaboty i falbanki. Ale książę Deverell chyba w ogóle nie miał ambicji. Prawdziwy książę, według Marisy, powinien być stuprocentowym mężczyzną, odważnym i mądrym. Powinien rozsądnie rządzić swoim krajem i być dzielny w boju, tak jak król Rupert. A Deverell był rozpieszczonym gogusiem, na którego straciła cały dzisiejszy ranek. Kiedy pomyślała o tym, jak usiłował władać bronią, wstrząsał nią dreszcz obrzydzenia. I ten niedojda miałby

bronić Baravii przed Napoleonem? Biedny Rupert! Biedna Baravia!

Napisała już raport dla króla:

Jego Książęca Wysokość dobrze siedzi na koniu, ale macha szablą tak jak kapelmistrz, batutą, nie jest w stanie trafić kopę siana z odległości dwudziestu kroków żadną bronią palną. Wzdraga się przed bezpośrednią walką, nie umie też walczyć na pięści. Z przykrością donoszę również, że Jego Książęca Mość oświadczył, że jest przerażony myślą o użyciu noża w celu obrony. Odmówił posługiwania się sztyletem, który dostaliśmy w zeszłym roku z Florencji od krewnych gwardzisty Orsiniego i który okazał się bardzo przydatny przy kwiczeniach walki wręcz. Muszę jeszcze dodać, że Jego Książęca Mość poinformował mnie, że nie cierpi ранego ustawiania, nie znosi być potargany i mieć nieporządne i pobrudzone ubranie.

Nigdy jeszcze nie wystawiła tak negatywnej oceny. Przez dwa i pół roku, od czasu kiedy gwardziści wybrali ją na swojego dowódcę, Marisa poddawała testom dziesiątki aspirantów. Zanim nowo wybrany gwardzista Hillott został dopuszczony do pojedynku, musiała wypróbować dwudziestu innych kandydatów i każdy z nich, nawet ten najsłabszy, pokonałby następcę tronu z zawiązanymi oczami i jedną ręką przywiązaną do boku.

- Nie bądź taka ponura, córko. Wiem, że masz do tego powody, ale musisz pamiętać, że nie wolno ci mówić o tym,

co robiłaś dziś rano - usłyszała nagle głos ojca, kiedy zbliżała się do pałacu.

- Pamiętasz chyba, że jego królewska mość chce wynik sprawdzianu zachować w tajemnicy? - dodał trochę ciszej. - Ściany pałacu mają uszy, ale są też ciekawe oczy, więc powinnaś zmienić wyraz twarzy. Ogólnie wiadomo, że ojciec i syn... wymienili poglądy, ale nie należy podsycać plotek. Pamiętaj o tym, córko.

Marisa chciała spytać ojca, dlaczego nigdy nie używał jej imienia? Dlaczego mówił zawsze córko, nawet wtedy, kiedy byli sami? Przy innych okazjach zwracał się do niej per kapitanie, co było zrozumiałe. Chciałaby również wiedzieć, dlaczego odzywał się do niej przeważnie z wyrzutem?

Nie zadała jednak żadnego z tych pytań. Powiedziała tylko to, czego od niej oczekiwano.

- Przeprowadziłam to wszystko w tajemnicy, sir.

Zwrot sir był pożądany, jak również pozbawiony emocji głos. Jej ojciec uważał, że ponieważ są oboje zawodowymi żołnierzami, powinni stosować się do wojskowych zwyczajów.

- Miejmy nadzieję, że tak było - odpowiedział Winther. - Nigdy dość ostrożności. Pamiętaj, córko, że jego królewska mość, dzięki Bogu, jest nadal u władzy. I życzy sobie utrzymania tej sprawy w tajemnicy.

Nie czekając na odpowiedź, skinął jej głową i szybko odszedł. Marisa popatrzyła na jego wysoką postać i żołnierską postawę. Takiego go pamiętała od wczesnego dzieciństwa. Mark wyglądałby teraz podobnie, pomyślała. Jej bliźniaczy brat, który miał kasztanowate włosy i piwne oczy, podobny był do ojca, a ona - do matki. O tym, że czarne włosy i szare oczy odziedziczyła po matce, dowiedziała się od Marty, ponieważ jej matka umarła przy porodzie. Chociaż hrabina Winther była uznana za największą piękność na dworze, nigdzie nie było jej portretu. I nikt, łącznie z Martą, nie mógł, albo nie chciał, powiedzieć jej dlaczego.

- No, nareszcie, milady! - usłyszała głos Marty, stojącej w otwartych drzwiach. - Kucharz ma już wszystko gotowe od dziesięciu minut, a ty stoisz na dworze, myśląc nie wiadomo o czym! Dobrze, że ten kucharz jest spokojnym człowiekiem, niepodobnym do żabojada, który był tu przedtem!

Marisa uśmiechnęła się. Ten żabojad był francuskim kucharzem, który przyłączył się do armii Napoleona, kiedy wybuchła wojna. Od tego czasu zaczęto nazywać Francuzów żabojadami. Marta miała ku temu również swoje własne powody. Nie mogła ścierpieć, że francuski kucharz mógł być tak nielojalny w stosunku do rodziny, u której był zatrudniony przez długie lata.

Marisa z Martą jadły posiłek w małym salonie, a nie w jadalni. Już dawno Marisa wymogła na niani to ustępstwo, ponieważ nie chciała przebierać się do posiłku, zdejmować

ćwiczebnego stroju i wkładać sukienki. Poza tym nie lubiła siedzieć przy posiłkach sama, przy stole na sześćdziesiąt osób. Chociaż Marta nigdy by się do tego nie przyznała, Marisa była pewna, że jej starą nianię cieszyły te wspólne posiłki, przy rzadkich okazjach, kiedy Marisa jadła w domu. Jednak w głębi serca Marta była przekonana, że lady nie powinna jadać razem ze służącą.

- Mówią, że jego książęca mość, następca tronu, jest tak piękny, że wszystkie kobiety tracą dla niego głowę – odezwała się Marta, kiedy piły już herbatę. - Jak Adonis.

- Hm - mruknęła tylko Marisa.

Czy był piękny? Wypowiedź Marty zaskoczyła ją. Miała teraz przed oczami jego wysoką postać, jak siedział na karym koniu, z rozwichrzonymi lokami. Rzeczywiście miał szlachetne rysy twarzy i wyjątkowo ładne, niebieskie oczy. Kobiety mogły uważać go za pięknego. Jednak dla Marisy pięknym był ten, co pięknie się sprawował, jak mówiło przysłowie. Mógł być równie piękny jak archanioł Gabriel, ale zachowywał się jak cholerny głupiec.

- Mówią też, że jest dandysem - dodała Marta.

- Hm.

- Słyszałam, że jego królewska mość jest na niego wściekły.

- Hm.

- Ale nie królowa. Skądże by! Zawsze tak było. Jej królewska mość nie widzi poza nim świata.

Zmęczona tą jednostronną rozmową, Marisa wstała od stołu. Dalsze słowa niańki wmurowały ją w podłogę.

- Jej królewska mość zawsze cię lubiła, milady. Przed wyjazdem księcia do Anglii mówiło się, że królowa chciałaby, żebyście się pobrali.

W tym samym czasie książę Deverell krążył nerwowo po swojej komnacie, rozmawiając z siedzącym przy kominku służącym.

- Mówię ci, Garrick, ona jest o wiele gorsza, niż się mogłem spodziewać. To prawdziwa amazonka! Kobieta, która nie jest kobietą, która chodzi w spodniach! Strzela z pistoletu i rzuca włoskim sztyletem!

- Słyszałem, że bardzo celnie - zachichotał Garrick.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - warknął Deverell. - Ona była... to znaczy jest damą z wychowania i urodzenia. Lancetowie to jeden z najbardziej szacownych rodów w królestwie. Jak, u diabła, Winther mógł na to pozwolić?

Garrick chciał coś powiedzieć, ale Deverell wybuchnął znowu potokiem wymowy.

- A król! Nie mogę uwierzyć, że mój ojciec nie tylko pozwolił na to, ale jeszcze usankcjonował! Dał swoje błogosławieństwo! Musiał być wtedy niespełna rozumu!

Książę zatrzymał się nagle. Okropna myśl przyszła mu do głowy.

- Dobry Boże! Czy na tym polega jego choroba? Wczoraj rozmawiał ze mną bardzo rozsądnie, ale...

- Spokojnie, chłopcze. Umysł twojego ojca jest w jak najlepszym porządku - powiedział Garrick. -I zawsze tak było.

- A ten kapitan gwardii? - spytał książę, który nie mógł się jeszcze otrząsnąć z szoku po porannym sprawdzianie.

- Jeśli chodzi o tę dziewczynę... - ciągnął Garrick – wtedy była specyficzna sytuacja.

- To znaczy? - Zaciekawiony książę usiadł obok niego.

- Mówię o tym, dlaczego król zezwolił, aby lady Marisa mogła starać się o przyjęcie do gwardii, mimo że jest kobietą.

- A Winther? Nie zapominaj o generale.

- No, tak. On też ma w tym swój udział. Czy przypominasz sobie, że lady Marisa miała brata?

- Pamiętam Marka. Był wysokim, zręcznym chłopcem i chociaż byliśmy od niego o wiele starsi, chętnie przyjęliśmy go do swojego towarzystwa. Ale... miał chyba jakiś wypadek?

- Tak. Na polowaniu. Byliśmy wtedy w Anglii. Zabił go dzik.

- Tak. - Deverell skinął głową. - Matka pisała mi o tym. To tragiczny wypadek.

- Ja też nic więcej o tym nie wiem, przecież nie było mnie w kraju, ale wiem, że ta śmierć miała wpływ na dalszy

przebieg wypadków. On i Marisa byli bliźniakami, jak sobie przypominasz.

- Zapomniałem o tym. Pamiętam tylko, że byli bardzo ze sobą zżyci.

- Może jeszcze o czymś zapomniałeś.

- Na przykład? - spytał księżę bez specjalnego zainteresowania i wstał z krzesła.

Myślał teraz o Marku, takim, jakiego pamiętał. Taki młody, pełen życia, taki...

- Na przykład - powiedział Garrick donośnym głosem - że królowa uparła się, żeby ożenić cię z Marisa.

Deverell wrósł w podłogę.

Król nie opuszczał swojej komnaty. Nie ustosunkował się do raportu kapitana gwardii, dotyczącego sprawności następcy tronu, nie ujawniał żadnych planów co do przyszłości królestwa. Mimo to księżę był dobrej myśli. Dowiedział się bowiem, że król kilkakrotnie wzywał do siebie lorda Donnera. Premier był rówieśnikiem króla oraz jego zaufanym przyjacielem i doradcą. Oznaczało to, że król zajmuje się sprawami kraju.

Deverell dowiedział się również od sir Meerstona, że zdrowie królewskie ulega stałej poprawie. Był więc zadowolony, że jego mistyfikacja nie pogorszyła stanu ojca.

Postanowił wykorzystać ten czas na rozejrzenie się w sytuacji. Nie było to trudne. Dzięki roli, którą odgrywał, nikt na dworze nie traktował go poważnie. Królewscy ministrowie i inni dworscy urzędnicy nie kryli się ze swoimi poglądami w jego obecności. Uważano go przecież za nieszkodliwego głupca. Jego obawy potwierdziły się: nikt nie był pewny przyszłości kraju.

Toczyła się wojna, spadło zaufanie do rządu, a król nie był zdrowy. Deverell przypuszczał, że również rola, jaką odgrywał on sam, nie przyczyniała się do uspokojenia nerwowej atmosfery.

Jedynie lord Donner był pozytywnie nastawiony do młodego księcia. Uważał, że po tak długiej nieobecności zmiany w zachowaniu następcy tronu są naturalne. Deverell został niespodziewanie wezwany do kraju i potrzebuje czasu na przystosowanie się. Zaprosił też księcia, żeby wpadł porozmawiać, kiedy będzie miał na to ochotę.

Deverell miał ochotę wyznać mu wszystko, ale powstrzymał się. Rupert, jego ukochany ojciec, nie powinien jeszcze znać prawdy. Tym bardziej nie można było jej ujawnić królewskiemu ministrowi.

Lord Borne również zapraszał księcia do siebie. To była jednak zupełnie inna sprawa. Baron Malsaur został już przez księcia i Garricka rozszyfrowany, jednocześnie to, że był konfidentem królowej, czyniło z niego bardzo

niebezpiecznego przeciwnika. Księżę wiedział, że Rupert kochał żonę, chociaż często na nią narzekał. Nie wiedział tylko, jak duży wpływ królowa Sophia ma na ojca.

Deverell przyjął zaproszenie barona. Chciał poznać wroga. Garrick uczył go, że należy zbadać słabe i mocne strony przeciwnika, przejrzeć jego sposób myślenia - taka wiedza jest skuteczną bronią, pozwalającą go przechytrzyć.

Księżę spędził kilka godzin w towarzystwie Malsaura, królowa była również często obecna przy tych spotkaniach. Deverell miał okazję zaznajomić się z okolicznościami, o których przedtem nie miał pojęcia.

Bronią lorda Borne'a był wdzięk osobisty i używał tej broni w bardzo wyrafinowany sposób. Był wytrawnym dworakiem, który wiedział doskonale, jak trafić do rozmówcy, żeby pochlebstwa nie były zbyt oczywiste, szczególnie kiedy miał do czynienia z tak inteligentną kobietą, jaką była królowa.

Malsaur wiedział doskonale, że sprawy kraju zajmują królowi prawie cały czas i że królowa przeważnie jest pozostawiona sama sobie. Księżę natomiast zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz dowiedział się, że jego matka była osobą bardzo samotną.

Baron Malsaur postarał się o to, żeby zapełnić jej godziny samotności. Towarzyszył jej zawsze do teatru, na koncerty, do opery, na różne wycieczki. Wszystko odbywało się zgodnie z

etykieta, królowej towarzyszyły damy dworu, w wyprawach tych brały też udział inne osobistości.

W ten sposób Sophia, z biegiem czasu, stała się marionetką w rękach Malsaura.

Deverell postanowił również zebrać więcej informacji o Marisie Lancet, chociaż wcale nie tęsknił za jej towarzystwem. Jeden poranek wystarczył, aby miał jej zupełnie dosyć. I pomyśleć, że matka wyobrażała sobie, że on poślubi tę arogancką dziewczuchę, która nosi spodnie! Ona miałyby być żoną króla!

Nie zaprzestał jednak zbierania informacji. Należy dobrze poznać wroga.

To, czego się dowiedział, wprawiło go w zdumienie. Marisa nie tylko była pierwszą kobietą w historii Baravii, przyjętą w szeregi słynnej Królewskiej Gwardii Konnej, była również najmłodszym w dziejach gwardii kapitanem, najlepszym dowódcą i najsprawniejszym żołnierzem, jakiego pamiętali gwardziści! Trudno mu było w to uwierzyć. Jednak takie było zdanie każdego oficera, z którym rozmawiał.

Gwardziści bardzo starannie dobierali swoich dowódców.

Deverell szybko się zorientował, że kariera Marisy nie była łatwa. Jej koledzy otwarcie przyznawali, że na początku robili wszystko, aby jej utrudnić życie. Testy, które musiała przejść, były o wiele trudniejsze, niż stosowane wobec innych

kandydatów. Znalazła się w grupie aż trzydziestu jeden mężczyzn, którzy chcieli wstąpić do gwardii.

Początkowo gwardziści nie mogli uwierzyć własnym oczom, widząc Marisę w akcji. Jej umiejętności i sprawność przechodziły wszelkie oczekiwania. Dystansowała nie tylko kandydatów do gwardii, ale też najlepszych wśród samych gwardzistów. Jedni zaczęli wtedy starać się o jej przyjaźń, a inni okazywali jej wyraźną niechęć. Ale obie metody zawiodły. Marisa była świetnym kompanem i nigdy się nie wywyższała. Wszyscy musieli ją polubić. Okazało się wkrótce, że jest bardzo nieśmiała.

Natomiast podczas walki nie było w niej ani śladu nieśmiałości. Wszyscy zgodnie stwierdzali, że była niepokonana. Doskonale władała szablą, była świetnym strzelcem i wytrawnym jeźdźcem. Gdyby gwardia została kiedykolwiek zmuszona do odwrotu, gwardziści chcieliby, aby kapitan Lancet osłaniała ich tyły. Trudno było o większy dowód zaufania. Nic więc dziwnego, że kiedy poprzedni dowódca odszedł na emeryturę, wybrano jednogłośnie Marisę.

Deverell miał wreszcie dosyć opowieści o jej wspaniałych wyczynach. Uważał, że taka doskonałość jest anormalna, a podwójnie nienaturalna, jeśli chodzi o kobietę, chociaż Marisa była, w jego oczach, mało kobieca.

Kobiety są - i powinny być - słabą płcią. Powinny być piękne, niezbyt mądre i pełne wdzięku. I, oczywiście,

seksowne. Deverell zawsze unikał dziewic i emancypantek. Teraz do tej listy należało dodać bezczelnego gwardzistę płci żeńskiej.

Był szczęśliwy, że nie widział jej od czasu, kiedy poddawała go temu nieszczęsnemu sprawdzianowi. Chyba ona też go unikała. Doskonale! Uwolnił się od niej na dobre.

Pod tym względem czekało go jednak rozczarowanie.

4

Rupert czytał ponownie list Wellingtona, zwracając szczególną uwagę na ostatni akapit:

Przyjmuję Twoją propozycję pod jednym warunkiem. Jeśli on jest tak niedoświadczony, jak sugerujesz w swoim liście, musi mieć jakąś asekurację, przynajmniej jednego doświadczonego towarzysza. Na Półwyspie Iberyjskim jest bardzo niebezpiecznie. Obawiam się, że Jego Księżęca Mość nie dotarłby tu żywy, gdyby miał jechać sam. Wyślij z nim kogoś, jeśli możesz, to najlepszego ze swoich ludzi. Tylko pod tym warunkiem mogę przyjąć księcia pod opiekę. Miejmy nadzieję, Mój Przyjacielu, że potrafimy zrobić z niego mężczyznę. A może nawet króla!

Rupert pokiwał z uznaniem głową. Jak zwykle, Wellington był przewidujący. Ochrona była bardzo pożądana. Po wysłaniu listu do przyjaciela Rupert miał poczucie winy. Kochał swojego syna, bez względu na jego zachowanie. Nie chciał, żeby zginął. Należy mu dać szansę.

- Może ostatnią szansę, ale jednak... - szepnął, pisząc coś szybko i pieczętując, aby wręczyć listy swojemu paziowi.

- T o musi być żart. - Królowa Sophia patrzyła na męża z niedowierzaniem. - Ten plan, najjaśniejszy panie, jest oburzający. - Podeszła do Deverella i położyła mu

rękę na ramieniu. - Wysłać naszego jedyne go syna na wojnę? Jako zwykłego żołnierza! Choć jest następcą tronu?

- Wydaje mi się, pani - powiedział spokojnie Rupert - że to się nazywa incognito.

- Tego już za wiele! - krzyknęła królowa, nie zważając na obecność premiera, który stał przy królu. - Nie zgadzam się, Rupercie.

- Pani się zapomina!

Rupert zmarszczył brwi i obrzucił królową lodowatym spojrzeniem.

Deverell stał z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w dywan. Projekt ojca niweczył wszystkie jego plany. Miał zostać wysłany na nikomu nieprzydatne szkolenie we władaniu państwem, kiedy był potrzebny na miejscu, aby demaskować zdrajców. Udawał nedorajdę i tak się to skończyło. Ojciec go przechytrył. Teraz już nie można było tego odrobić. W tym konflikcie życzył zwycięstwa królowej.

- Proszę mi wybaczyć, najjaśniejszy panie – szepnęła Sophia. - Proszę mnie jednak wysłuchać. Jestem kobietą i matką, nie tylko królową. A matka... w pewnych sprawach ma inne odczucia.

Przyjęła niedobrą taktykę, pomyślał książę. Powinna udawać, że jest po stronie króla.

- Deverell jest moim jedynym dzieckiem! - dodała królowa.

Jestem ich dzieckiem, a nie jej, pomyślał ksiązę. A matka znowu zaczęła mówić zjadliwym tonem. Przecież jest inteligentną kobietą. Dlaczego nie potrafi powściągnąć swoich emocji?

- Nie mogę pozwolić - ciągnęła królowa - aby mój syn był mięsem armatnim! A tak się stanie, jeśli pojedzie teraz na półwysep!

- Czy pani myśli, że nie dzielam jej uczuć? – odezwał się król, z trudem hamując wybuch. - Jeśli tak jest, to chce mi się pani źle przysłużyć. Tak jak się pani źle przysłużyła naszemu synowi - proszę mi nie przerywać! Gdyby pani nie rozpieściła Deverella i nie zrobiła z niego słabeusza, ten krok nie byłby konieczny. Czy mam wyrażać się jeszcze jaśniej? Królestwo jest w niebezpieczeństwie. Jest to najtrudniejszy okres w naszej historii, a w czasie kryzysu trzeba działać zdecydowanie. Baravia może zostać zajęta przez Napoleona! A Deverellowi grozi teraz większe niebezpieczeństwo w kraju, ponieważ nie potrafi się obronić!

- W kraju? - spytała zaskoczona Sophia. - Co to ma znaczyć?

- Czy pani nie rozumie, że niektóre frakcje na dworze chętnie wykorzystająby tę sytuację? Czyż nie znajdą się tacy, którzy, przewidując moją abdykację, zechcieliby dokonać przewrotu?

Deverell złapał głęboki oddech, ale zaraz udał, że kaszle. Więc ojciec był w pełni świadom sytuacji. Ale czy znał nazwiska zdrajców?

- Przewrót? - zdumiała się Sophia, ale po chwili odzyskała pewność siebie. - Nie uwierzę, żeby...

- Mówię o zabójstwie, kobieto! - zagrzemiał Rupert. - O tym, że Deverell może zostać zamordowany. Ja zresztą też, ale bardziej obawiam się o życie naszego syna! Słaby następca tronu stanowi doskonały pretekst dla zdrajców, którzy chcą obalenia monarchii!

- Najjaśniejszy panie - odezwał się Deverell, pozornie obojętnym tonem, chociaż to, czego chciał się dowiedzieć, było dla niego niesłychanie ważne. - Czy mogę o coś spytać?

- Jeśli koniecznie chcesz - przyzwolił król.

- Wydaje mi się, najjaśniejszy panie, że jeżeli wiesz, kim są zdrajcy, mógłbyś ich po prostu uwięzić. Wtedy ja nie musiałbym jechać na ten okropny półwysep...

- Słuchaj uważnie, mój panie! Półwysep jest twoją jedyną szansą i masz szczęście, że możesz tam się znaleźć. Poza tym twoja idiotyczna sugestia jest dowodem całkowitej ignorancji w sprawach tego królestwa. Od tysiąc sześćset dziewiątego ósmego roku Baravia jest monarchią konstytucyjną. Gwarantuje naszym poddanym, czego wydajesz się nie wiedzieć, że nie będą wtrąceni do więzienia, ponieważ ich król ma taki kaprys! Trzeba czegoś więcej niż zwykłych

podejrzeń, mój panie - musi być dowód zdrady. Czy myślisz, że gdybym miał dowody, to siedziałbym spokojnie, kiedy w państwie spiskują wrogowie?

Deverell otrzymał odpowiedź na swoje pytanie. Rupert miał tylko podejrzenia, nie miał dowodów. Dobrze byłoby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Jeśli chodzi o półwysep - mówił dalej król - nie masz wyboru. To jest ultimatum. Albo zaakceptujesz mój plan, albo będziesz musiał opuścić Barawię na zawsze. Rozumiesz, co to znaczy? Jako twój ojciec, nie chciałbym tego zrobić. Ale będąc twoim królem, możemy to zrobić. Możemy cię skazać na banicję. - Rupert przeszedł teraz na królewskie „my”. - Mówimy o wygnaniu na zawsze, mój panie, które według konstytucji pozbawia cię prawa do tronu. Czy rozumiesz, co mamy na myśli?

- Tak, najjaśniejszy panie - wyjąkał Deverell, a królowa gwałtownie złapała oddech.

- Milordzie Donner - zwrócił się król do premiera. - Biorę pana za świadka naszych postanowień. Wszyscy tu obecni zobowiązani są do utrzymania tajemnicy. Ta audiencja jest ściśle tajna. Zrozumiano?

Król rzucił ostre spojrzenie żonie, a Deverell był ciekaw, czy ojciec ma powody do podejrzeń, czy myśli o kontaktach królowej z Malsauem. Po chwili monarcha spojrzał tym

samym surowym wzrokiem na syna. Może tylko chciał ich zastraszyć.

- Ponieważ okazało się, że nasz następca - mówił dalej król - księżę Deverell, nie jest... dostatecznie przygotowany, aby stawić czoło obecnej krytycznej sytuacji, zostanie wysłany na specjalne przeszkolenie. Dwudziestego kwietnia tego roku, powtarzam, tysiąc osiemset dwunastego roku, nie później niż o północy, wyjedzie z Baravii. Jego wyjazd ma być okryty tajemnicą. Pojedzie do obozu markiza Wellingtona, gdzie przejdzie przeszkolenie jak zwyczajny piechur, bez żadnych ulg należnych jego królewskiemu pochodzeniu. Przyjmie pospolite nazwisko i nikomu, poza Wellingtonem, nie zdradzi swojej tożsamości. Wybierzemy dla niego towarzysza podróży, który będzie go ochraniał. Ze względu na tajność misji, księciu będzie towarzyszyć tylko jedna osoba.

- Tylko jedna osoba? - spytała przerażona Sophia.

- Tak, pani - brzmiała odpowiedź króla. - Jak już mówiliśmy...

Kiedy Rupert tłumaczył, że liczny orszak przyciąga uwagę, a nikt nie powinien się dowiedzieć o podróży księcia, Deverell pochłonięty był jedną myślą - kogo król wyznaczy mu na towarzysza? Dlaczego ojciec nie powiedział, że pojedzie z nim Garrick? Czy powinien to zasugerować

królowi? Ktoś obcy będzie tylko przeszkodą, a razem z Garrickiem mogliby...

- ...więc poprosiliśmy o przyście do naszej komnaty - dobiegły księcia ostatnie słowa ojca. - Geoffrey? – król zawołał paza. - Możesz teraz wpuścić kapitana.

Kapitana? Deverell nie zdążył zebrać myśli, kiedy otworzyły się drzwi królewskiej komnaty.

Ukazała się w nich postać kapitana Lanceta.

Kiedy Marisa wróciła do swojej kwatery w koszarach, również nie mogła jeszcze zebrać myśli. Szybko się jednak opanowała. Miała wiele spraw do załatwienia przed wyjazdem. Broyer obejmie komendę nad gwardią w czasie jej nieobecności, ale nie można przypuścić go do tajemnicy. Trzeba wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę. Trzeba również znaleźć gwardzistę, który wcieli się w następcę tronu i będzie od czasu do czasu ukazywać się na balkonie, ubrany w szaty księcia.

Należało wymyślić również jakiś powód wyjazdu na użytek Marty. Ojciec był na manewrach, więc ten kłopot odpadał. Rupert powiedział, że sam się nim zajmie. Marisa była ciekawa, czy ta konspiracyjna misja będzie utrzymana w tajemnicy również przed jej ojcem, ale szybko porzuciła te myśli. To nie była jej sprawa. Musi skupić się na otrzymanych od króla rozkazach.

Ta misja nieźle da się jej we znaki.

Nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać. W komnacie króla z trudnością powstrzymała się od uśmiechu na widok wyrazu twarzy lęklivego księcia. Ale w efekcie nie było się z czego śmiać. Co za zadanie wyznaczył jej Rupert! Mimo to Marisa nie dała niczego po sobie poznać. A uprzykrzony książę? „Przebóg!”, zawołał, przytulając się do królowej. Dosłownie chwycił matkę za spódnicę, kiedy dowiedział się, że Marisa będzie jego ochroną.

Przebóg! Co to za słowo? Żaden mężczyzna nie używał takiego okrzyku. Każdy gwardzista prędzej spaliłby się ze wstydu, niżby mu się coś takiego wyrwało.

Przebóg! - zawołała Marisa, naśladowując doskonale ton głosu Deverella. Przebóg, powtórzyła, zanosząc się śmiechem.

Deverell nie miał powodu do śmiechu, kiedy spotkał się z Garrickiem w stajni. Umówili się na konną przejażdżkę, aby przedyskutować ostatnie wydarzenia.

- Najpierw to cholerne ultimatum, a potem jeszcze to! - mówił podnieconym głosem.

Stojąc przed boksem Mustafy, Deverell zaklął na widok zdenerwowanego, pokrytego pianą wierzchowca.

- Jak to się mogło stać? Kiedy? - spytał cichym głosem, wycierając konia.

Choć książę mówił spokojnym tonem. Garrick wiedział, że jest wściekły. Mówił cicho tylko dlatego, żeby nie płoszyć konia. Deverell miał temperament ojca, niełatwo wpadał w złość, ale kiedy tracił cierpliwość, ogarniała go piekielna furia.

- Kiedy? - powtórzył Garrick. - Wiem tyle co ty, chłopcze.

Deverell zaklął ponownie i zabrał się do siodłania konia. Zawsze robił to sam, bez pomocy stajennego. Mustafa był bardzo pobudliwy i należało obchodzić się z nim delikatnie. Ta cecha okazała się zbawienna. Mniej wrażliwy koń nie zareagowałby tak gwałtownie na sam dotyk gwoźdźcia wbitego pod siodło, poczułby go dopiero pod ciężarem jeźdźca.

Deverell mógłby nawet się zabić, spadając z oszalałego z bólu konia.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie znacząco.

- Ale dlaczego ja? - książę pierwszy przerwał milczenie. - Dlaczego nie król, a dopiero potem ja? Przecież zamach na moje życie obudziłby czujność króla.

- Może to właśnie miało uderzyć w króla. Przy jego stanie zdrowia... Wiesz przecież, jak twój ojciec zareagowałby na wypadek...

- Mojej śmierci? - Deverell przerwał wywód Garricka. - Wiem, chociaż trudno byłoby to po nim dzisiaj poznać.

- Musiał być w dobrej formie. - Garrick uśmiechnął się.

- W bardzo dobrej. Zachowywał się istotnie po królewsku.

Wspaniale opanowywał złość. Trudno było uwierzyć, że jest chory. Mam nadzieję, że szybko wyzdrowieje. Chciałbym umieć kontrolować się tak, jak on to potrafi.

- Kontrolować się? - powtórzył Garrick, wyprowadzając swojego konia ze stajni. - Masz szansę, chłopcze, wykazać się samokontrolą podczas podróży ze swoim opiekunem.

Kiedy zbliżała się północ, Deverell był gotów do drogi. Leżał na łóżku w swojej sypialni i czekał na pojawienie się milady w spodniach. Nie tylko król chciał zachować tajemnicę, jemu też zależało na tym, aby zmylić nieprzyjaciół i po cichu opuścić pałac. Poza tym nie da drugiej okazji tej damie, temu kapitanowi pantalonowi, zobaczenia go bez ubrania. Chociaż trudno ją było traktować jak prawdziwą kobietę, jednak mężczyzna powinien być na poziomie i...

Czując podmuch zimnego powietrza, Deverell położył się na brzuchu i schował twarz w poduszkę. Garrick dobrze go wyszkolił - potrafił wyczuć czyjeś ciche kroki nawet w kompletnej ciemności. Podeszła prosto do łóżka. Co za bezczelna pannica!

Poduszka poleciała na podłogę, a mała dłoń zasłoniła mu usta. Nie miał zamiaru krzyknąć, ale były, u licha, jakieś granice. Ta piekielnica poląła go wodą!

- Tylko piśnij, książątko! - usłyszał szept tej sekutnicy, która na dodatek przyciskała go kolanem do pościeli - tylko

piśnij, a będziesz szczerze żałował, że nie byłeś gotów!
Zrozumiano?

Mógł tylko wykonać potakujący ruch głową.

- Wstawać! - warknęła, zrzucając kołdrę na podłogę.

Deverell z trudem powstrzymał się od powiedzenia jej czegoś do słuchu. Woda ściekała mu z włosów, ale zacisnął zęby. Wziął przygotowany przez Garricka skórzany worek, który miał przytroczyć do siodła, i podążył za wyznaczonym mu przez los kapitanem.

Siwek Marisy i potężny gniadosz dla Deverella czekały za murem, który w średniowieczu okalał zamek królewski. Ze zrozumiałych powodów Mustafa musiał zostać w stajni, pod opieką Garricka. Księżca nie opuszczała myśl o przyjacielu, kiedy jechał za Marisą w nieznane.

Przejażdżka konna z Garrickiem dała mu materiał do rozmyślań. Kiedy księżę zżymał się na przydzieloną mu do ochrony amazonkę, zamiast wypróbowanego przyjaciela, Garrick tylko się uśmiechał.

- Zapominasz, chłopcze - powiedział - że najjaśniejszy pan ma powody, żeby cofnąć mi kredyt zaufania. W jego oczach jestem równie winny jak Malsaur. Wierzy, że zaprzestałem uczyć cię sztuki wojennej i dlatego jesteś takim niedołęgą. Jestem zadowolony, że nie zwolnił mnie ze służby.

Należało więc tylko obmyślić, jak można wykorzystać fakt, że Garrick pozostaje na dworze. Mógłby tam być okiem i

uchem Deverella. Może dowie się, kogo król podejrzewa o zdradę. Musieli tylko znaleźć jakiś sposób porozumiewania się na odległość.

Postanowili użyć w tym celu trzech szpiegów Garricka. Księżę będzie się starał opóźnić swój pochód do obozu Wellingtona, a Garrick wyposaży emisariuszy w ręce konie. Kiedy Deverell chciał wiedzieć, czy można im całkowicie zaufać, okazało się, że wszyscy są braćmi Garricka.

- Książątko jest dziwnie milczące? - Jego rozmyślania przerwało ironiczne pytanie. - Żadnych pytań? Jesteśmy już daleko od pałacu.

- Mam prawo się odzywać? - zażartował.

- Jeśli książątko ma coś ciekawego do powiedzenia.

- Jestem cały mokry. Zniszczyłaś mój nowy fontaż. I to bez żadnego powodu.

- Mylisz się, księżę. Trzeba było nauczyć lenia dobrych manier.

- Mam się uczyć manier! Od kobiety w spodniach! Wątpię, czy wiesz, co oznacza to słowo.

- Wiem to, co powinnam wiedzieć w mojej pracy - powiedziała Marisa i zrównała swojego konia z jego gniadoszem. - I jestem przygotowana do zleconych mi zadań. Zobaczymy, czy księżę potrafi sprostać swoim zadaniom, zanim będzie za późno.

Noc była jasna i Deverell mógł się dobrze jej przyjrzeć. Była wysoka jak na kobietę, szczupła i miała zgrabne długie nogi, których kształt uwydatniały te nieprzyzwoite spodnie. Stwierdził ze zdziwieniem, że w jej twarzy nie można znaleźć żadnych oznak herod-baby. Ta dziewczucha była piękną kobietą.

Miała duże, szare oczy i długie, czarne rzęsy. Nigdy jej się przedtem nie przyglądał. Nie zauważył jej zgrabnego nosa i ust, które... prosiły się o pocałunki.

- No co się gapisz, u diabła? - Padło pytanie z tych pięknych ust, wygiętych w drwiącym uśmiechu. - Jeśli chodzi ci o mój strój, książatko - dodała - to pewnie trudno ci będzie uwierzyć, że nie wszyscy przywiązują do tego wagę. Ani nie oceniają człowieka po jego stroju, tylko według jego zasług!

Po wygłoszeniu tych słów Marisa ruszyła galopem, zostawiając Deverella w tumanie kurzu. Jakże się mylił, sądząc, że w tym męskim przebraniu może kryć się prawdziwa kobieta.

5

-Do diabła, kapitanie, należy się nam odpoczynek.

Popatrz na mnie. Popatrz na moje ubranie. Jestem zmęczony. Jestem głodny! Koniecznie musimy się zatrzymać!

Marisa zacisnęła zęby. Księżę Deverell, od początku podróży, narzekał na wszystko: a to wiatr potargał mu włosy, a to miał zakurzone buty, a to droga była zbyt stroma, a to koń miał niedobry chód.

Mogłaby nie zwracać uwagi na jego utyskiwanie, ale najgorsze było to, że za każdym razem udawało mu się skutecznie opóźnić ich podróż. Trzeba było się zatrzymać, aby przyczesać potargane włosy i zęby znaleźć w jukach odpowiedni kapelusz. Zakurzone buty trzeba było oczyścić - co zajmowało dziesięć minut. Kiedy szlak stawał się niebezpiecznie stromy, Deverell zsiadał z konia i prowadził go za uzdę.

Po kilku godzinach jazdy nie zdołali jeszcze dotrzeć do wzgórz u podnóża górskiego łańcucha Baravii. Marisa miała nadzieję, że znajdą się na przełęczy, zanim zapadnie ciemność. Teraz wiedziała, że przed zmierzchem nie dotrą nawet do podnóża gór.

- Do czorta, kapitanie- dobiegł ją głos księcia, który jechał za nią. - Dlaczego się tak spieszymy? Czemu ma służyć to bezsensowne tempo?

- Wcale nie jest bezsensowne. Król powiedział...

- Do diabła z królem - i z wami wszystkimi!

Marisa zeskoczyła z konia, podeszła do gniadosza Deverella i chwyciła go za uzdę.

- Proszę posłuchać, wasza ślamazarna wysokość. Jeśli o mnie chodzi, to możesz przeklinać, ile tylko chcesz, i wysyłać mnie do diabła, ale najjaśniejszy pan to zupełnie inna sprawa. On nie tylko jest twoim władcą- on jest twoim ojcem! Do cholery, powinieneś okazywać mu szacunek!

- Łatwo ci powiedzieć - zadrwił. - Twój ojciec nie zmusza cię do tego, abyś prowadziła życie niegodne twojego urodzenia. On cię nie wysłał na jakieś cholerne przeszkolenie na tym diabelskim półwyspie! I nie upokorzył cię w obecności premiera!

- Nie, książatko, nie zrobił tego - powiedziała Marisa cichym głosem.

Nie dodała, że byłaby zadowolona, gdyby jej ojciec miał w stosunku do niej takie wymagania. Oznaczałoby to, że się nią interesuje i chce jej pomóc. A Rupert chciał pomóc swojemu synowi, tylko on nie chciał tego zrozumieć. Deverell patrzył na nią z zaciekawieniem. Marisa stała zamyślona i machinalnie gładziła jego konia po pysku. Wyglądała na smutną, a nawet mógłby powiedzieć, na zagubioną. Ale to nie było możliwe. Kapitan diablica miałaby czuć się zagubiona? Ona była zawsze cholernie pewna siebie.

Ale nie o niej powinien teraz myśleć. Najważniejsze było to, czy zdołał na tyle opóźnić ich pochód, aby Garrick...

- Daję ci piętnaście minut, książątko - odezwała się Marisa- Ale na tym koniec. Nie chcę słyszeć już żadnych lamentów. Nie będzie więcej postoi na poprawianie twojej cennej garderoby, nie będzie zsiadania z konia. Piętnaście minut - powtórzyła - wyjmując męski zegarek. – Potem wsiadasz na konia i jedziemy tak długo, dopóki ja nie zarządzę postoju. To jest rozkaz, książątko. Jeśli nie posłuchasz, to cię zwiążę, zaknebluję i będziesz wisiał przerzucony przez siodło jak worek żyta!

Po wygłoszeniu tej przemowy, Marisa podeszła do swojego konia i poprowadziła go w kierunku grupy drzew. Deverell poszedł za nią i zobaczył, że płynie tam mały strumyk. Widać było, że dobrze znała teren, ale to go wcale nie dziwiło. Doskonały kapitan Gwardii Konnej posiadał wszystkie cechy pierwszorzędnego żołnierza, oraz wszystkie przymioty prawdziwego mężczyzny - czyli to wszystko, co ojciec Deverella pragnął widzieć w swoim synu. Szkoda, że nie urodziła się mężczyzną. Szkoda też, pomyślał, patrząc na jej opięte spodniami biodra, że nie jest prawdziwą kobietą.

Szybko odwrócił od niej wzrok. Powinien napić gniadosza, ale przede wszystkim należało coś zjeść. Nie był wcale głodny, ale nie mógł dopuścić, aby się zorientowała, że jego bezustanne biadolenie jest pozorowane. Była bardzo

bystra i mogłaby szybko go zdemaskować. I zawiadomić ojca o tym fakcie!

Po piętnastu minutach wsiedli na konie. Deverell jechał za nią bez słowa. Nie należało przesadzać w utyskiwaniach. Zresztą zaczynał już nienawidzić brzmienia własnego głosu.

Po godzinie jazdy, ku wściekłości Marisy, wymusił postój.

- Powinieneś mieć więcej samokontroli, książątko - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Ale nie można się kontrolować, kiedy natura upomina się o swoje prawa. - Książę był zadowolony, że znalazł tak doskonałą wymówkę. - Dlatego właśnie, kapitanie, nazywa się to naturalną potrzebą.

Marisa udawała, że poprawia ostrogi, aby ukryć rumieniec. Jej gwardziści nigdy nie stawiali jej w tak krępującej sytuacji. Załatwiali te sprawy na uboczu, nie zwracając niczyjej uwagi. Marisa też skorzystała z postoju przy strumyku. Trzeba było tylko mieć trochę delikatności. Ale czego można wymagać od tego zniewieściałego książątka!

- Zaczekam - warknęła.

- Dziękuję, milady - powiedział Deverell i uśmiechnął się szeroko.

- Będę ci wdzięczna, książątko, jeśli nie będziesz mnie nazywał milady! - wrzasnęła Marisa, zawracając konia.

Deverell zaśmiał się cicho. Chciała być kapitanem, ta milady w brudnych spodniach. A jak ładnie się zarumieniła.

Czy była dziewicą? Trudno było to sobie wyobrazić, przy jej trybie życia. Ale ten fakt nie był istotny, już nic nie mogło zepsuć jej reputacji. W Baravii kobieta, która przebywała wyłącznie w towarzystwie mężczyzn, miała i tak zaszarganą opinię. Czy ten Winther miał dobrze w głowie? Jak mógł pozwolić, aby jego jedyna córka zrujnowała sobie w ten sposób życie?

Deverell ociągał się tak długo, jak mógł, aby nie wzbudzić podejrzeń. Wreszcie ruszyli. Podczas jazdy trapiły go te same myśli. Znał dobrze Winthera, wiedział, że jest on przede wszystkim żołnierzem. Czyżby kompletnie zapomniał o swoim wysokim urodzeniu i wymogach życia na dworze? Był wdowcem, nie było kobiety, która by mu o tym przypominała.

Matka Marisy umarła w połogu, ale czy nie było żadnej innej kobiety, aby zajęła się jej wychowaniem? Było oczywiste, że pozostawiono ją samą sobie, bez żadnej opiekunki, która by potrafiła umiejętnie nią pokierować. Deverell uznał, że było to karygodne zaniedbanie. Chciałby wiedzieć, dlaczego się tak stało. Nie mógł o to zapytać Winthera ani ojca. Najlepszym źródłem informacji byłaby królowa.

Chciał otrząsnąć się z tych myśli. Co go może obchodzić kapitan Lancet? Popatrzył przed siebie. Marisa właśnie przechyliła się w siodle, szukając czegoś w jukach. Słońce uwydatniało delikatne rysy jej twarzy i piękną cerę, mimo nieodpowiedniej dla kobiety opalenizny. Widział teraz

wyraźnie jej piersi pod opiętą koszulą. Z uśmiechem wzruszył ramionami. W końcu nie miał teraz nic lepszego do roboty.

Marisa miała już dość jego narzekań. Na szczęście, ten tchórz zapamiętał sobie to, co mu powiedziała, i nie biadolił podczas jazdy. Za to odbił to sobie w dwójnasób, kiedy zatrzymali się na nocny popas.

Zgodnie z jej przewidywaniami, musieli rozbić obóz u podnóża gór. Dotrą na przełęcz dopiero jutro, a zanim dojadą do obozu Wellingtona...

Jego książęca mość zbierał teraz drewno na ognisko, a jego skargi roznosiły się donośnym echem.

- Do czego ona mnie zmusza? Jestem już cały podrapany. Zniszczyłem swoje najlepsze rękawice.

Marisa miała ochotę go spytać, u kogo szuka współczucia, może u swojego konia, ale zacisnęła zęby i nie odezwała się. Zbierało się na deszcz. Szybko wyciągnęła ze swojego worka są kawał nieprzemakalnego płótna i zarzuciła je na zaimprovizowany szkielet namiotu. Usłyszy dość narzekań, jak przyjdzie ulewa, pomyślała. Nagle rozległ się donośny krzyk.

- O co chodzi? - spytała, kiedy książę wyszedł z krzaków, trzymając kilka suchych gałęzi w ręku.

- Ładnym jesteś ochroniarzem! Mogłem tam stracić życie!

- Co się stało?

- Jakieś ogromne zwierzę chciało mnie zaatakować!

- Nic ci się jednak nie stało.

Chyba nie powinnam spuszczać go z oka, pomyślała Marisa. Jakkolwiek by było, to jest następca tronu.

- No i... - Deverell zaczął strzepywać pył z ubrania.

- No i co? - Marisa westchnęła, widząc, że sama będzie musiała zebrać więcej drzewa na ognisko.

- No i mój krzyk je wystraszył;

- To świetnie. Może nie będziesz wymagał żadnego przeszkolenia, książątko. Potrafisz krzykiem wystraszyć wojsko nieprzyjaciela.

Spadły pierwsze krople deszczu. Deverell zapomniał języka w gębie, patrząc na zarys jej piersi pod zmoczoną koszulą.

- Zakryj drewno ty m płótnem! - krzyknęła, słysząc odgłos grzmotu. - Trzeba szybko schować juki pod namiot.

Po chwili lało już jak z cebra, błyskawice przecinały niebo. Zanim sami zdążyli się schować, byli już kompletnie przemoczeni.

- Okropnie tu ciasno - jęknął Deverell.

Rzeczywiście, było wystarczająco dużo miejsca dla jednej osoby, chociaż Marisa bywała w jeszcze gorszych warunkach. Po przejściu burzy miała zamiar poszerzyć tę przestrzeń, a tymczasem chciała czymś zająć księcia, aby nie słuchać jego narzekania.

- Czy myślałeś już o tym, kim będziesz w obozie Wellingtona? - spytała. - Chodzi mi o tę maskaradę.

Czyżby go już zaczęła podejrzewać? Zaniepokoił się.

- Maskaradę? - powtórzył niewinnym tonem.

- Mówię o rozkazie króla, że masz nie ujawniać swojej tożsamości. Będziesz musiał sobie wybrać jakieś pospolite nazwisko. Czy masz jakiś pomysł?

- Aha. - Deverell z zadowoleniem przyjął jej wyjaśnienie. - Masz na myśli moje bojowe imię.

- Bojowe imię? - roześmiała się Marisa.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Przecież jesteśmy na wojnie.

- Niektórzy byli już na wojnie, książątko. Nie zauważyłam cię jednak na polu walki.

- Hm... czy mam z tego wnioskować, że ty tam byłaś?

- Podstawowym obowiązkiem Gwardii Konnej jest ochrona osoby króla. Ponieważ królowie Baravii wszyscy byli żołnierzami, my, gwardziści, jesteśmy zawsze z nimi na polu bitwy. Jak do tej pory, podczas wojny z Francją, Barania wysyłała tylko posiłki dla koalicji. Ale ostatniego lata, kiedy mój ojciec był chory, król sam poprowadził korpus ekspedycyjny przeciwko belgijskiemu generałowi Soultowi. Gwardia była razem z nim.

Marisa przymknęła oczy. Przez długi czas, po powrocie z Belgii, nie mogła dojść do siebie. Te okropne obrazy

prześladowały ją we dnie i w nocy. Wolała nie przywoływać tych wspomnień.

Deverell usłyszał jej westchnienie. Domyślał się, jak ciężko musiała to przeżyć.

- Byłam tam, książątko - powiedziała cichym głosem. - Tak... byłam tam.

Deverell nie wiedział, co powiedzieć. Nie spodziewał się tego. Mężczyzna, którym był, pragnął ją pocieszyć. Ale odgrywał samolubne książątko i nie mógł wyjść ze swojej roli. Przeklinał się w duchu za swoją emocjonalną reakcję na jej słowa. To komplikowało sprawę.

Donośny grzmot przerwał mu te rozmyślenia. Zakrył uszy rękami.

- Zaraz ogłuchnę! - krzyknął.

- Najlepiej być głuchym i niemym - mruknęła Marisa. - Trzymaj łokcie przy sobie - dodała ze złością.

Deverell zorientował się, że jego łokieć spoczywa na piersi Marisy. Niech to szlag trafi!

Szybko opuścił ręce. Zorientował się również, że jego ciało nie pozostało obojętne na bliskość tej ponętnej kobiety, mimo jej męskiego przebrania. To jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

Postanowił skupić się na swoich planach. Jego czasowe wygnanie też mogło przynieść korzyść. Anglia była ścisłym sojusznikiem Baravii. Garrick był przekonany, że Wellington

jest najlepszym angielskim wodzem. Może uda mu się uzyskać pomoc Wellingtona, aby rozwiązać kryzys w kraju.

Po chwili powrócił myślami do siedzącej obok niego dziewczyny. Nie mógł znaleźć żadnego wytłumaczenia dla jej trybu życia. Odrzuciła przecież wszelkie normy, obowiązujące kobiety jej urodzenia. Była stracona dla arystokratycznego towarzystwa. Była kobietą, która całkowicie wyzbyła się własnej płci.

Może mógłby jej w jakiś sposób pomóc? Ale jak można pomóc milady od szabli i pistoletu?

A jednak... Był przecież następcą tronu, jej przyszłym władcą. Ma obowiązki wobec swoich przyszłych poddanych.

Zaczął się zastanawiać nad swoimi możliwościami. Będą teraz spędzać wspólnie dużo czasu. Powinien znaleźć jakiś sposób, aby ją przekonać, jak niemądrze ryzykowny jest jej obecny styl życia. To już byłby duży krok naprzód. Warto było spróbować.

Marisa również oddawała się rozmyślaniam. Chciała jak najlepiej wywiązać się z powierzonego jej zadania. Wellington znał sytuację, w jakiej obecnie znajdowała się Baravia. Może w tym czasie, kiedy książę będzie przechodził przeszkolenie bojowe, Wellington pozwoli jej wstąpić do jednego ze swoich pułków. Mogłaby się tam wiele nauczyć. Służba pod dowództwem Wellingtona byłaby dla niej

prawdziwym zaszczytem. Poza tym brakowało jej codziennych ćwiczeń z gwardzistami.

Zerknęła w stronę księcia. Deszcz już prawie ustał i zrobiło się o wiele jaśniej. Dobry Boże! On był niezwykle przystojny, z czego sobie przedtem w ogóle nie zdawała sprawy. Ten mazgaj, który tak bardzo działał jej na nerwy, okazał się pięknym mężczyzną!

Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? A przede wszystkim, dlaczego widzi to teraz? Był przecież stale tym samym ślamazarnym fircykiem.

Zaniepokojona tym odkryciem, Marisa usiłowała się odsunąć od swojego podopiecznego. Bez rezultatu. Musieli siedzieć ściśnięci pod tą płachtą, gdzie nie było ani milimetra wolnego miejsca.

- Nie dość, że siedzimy ściśnięci jak śledzie w beczce, to jeszcze musisz się kręcić? - odezwał się książę. - Jest tu wystarczająco ciasno, kapitanie, i nie ma miejsce na gwałtowne ruchy.

- Więc wynoś się stąd! - krzyknęła. - Już nie pada, jeśli sam tego nie zauważyłeś. Idź, zobacz, gdzie są konie.

- Ale konie - Deverell wyjrzał ostrożnie spod płachty - są daleko stąd. A jeśli ten dziki zwierz...

- Wynocha! - wrzasnęła, trącając go z całej siły ramieniem.

Nie widziała już w nim atrakcyjnego mężczyzny, tylko tchórzliwego niedołęgę, a ten jej nie interesował.

- Wynocha, ty zakuty łbie, bo mogę zapomnieć, że mam strzec twojego bezwartościowego życia, zamiast położyć mu kres!

Deverell wyszedł na polanę i przypomniał sobie, jakiego zadania chciał się podjąć. Pomóc jej stać się damą? Chyba zwariowałem. Prędzej nauczyłbym swojego konia tańczyć!

6

Droga przez góry do granicy austriackiej zabrała im pełne dwa dni. Marisa obwiniała siebie za tę zwłokę. Teraz jeszcze czekała ich przeprawa przez przełęcz, pilnie strzeżoną przez wojska królewskie.

Naturalną granicą Baravii były góry, więc nie trzeba było wielu ludzi, aby w razie potrzeby zatrzymać najeźdźców na tym jedynym dostępnym przejściu.

Marisa wielokrotnie przekraczała tę przełęcz sama albo w towarzystwie gwardzistów i zapomniała, że tym razem nie będzie mogła ujawnić strażom swojej tożsamości, aby móc swobodnie przejechać. Nie wolno jej było zdradzić faktu, że Deverell wyjeżdża z kraju. Samego księcia mogłaby przemycić w przebraniu, ale wszyscy wojskowi zbyt dobrze znali kapitana Lanceta, aby jego towarzysz nie wzbudził ogólnej ciekawości.

Deverell namawiał ją, żeby przebrali się oboje. Proponował, żeby Marisa włożyła spódnicę. Wyciągnął nawet ze swojego bagażu jedwabną pelerynę, którą można by przerobić na spódnicę. Co za pomysł! Ona miałaby paradować w spódnicy przed żołnierzami swojego ojca!

Musieli zdecydować się na tymczasowy postój w górach i nocować w jaskini. Czas uciekał, było bardzo zimno. Wreszcie Marisa zdecydowała się podjąć ryzykowne kroki.

Kazała księciu przebrać się w zwykły strój do konnej jazdy, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł się w jego jukach. Podczas nocnej zmiany straży mogli prześlizgnąć się wąską, boczną ścieżką, z której sama często korzystała podczas swoich poprzednich pobytów w górach. Trzeba było tylko poczekać na wyjątkowo ciemną noc. Na szczęście nie musieli długo czekać. Następnego wieczoru gęste chmury okryły niebo. Marisa wiedziała, że dyżurującą na przełęczy straż zawsze odprowadzał konny konwój. Ukryli się poniżej przełęczy i ruszyli za grupą żołnierzy, aby w odpowiedniej chwili skręcić na znaną jej ścieżkę. Była tak wąska, że mógł się na niej zmieścić tylko jeden koń. Marisa zadbała o to, żeby owinać kopyta ich koni szmatami. W panujących ciemnościach nie było ich widać, ale odgłos kopyt końskich na pewno zaalarmowałby czuwających żołnierzy. Jechała wolno, ale pewnie, za nią podążał książę. Świtało już, kiedy pokonali większą część stoku i nie byli widoczni z przełęczy.

Nagle Marisa wyrzuciła z siebie serię przekleństw. Deverell był zaszokowany. Tym razem nie musiał udawać. Nigdy jeszcze nie słyszał takich słów w ustach kobiety.

- Takie wyrazy, milady... - zaczął.

- Zapamiętaj sobie, książątko, że nie jestem milady. - Marisa nie omieszkała zwrócić mu uwagi. - Te cholerne zabojady palą wioskę! Czy nie widzisz dymu?

Pierwszym odruchem Deverella było szybko zjechać w dół i zobaczyć, czy da się jakoś pomóc mieszkańcom wioski. Był jednak książątkiem i nie mógł wychodzić ze swojej roli. Nie mogła ryzykować, że zostanie rozpoznany.

- To co zrobimy? - spytał trwożliwym głosem.

Marisa ciężko westchnęła. Przysięgła królowi, że będzie ochraniać tego tchórza. Nie chciała jechać z nim do wioski, gdzie mógł się jeszcze znajdować nieprzyjaciół, a jednocześnie uważała, że jej obowiązkiem jest niesienie pomocy sprzymierzeńcom Baravii.

- Dojedziemy do tej grupy drzew, którą widać na horyzoncie - powiedziała. - Stamtąd będzie można obserwować wioskę. Jeśli dobrze pamiętam, ta osada nazywa się Altdorf.

- A potem, milady?

- Potem zobaczymy. - Marisa rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie. - Teraz trzymaj się blisko mnie. Jeśli podniosę rękę do góry, masz zawracać i gnać z powrotem do granicy. Zrozumiano?

- Tak... kapitanie.

Wreszcie znaleźli się pod osłoną drzew. Był to gęsty zagajnik drzew iglastych, który dawał im doskonałą osłonę. W kwietniu inne drzewa nie miały jeszcze liści. Zobaczyli niewielką grupę francuskich żołnierzy, wychodzących z wioski. Wyglądali na pijanych i sprawiali wrażenie bardzo

zadowolonych. Pewnie są dezertkami, pomyślała. Nagle, bez wyraźnego powodu, szybko skręcili na wschód i po pewnym czasie zniknęli im z oczu.

Wioska jeszcze płonęła, a na pobliskich polach leżały martwe owce i krowy. Marisa utwierdziła się w przekonaniu, że widziani przez nią żołnierze byli dezertkami. Żadne regularne wojsko nie pozwoliłoby sobie na takie marnotrawstwo. Szczególnie Francuzi, którym w zimie brakowało żywności dla armii.

- Co teraz, kapitanie?

Deverell nie przypuszczał, aby we wsi mogli znajdować się jeszcze żywi ludzie, mimo to uważał, że mają obowiązek pojechać tam i udzielić pomocy, gdyby taka potrzeba zaistniała. Nie on jednak wydawał rozkazy. Czekał na odpowiedź Marisy, która patrzyła przez lunetę na pobojuwisko.

- Chcesz popatrzeć? - spytała, podając ją księciu.

- Hm, sam nie wiem.

- Czas, żebyś zobaczył, jak wygląda wojna, książętko.

- Tam są jeszcze żywi ludzie - powiedział.

- Widzę ich.

Marisa zobaczyła cztery postacie, wyłaniające się z za jakiejś sterty. Wiedziała, że wieśniacy gromadzili gnój, który służył jako nawóz i był jednocześnie oznaką zamożności. Tylko właściciel dużej trzody mógł zebrać dużą przyłmę gnoju.

Stojąca w pobliżu tej sterty chata dopiero zaczynała się palić. Stała na skraju wsi i stosunkowo niedawno podłożono tam ogień. Jej mieszkańcy zdążyli się ukryć i dzięki temu uszli z życiem. To były dwie kobiety, dziecko i stary mężczyzna. Szli wolno, często się zatrzymując, w stronę zagajnika, w którym ukrywali się Marisa i Deverell.

- Nie ruszaj się - rozkazała Marisa. - Zaczekamy tu na nich.

Deverell skinął tylko głową. Sam by tak postąpił. Należało liczyć się z tym, że mogła to być pułapka. Nieprzyjaciel mógł być we wsi i wysłać tych ludzi na przeszpiegi.

Marisa dała mu znak, żeby wjechał głębiej w zagajnik, i ruszyła za nim. Dopiero kiedy dokładnie przyjrzała się wieśniakom, podjechała do nich, nakazując księciu pozostanie na miejscu.

Na jej widok wieśniacy wpadli w przerażenie.

- Nie bójcie się, jestem waszą przyjaciółką – powiedziała po niemiecku.

- Jesteś... kobietą? - spytała niedowierzająco stara wieśniaczka.

Dopiero wtedy Marisa zorientowała się, że mówiąc o sobie, użyła żeńskiej formy.

- O Boże - zawołała staruszka i zaczęła płakać, a po chwili zawtórował jej mały chłopczyk. Młodsza kobieta starała się go uspokoić, a stary mężczyzna potrząsał tylko bezradnie głową.

Marisa zsiadła z konia i dała znak Deverellowi, że może się zbliżyć. Poleciała mu zaprowadzić wieśniaków na polanę, a sama pojechała do wioski. Jeden dzień dodatkowego postoju nie robi już żadnej różnicy - i tak zmarnowali wystarczająco dużo czasu.

Dokładnie przeszukała wioskę, ale nie znalazła nikogo żywego. Po godzinie wróciła do lasu. Była zaskoczona. Deverell zdołał już rozpalić ognisko i nakarmić uciekinierów. Stary mężczyzna miał nawet na sobie pelerynę księcia.

- Dobrze, że już jesteś - powiedział.

Księżę był potargany, w samej koszuli, twarz miał ubrudzoną. To nie był znany jej księżę łamaga. Ale po chwili usłyszała cierpiętniczy ton jego głosu i wiedziała, że nic się nie zmieniło.

- Nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. A gdyby tam byli Francuzi? Gdyby cię ranili albo zabili? Co by się wtedy ze mną stało?

Zanim nastał wieczór, księżę znowu dał jej temat do rozmyślań. Co prawda, nie pominął żadnej okazji, aby sobie ponarzekać, ale jego zachowanie zdumiało Marisę – tak bardzo nie pasowało do tego rozpieszczonego książątka.

Ciepło odnosił się do starego wieśniaka, nazywając go *Grossvater* i częstując jedzeniem, chociaż jego własne zapasy były już na ukończeniu. Kiedy zobaczył, że stara kobieta

bliska jest płaczu, potrafił ją pocieszyć i rozweselić. Zajmował się nawet całkiem umiejętnie pięcioletnim chłopczykiem.

Wieśniacy opowiedzieli im o napadzie na wioskę. Zaczęła mówić starsza kobieta, Herta, potem jej synowa, Liesel. Kiedy młoda kobieta rozszlochała się, mówiąc o śmierci swojego męża, stary mężczyzna, Opa, dokończył za nią opowieść o tym, co się wydarzyło.

- Strzelali do wszystkiego, co się rusza. Do staruszek, dzieci, a nawet do zwierząt. Schowaliśmy się za stertą gnoju. Nie zauważyli nas. Udało nam się ocalić życie.

Okazało się, że Opa ma brata, który na pewno udzieli im schronienia. Nie wiedzieli jednak, jak tam bezpiecznie dotrzeć. Staruszek tłumaczył Marisie, że brat mieszka niedaleko, zaraz po drugiej stronie doliny. Czy ona i jej mąż nie mogliby ich tam zaprowadzić?

Zażenowana Marisa skinęła tylko głową. Ale kiedy odezwał się Deverell, ledwie się powstrzymała, aby nie wtłoczyć mu tych słów z powrotem do gardła.

- Moja żona i ja chętnie was tam zaprowadzimy, dziadku. Jesteśmy niedawno po ślubie i dlatego wybraliśmy się w podróż. Tak się składa, że jedziemy w tamtym kierunku.

- **W**idzę, że dobrze się bawisz - warknęła Marisa, kiedy wyjeżdżali ze wsi, w której mieszkał brat Opy. - Nie

dość, że zrobiłeś z nas świeżo poślubioną parę, to na dodatek przyjąłeś prezenty od tych biednych ludzi.

- Zaczynało nam brakować żywności - powiedział Deverell.

- I to uznajesz za usprawiedliwienie? Nagadałeś kłamstw i zabrałeś jedzenie, które mieli dla swoich dzieci!

- Nie rób z tego tragedii. Ich dzieciom nie brakuje jedzenia - powiedział z szerokim uśmiechem.

Deverell wiedział, że Marisa ma inny powód irytacji i nie chodzi jej o bochenek chleba i pęto kiełbasy, które otrzymali od wieśniaków.

Przyczyną jej złego humoru było to, że według miejscowego zwyczaju, nowożeńcy sypiali na wąziutkim łóżku, w izbie tak małej, że nie było nawet gdzie stanąć, nie mówiąc już o rozłożeniu na podłodze pościelenia. Ponieważ Deverell ogłosił, że są niedawno po ślubie, przydzielono im taką izbę.

Łóżko było za wąskie dla dwojga. Spędzili tę noc ściśnięci w nieprawdopodobny sposób. Zanim Deverell zdążył się położyć, Marisa wyciągnęła z buta nóż.

- Spróbuj mnie tknąć choćby palcem - powiedziała, demonstracyjnie bawiąc się nożem - a zapomnisz na całe życie o nocach poślubnych.

Na to wspomnienie twarz Deverella przybrały chmurny wyraz.

- Straciłeś humor. Czyżbyś miał wyrzuty sumienia?
- O czymś innym myślałem. Czy rzeczywiście umiesz tak dobrze posługiwać się nożem?

Marisa uśmiechnęła się złośliwie i poklepała po bucie.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała ci tego udowadniać.

Jechali na południe, trzymając się z dala od głównych dróg. Im mniej ludzi spotkają, tym lepiej, uważała Marisa. Przy nieuniknionych spotkaniach podawała się za młodego mężczyznę, który razem z kuzynem szuka pracy. Chroniło ją to przed niepożądanym zainteresowaniem ze strony mężczyzn, a poza tym w tej roli czuła się znacznie lepiej.

Wieczorem starali się rozbijać obóz w lesie, gdzie polując mogli uzupełnić swoje zapasy żywności. Marisa była doskonałym myśliwym, stale polowała w lasach Baravii.

Czasem na te myśliwskie wyprawy zabierała księcia. Chciała nauczyć go tropienia zwierzyny. Bez rezultatów. Deverell nie miał wyczucia kierunku, stale się potykał i robił wiele hałasu.

Do tego wszystkiego nie mogła spuścić go z oka. Kiedy raz udało mu się natrafić na świeży trop, okazało się, że są to ślady niedźwiedzicy z małymi. Marisa, w ostatniej chwili, zawróciła go ze szlaku.

Wreszcie ruszyli na wschód i dotarli do włoskiej granicy. W tej górzystej części kraju mówiono zarówno po włosku, jak i po niemiecku. Marisa i Deverell nie mieli kłopotów z porozumieniem się w tych językach.

Musieli teraz skierować się na południe, a kraj był pełen francuskich żołnierzy. Przejazd przez Francję nie wchodził w rachubę. Marisa chciała dotrzeć do Genui i wynająć tam jakiś stateczek, który dowiozłby ich na Półwysep Iberyjski. Ich podróż stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Wielokrotnie musieli kryć się po lasach, aby uniknąć spotkania z francuskimi żołnierzami.

Ratowała ich dobra znajomość języków. Przejeżdżali teraz przez gęsto zaludnione obszary i często musieli kupować żywność w miastach.

Tego dnia od świtu prawie nie zsiadali z koni. Wjechali do miasteczka i Marisa zatrzymała się przed gospodą.

- Jeśli dopisze nam szczęście, to dzisiejszej nocy nie będziemy musieli spędzać pod gołym niebem - powiedziała.

- Co?! - wykrzyknął Deverell. - Nie będę musiał rozpalać ogniska? Rozbijać obozu? To czym będę się zajmował przez cały wieczór?

- Możesz tymczasem zająć się końmi, a ja spytam w gospodzie.

Marisa obawiała się, że gospoda będzie przepelniona. Zbyt wielu uchodźców szukało schronienia w miastach.

Deverell i Garrick często rozbijali obóz pod gołym niebem i książę bardzo to lubił, ale Marisa nie powinna o tym wiedzieć. Zsiadł z konia, aby dać odpocząć obolałym mięśniom. Stojąca w pobliżu stajni młoda służąca uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- No i jak? Dopisało nam szczęście? - spytał z udawanym zainteresowaniem, kiedy Marisa wyszła z gospody.

- To zależy, jak na to patrzeć. W gospodzie jest tylko jeden wolny pokój. Ale udostępniono nam również stryszek nad stajnią. Będziemy losować, kto zajmie pokój.

- Dlaczego zrobiłaś się taka nieśmiała, kapitanie? - Deverell ze zdziwieniem uniósł brwi. - Przecież wspólny pokój nie przedstawia większego zagrożenia dla twojej panińskiej cnoty niż łóżko nowożeńców.

Marisa marzyła o spędzeniu nocy w samotności i o prawdziwej kąpieli. Musiała szybko coś wymyślić, aby wytłumaczyć właścicielowi gospody, dlaczego nie chce dzielić pokoju ze swoim kuzynem.

- Powiedz mi, proszę, dlaczego dwóch mężczyzn musi mieć oddzielne pokoje? Co im powiedziałaś, kuzynie? - spytał drwiąco książę.

- Powiedziałam im, że okropnie chrapiesz, więc karczmarz i jego żona mają nadzieję, że to ty będziesz spał nad stajnią.

Marisa wyciągnęła z kieszeni monetę i rzuciła ją w górę.

- Orzeł czy reszka?

Książę zawołał „reszka” i po chwili zobaczył na monecie wizerunek Deverella II. Marisa uśmiechnęła się radośnie, a on zaczął narzekać na czekające go niewygody.

W gruncie rzeczy był zadowolony, że uwolni się na jakiś czas od czujnego wzroku swojego kapitana. Mężczyzna to potrzebował czasem trochę swobody. Zbyt długo byli ciągle razem. Poza tym ta dziewczyna gwardzista zaczynała go coraz bardziej interesować. Szczególnie teraz, kiedy patrzył, jak wchodziła po schodkach do gospody, a spodnie z jeleniej skóry uwydatniały jej zgrabne pośladki. Czy ona sądzi, że ktoś się nabierze na to przebranie? Nikt nie uwierzy, że chłopak może mieć taką figurę.

Chyba zbyt długo nie miałem kobiety, pomyślał. Prawdziwej kobiety!

Ruszył do stajni. Młoda służąca, która uśmiechała się przedtem do niego, poszła w tym samym kierunku. Książę zaśmiał się cicho. Ta noc dobrze się zapowiadała!

Był piękny dzień, kiedy następnego ranka ruszyli w dalszą drogę. Słońce już mocno grzało, na niebie nie było ani jednej chmurki. Marisa nie mogła uwierzyć, że pod tym samym pięknym niebem toczy się wojna. Zawstydziała się nagle swojego wspaniałego samopoczucia.

Poprzedniego wieczoru żona właściciela gospody kazała wnieść do jej sypialni wannę i napełnić ją gorącą wodą.

Marisa nie mogła się dość nacieszyć tą wspaniałą kąpielą. Poza tym miała czyste i wygodne łóżko, na którym przespala kamiennym snem całe osiem godzin i obudziła się świeża i wypoczęta. Służąca przyniosła jej do pokoju doskonale śniadanie.

Jedynym zgrzytem były aroganckie maniery tej dziewczyny z wielkim biustem. Marisa przypomniała sobie, że przy wieczornym posiłku, który jadła w towarzystwie księcia, ta bezczelna dziewczucha stale się przy nich kręciła, nie spuszczać wzroku z Deverella. Pochylała się też zbyt nisko, kiedy dolewała mu piwa. Raz nawet puściła do niego oko.

Popatrzyła na jadącego obok niej księcia. Miał na ustach uśmiech, który, o ile się na tym znała, świadczył o tym, że jest z siebie zadowolony. I chyba dobrze się na tym znała, ponieważ widywała już takie uśmiechy na twarzach swoich gwardzistów. Przeważnie tak się uśmiechali po powrocie z urlopów. To znaczy, dokładnie mówiąc, po nocach spędzonych na rozpuście. Marisa nie miała szczegółowej wiedzy na temat miłości cielesnej, ale nie była też głupią gąską. Wiedziała, że niektóre kobiety wręcz prowokowały mężczyzn. Jak ta dziewczyna w gospodzie.

Więc to tak. Nie powinna być zaskoczona. Bez względu na obowiązki ciężące na następcy tronu, dla niego na pewno zawsze ważniejsze będą kobiety.

Jakby dla potwierdzenia, książę zaczął cicho pogwizdywać. Marisa знаła melodię tej piosenki. Gwardziści często ją śpiewali w godzinach wolnych od służby. Oczywiście nie robili tego w jej obecności, ale przecież miała uszy. „Przewróć mnie na siano” - te słowa na pewno nie odnosiły się do hodowli bydła.

- Czy mógłbyś przestać gwizdać? - rzuciła ze złością. - Już dawno nie strzelałeś do celu. Spróbujemy poćwiczyć na najbliższej łące.

Nikt nie będzie jej mógł zarzucić, że nie starała się zrobić z następcy tronu prawdziwego mężczyzny - celnie strzelającego i świetnie władającego bronią.

7

Książę ani razu nie trafił do celu. Marisa nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zaznaczyła cel na szerokim pniu drzewa, a on nie trafił nawet w drzewo! Popatrzyła uważnie na niego.

- Do diabła! - krzyknęła. - Nie zamykaj oczu, kiedy strzelasz, w ten sposób nigdy nie trafisz do celu.

- Kiedy celuję, mam oczy otwarte - powiedział Deverell, wzruszając ramionami.

- To dlaczego je potem zamykasz?

- Nie mam pojęcia - powiedział bez troski.

Książę świetnie bawił się jej kosztem. Przeszkadzało jej, że gwizdże, a potem przez cały czas zachowywała się okropnie. Więc starał się robić wszystko, aby wyprowadzić ją z równowagi.

- Czy to takie ważne? - spytał niewinnie.

Marisa wydała jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Hm. Domyślam się, że tak. A może, kapitanie, po tak niemiłym spędzonym poranku zrobilibyśmy sobie przerwę i coś zjedli?

Marisa skinęła głową. Ćwiczenia na zaimprovizowanej strzelnicy były tylko stratą czasu.

Usiedli pod drzewem. Jedzenie, które kupili w gospodzie, było nadspodziewanie dobre. Widząc, że Marisa jest w lepszym humorze, Deverell postanowił rozpocząć rozmowę na nurtujący go temat.

- To mi przypomina pewne wydarzenie z naszego dzieciństwa - zaczął. - Pamiętasz ten piknik?

- Przypominam sobie jakiś deszczowy dzień. Wybierałeś się z moim bratem na ryby. Ja też chciałam iść z wami. Marta przygotowała kanapki...

- Kiedy deszcz przestał padać, wzięliśmy koszyk z jedzeniem nad rzekę. Jedliśmy i łowiliśmy ryby.

- Ty i Mark łowiliście ryby. Ja mogłam tylko patrzeć. Byłam wściekła na swojego brata.

- Na niego, a nie na mnie? Nie powiesz mi chyba, że moje królewskie pochodzenie robiło na tobie wrażenie?

- Oczywiście, że nie. - Marisa roześmiała się. - Wtedy nie zwracaliśmy uwagi na takie rzeczy.

Deverell popatrzył na nią ze zdumieniem. Po raz pierwszy usłyszał jej śmiech. Wyglądała teraz tak młodo i beztrosko... i tak pięknie.

Wyraz radości szybko zniknął z twarzy Marisy. Opuściła wzrok i zaczęła bawić się sygnetem Gwardii Konnej, który zawsze nosiła na palcu.

- Nie - powtórzyła. - Twoja pozycja nie miała z tym nic wspólnego. Byłam zła wyłącznie na Marka.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zawsze robiliśmy wszystko wspólnie. Byliśmy przecież bliźniakami. Myśleliśmy podobnie, mieliśmy te same marzenia. Zawsze razem - aż do tego dnia nad rzeką, kiedy on mnie wykluczył z zabawy.

Marisa zacisnęła pięści, nie odrywając wzroku od sygnetu.

- To musiało być bardzo bolesne - powiedział ksiązę łagodnym tonem.

Gwałtownie uniosła głowę. Zdziwiła się, widząc wyraz współczucia w jego oczach. Był teraz zupełnie innym człowiekiem. Jak to było możliwe?

- Czy to zaważyło na wyborze twojego obecnego sposobu życia? - spytał.

Chyba ten błahy incydent przy łowieniu ryb nie mógł wpłynąć na jej niezwykłą decyzję wstąpienia do Gwardii Konnej, pomyślał Deverell. Chociaż kto potrafi zrozumieć kobietę...

- Czy to wtedy postanowiłaś udawać chłopaka? Żeby móc robić to wszystko, co robią mężczyźni?

- Nie. Tę decyzję podjęłam... później.

- Rozumiem. A kiedy...

- Zawsze miałam dużo swobody, tyle samo co chłopcy - przerwała mu Marisa. - Dom mojego ojca był wyjątkowy. Nie było tam kobiet. Była tylko Marta, ale bardzo szybko nauczyłam się wyprowadzać ją w pole. Ten incydent nad

rzeką, który tak wytrącił mnie z równowagi, to był dopiero początek. Szybko zorientowałam się, że w miarę jak dorastamy, nasze drogi zaczynają się rozchodzić. W przyszłości Mark miał zostać gwardzistą i to było dla nas obojga zupełnie naturalne,

- A ty? Kim miałaś zostać?

Marisa zaczerwieniła się gwałtownie. Przypomniała sobie, co Marta mówiła o matrymonialnych planach królowej. Szybko podniosła się z ziemi i zaczęła pakować jedzenie do koszyka.

- Ja? Chyba nikim szczególnym. Mój ojciec nic nie mówił na ten temat.

Więc Winther aż tak zaniedbywał córkę, zdumiał się Deverell.

- Rozumiem, że nigdy nie rozmawiał z tobą o swoich planach - zaczął ostrożnie.

- To prawda. - Marisa wzruszyła ramionami. - Ojciec nie jest zbyt... rozmowny.

- To znaczyło chyba, że miałaś wyjść za mąż i wychowywać dzieci.

Marisa skinęła tylko głową. Odwróciła się i ruszyła do koni.

- Zaczekaj chwilę - powiedział.

Zatrzymała się, ale nie obróciła w jego stronę.

- Mówiłaś, że podjęłaś decyzję, aby prowadzić taki tryb życia w późniejszym okresie. Marisa... czy możesz mi powiedzieć, kiedy to się stało?

- Kiedy miałam czternaście lat.

- Ale to nie było w roku, kiedy... - nie skończył zdania.

- To było w roku, kiedy umarł mój brat. Wtedy wszystko się zmieniło.

Po kilku dniach podróży skończyło im się jedzenie, a siwek Marisy zgubił podkowę. Musieli zajechać do miasta. Było to małe, leżące na uboczu miasteczko. Mogli się tam czuć bezpiecznie. Niewielkie domki stały nad rzeką, u podnóża góry. Był tam młyn, mała gospoda i kowal.

Dowiedzieli się, że będą musieli poczekać na podkucie konia - kowal musiał wysłać swojego pomocnika w poszukiwaniu trudno teraz dostępnego żelaza. Mogło to zająć nawet dwa dni. Właściciel gospody winił też wojnę za wysokie ceny swojej żywności i jej małą jakość. Twierdził, że żołnierze Napoleona zabrali mu prawie całe zapasy i przeważnie za nie nie płacili. Ledwie mu teraz starcza dla własnej rodziny. Poradził im, żeby spróbowali złowić trochę ryb w strumieniu.

Marisa poleciła Deverellovi, aby założył obóz przy strumieniu, a sama poszła pieszo do młyna. Chciała kupić

obrok dla koni. W tych okolicach pastwiska były marną. Poza tym musiała przemyśleć pewne sprawy w samotności.

Ten książę niedołęga sprawiał jej ostatnio coraz więcej niespodzianek. Co prawda, nadal był zajęty sobą i jak zwykle niezdarny, jednak potrafił być serdeczny i okazywać współczucie. Marisa była zaniepokojona. Czyżby odgrywał jakąś rolę?

Chociaż wkładała wiele wysiłku w szkolenie, jego umiejętności walki pozostały bez zmian, to znaczy były żadne. To wydawało jej się podejrzane - nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek mógł być tak niezdarny. Postanowiła wystawić go na próbę.

- *Buon giomo, signore* - powitał ją młynarz.

W pobliżu młyna dwóch rosnących mężczyzn zdejmowało z wozu worki ziarna.

- Czego pan sobie życzy, młody panie? - spytał młynarz.

Marisa powiedziała, że chce kupić owies dla koni, może dobrze zapłacić. Pokazała mu nawet pieniądze.

Młynarz westchnął ciężko. Nie miał ziarna na sprzedaż. Zima była ciężka, a poza tym jest wojna. Może *signor* Pangani będzie mógł coś sprzedać paniczowi. On miał dobre żniwa. Młynarz wskazał na zajętego wyładunkiem worków mężczyznę. Jeśli panicz dobije targu z *signorem* Panganim, to jego pomocnik, którego panicz widzi przy wozie, dostarczy worki obroku do obozu.

Marisa podziękowała młynarzowi za radę i podeszła do wozu. Popatrzyła na tych dwóch silnych mężczyzn i przyszedł jej dobry pomysł do głowy. Może uda się jej przy okazji wystawić księcia na próbę.

- **B**ardzo ci jestem wdzięczny za przywiezienie tej wiadomości. Podziękuj również Garrickowi - powiedział Deverell do zdżozonego Matthew Quince'a. - Wszystko, co dotyczy króla, jest dla mnie bardzo ważne.

- To nasz obowiązek, wasza książęca mość. Chętnie służymy księciu i królowi - odparł brat Garricka. - Najtrudniejsze było znalezienie sposobności, aby przekazać księciu nowiny i nie obudzić czujności kapitana Lanceta. Ona jest niezwykła. - Matthew potrząsnął głową w zadziwieniu. - Czy księżę widział, jak ona włada szablą?

- Tak. Chyba dwa razy.

- To księżę wie, jaki z niej doskonały szermierz. Nie do pokonania - dodał z dumą.

Deverell był zdumiony. Młodzi ludzie, tacy jak Matthew, powinni czuć się urażeni, że kobieta przewyższa ich zręcznością na wybitnie męskim polu działania.

- Domyślam się, że... podziwiasz kapitana?

- O tak. Ona jest w porządku. Najlepsza w walce. I wcale nie zadziera nosa. Jest taka, jak każdy z nas. Zaręczam księciu, że jest najlepsza pod każdym względem.

Po odjeździe posłańca Deverell zamyślił się głęboko. Osoba, którą opisał mu Quince, to był idealny obraz królewskiego rycerza: doskonały dowódca, lojalny, wytrawny oficer, który zyskał sobie sympatię i szacunek nie tylko swoich ludzi, ale i zwykłych obywateli.

Problem jednak polegał na tym, że to byli jej ludzie, a nie jego. Dlaczego Mark Lancet musiał zginąć? Niewątpliwie Marisa uznała, że jej obowiązkiem jest zająć miejsce brata. Mówiła przecież, że po jego śmierci wszystko się zmieniło. Czyżby pozbawiony następcy Winther nalegał, żeby zajęła miejsce jego syna? Z drugiej strony, jak na osobę zmuszoną do przyjęcia tak nieodpowiedniej i nienaturalnej roli, Marisa robiła wrażenie zadowolonej. W gruncie rzeczy, świetnie się w tej roli czuła.

Ale, u licha, była przecież kobietą, i to kobietą wysokiego rodu! Czyżby nie chciała żyć jak inne niewiasty na dworze? Wyjść za męża i mieć dzieci? Czy nie odczuwała żadnych zmysłowych podnieć?

Deverell postanowił rozwiązać tę zagadkę.

- **M**uszę to dobrze zrozumieć, paniczku, to znaczy panienko - powiedział farmer Pangani, uważnie patrząc na Marisę, kiedy powiedziała mu, że jest kobietą. - Chce pani, abyśmy z Ricardem - wskazał na pomocnika młynarza, który siedział z nimi w gospodzie - przywieźli

owies, potem przebrali się w stroje, których nam pani dostarczy, i wrócili, udając, że chcemy panienkę napaść?

- Tak - potwierdziła Marisa. - Każdy z was dostanie za to pięć złotych suwerenów, oprócz zapłaty za ziarno. Już nawet znalazłam odpowiednie dla was ubrania.

Marisa spojrzała na właściciela gospody. Był on ojcem trzech dorodnych synów.

- Proszę mi wybaczyć, *signora*, ale nie mogę tego pojąć. Dlaczego chce pani to zrobić? - spytał farmer.

Marisa miała już przygotowaną odpowiedź, która powinna była zadowolić tych prostych ludzi.

- Mój brat jest strasznym tchórzem. Chce, żebym ubierała się jak mężczyzna i nosiła broń. - Tu Marisa zademonstrowała swoją szablę, pistolet i sztylet. - A cały czas twierdzi, że gdybym znalazła się w niebezpieczeństwie, to on mnie obroni! Chcę mu tylko pokazać, *signori*, kto tu jest odważny. To tylko żart, a jednocześnie nauczka dla niego. Pomożecie mi?

Pangani nie wyglądał na przekonanego, natomiast kilkunastoletni Ricardo patrzył pożądliwym wzrokiem na leżące na stole złote monety.

- Nie możemy być pewni, czy brat panienki nie będzie chciał nas zabić. On też może zrobić pani niespodziankę - powiedział z wahaniem farmer.

Marisa była również na to przygotowana.

- Mówiłam wam, że on nie ma broni. Jak przywieziecie ziarno, to się sami będziecie mogli o tym przekonać. Ja schowam swoją broń niedaleko miejsca, gdzie będę pływać w rzece. Pokażę wam tę kryjówkę. Pojawicie się wtedy - ciągnęła - i widząc, że jestem bezbronna, będziecie się starali mnie porwać, czy jak to się nazywa.

Jak to się nazywa? Mężczyźni spojrzeli po sobie. Czy była tak naiwna, że nie wiedziała, że to się nazywa gwałt?

Marisa była tak pochłonięta myślą o zaskoczeniu księcia, że nie zauważyła tej wymiany spojrzeń.

- Nasz obóz jest blisko rzeki. Podniosę taki wrzask, że brat zaraz mnie usłyszy.

- A co potem, *signora* - odezwał się Ricardo, zapomniawszy na chwilę o złocie.

Pangani miał coraz bardziej sceptyczną minę, ale Marisa patrzyła teraz tylko na pomocnika młynarza.

- Potem okaże się, że jest tchórzem. Kiedy nie zdoła mnie uwolnić, ja uwolnię się sama - po prostu mnie puściecie. Pobiegnę z krzykiem w kierunku wioski, a wy - tu Marisa dołożyła po suwerenie do leżących monet - weźmiecie sobie pieniądze, które schowam obok broni. Dziękuję wam, *signori*. Sześć złotych suwerenów dla każdego za pięć minut pracy. Co wy na to?

G *razie, signori* - powiedział Deverell, częstując

winem farmera i pomocnika młynarza.

Upozorowany napad? Co ta dziewczyna wymyśla? To nie mógł być tylko żart. Musiała mieć jakiś powód. Bardzo dobrze płaciła tym mężczyznom. Co się za tym kryło?

- Dziękuję wam za tę wiadomość. Powiedzcie mi jeszcze, z jakiego powodu mojej, hm... siostrze, zależało na tym niby-porwaniu?

- Powiedziała - farmer zawahał się - że chce, żeby pan...

- Mów dalej, człowieku. Nie obrazi mnie to. – Książę uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. - Dobrze wiem, do czego jest zdolna moja siostra.

- Żeby pan okazał się tchórzem, tak nam powiedziała. Prawda, Ricardo?

Pomocnik młynarza skinął głową.

- Rozumiem - powiedział Deverell.

Chyba już zaczynał rozumieć. Nie wyobrażał sobie jednak, żeby dzielny kapitan zastawił na niego pułapkę w celu obnażenia jego braku umiejętności. Marisa już się wystarczająco na to napatrzyła. I jeszcze miałyby płacić za takie widowisko? Wyglądało na to, że chciała go wypróbować. Widocznie coś podejrzewała.

Należało ją ubiec. Jej też należy się nauczka, pomyślał i uśmiechnął się złośliwie.

- I dę popływać - powiedziała Marisa. - Po południu

znalazłam dobre miejsce, na zakręcie rzeki. Nie oddalaj się od obozu. Niedługo wrócę.

Deverell skinął głową z uśmiechem. Marisa mówiła, że idzie pływać, kiedy szła się kąpać. Tłumaczyła mu kiedyś, że podczas podróży nigdy nie zdejmuje bielizny do kąpieli. Była prawdziwą, skromną dziewczyną!

Roześmiał się na myśl, jaka niespodzianka ją czeka. Deverell zaproponował farmerowi i pomocnikowi młynarza dwa razy tyle, ile zaoferowała im Marisa. Za chwilę usłyszy jej wołanie o pomoc. Pobiegnie jej na ratunek i, oczywiście, nie będzie wykazywał się szczególną sprawnością. Ale zanim to nastąpi, zaczeka, aż Pangani i Ricardo dobrze ją przestraszą, tak jak ich poinstruował. Będzie myślała, że wieśniacy potraktowali jej propozycję zbyt poważnie. Pozbędzie się też wszelkich wątpliwości co do swojego księżątka.

- A złoto?

- Musimy je zostawić, Ricardo - powiedział ze smutkiem Pangani.

- Wszystko? - Pomocnik młynarza omal się nie rozplakał.

- Co wolisz, złoto czy zachować życie? Dobrze wiesz, że po tym, jak Francuzi zgwałcili biedną Serafinę i Carmelle Luganelli, burmistrz postanowił, że każdy mężczyzna, który tu zgwałci kobietę, zawiśnie na szubienicy. A kiedy ta

cudzoziemka zacznie krzyczeć, to usłyszysz ją cała wioska. Czy chcesz, żeby uznano cię za gwałciciela? – przekonywał chłopca farmer.

Ricardo poruszył przecząco głową.

- Więc - farmer objął chłopaka ramieniem – zostawimy złoto tych zwariowanych cudzoziemców na miejscu. Zarobimy pieniądze w uczciwy sposób, co?

Ricardo kiwał tylko głową, kiedy farmer prowadził go do domu.

Marisa myła głowę, pilnie rozglądając się dokoła. Jej współnicy spóźniali się. Nie narzekała jednak. Kąpiel w rzece była bardzo przyjemna.

Przed wejściem do rzeki zdjęła tylko kurtkę i buty. Nie chciała wprawiać w zażenowanie wieśniaków, a tym bardziej siebie. Nie mogła się jednak oprzeć chęci umycia głowy. Żałowała, że nie będzie długo korzystać z kąpieli, ale miała ważną sprawę do załatwienia. Jeśli księżę prowadzi jakąś grę, to ona powinna...

Usłyszała trzask suchej gałęzi. Nareszcie! Spodziewała się jednak, że nadejdą z innej strony.

- Dobrze, że jesteście! - zawołała. - Myślałam już, że...

Dwóch mężczyzn wyłoniło się z krzaków. To nie byli wynajęci przez nią wieśniacy. Nie mieli na sobie ubrań, które

kupiła od właściciela gospody. Ich brudne łachmany wyglądały na... francuskie mundury.

Marisa krzyknęła ze strachu. Już nie musiała udawać.

Deverell szedł niespiesznie w kierunku rzeki. Wrzaski jego eskorty stawały się coraz bardziej rozpaczliwe.

- Już idę! - zawołał.

Jego głos nie przebił się jednak przez jej przeraźliwe krzyki. Wieśniacy świetnie się sprawili, pomyślał. Powinien ich dodatkowo wynagrodzić.

Nagle krzyk ucichł. W rzece nie było nikogo. Nie zobaczył na wpół rozebranej damy, którą miał ratować. A raczej, której nie potrafiłby wyratować. Sama wyzwoliłaby się z rąk napastników.

Gdzież oni mogli być?

Zobaczył na brzegu kurtkę i buty Marisy. Oczekiwała towarzystwa, nawet za nie zapłaciła, nic więc dziwnego, że....

Zbliżył się teraz do drzewa, gdzie Marisa miała zostawić dla wieśniaków pieniądze. Mieli je zabrać, a on miał dołożyć drugie tyle. Zajrzał za drzewo i zamarł z przerażenia.

Pieniądze nadal tam leżały.

8

Po bezskutecznych poszukiwaniach Deverell wrócił do obozu, gdzie czekała na niego niespodziewana wiadomość - przywiązany do kamienia kawałek kartki z żądaniem okupu. Ta napisana po francusku notatka, z licznymi błędami ortograficznymi, została prawdopodobnie podrzucona do obozu, kiedy on przeszukiwał brzegi rzeki. Marisa była w rękach Francuzów. Jak to się mogło stać?

Zmiał kartkę w dłoni i rzucił ją na ziemię. Przekupieni przez Marisę wieśniacy nie pojawili się nad rzeką. To przedsięwzięcie wydało się im na tyle ryzykowne, że zrezygnowali nawet z podwójnej zapłaty. I, o zgrozo, pojawili się Francuzi. Trzymali teraz Marisę w charakterze zakładniczki i oby tylko na tym się skończyło..

Tyle kobiet zostało już zgwałconych i zamordowanych w czasie tej wojny. Księżę przeklinał Francuzów, przeklinał wojnę i przeklinał siebie, że dopuścił do takiej sytuacji. Wyjął ze swoich juków szablę, pistolet i nóż - broń, w którą przezornie zaopatrzył go Garrick.

Osiodłał siwka Marisy i wyruszył na poszukiwanie.

Marisa czyniła bezskuteczne wysiłki, aby rozluźnić więzy.

Miała ręce związane z tyłu, a sznur był tak mocno zaciśnięty, że straciła czucie w palcach. Nie dała sobie rady również z powrozem, który krępował jej nogi.

Leżała na wilgotnej ziemi i odczuwała ból w całym ciele, podczas gdy tych dwóch bandytów spierało się o coś bezustannie. Pewnie o to, co mają ze mną zrobić, pomyślała Marisa. Z tej szybkiej wymiany zdań w lokalnym francuskim dialekcie zrozumiała jedynie parę słów.

Leżę tu związana i zakneblowana wyłącznie z własnej winy, oskarżała się w myślach. Każdy rekrut wie, że żołnierz nigdy nie rozstaje się z bronią. Jak mogłam być tak nieostrożna?

Nagle jeden z napastników podniósł się z ziemi i zaczął się do niej zbliżać. W rękę trzymał nóż.

Marisa z trudem przełknęła ślinę. Wiedzieli, że jest kobietą - mokre ubranie oblepiało dokładnie jej kształty. Początkowo odetchnęła z ulgą, że nie chcieli jej zgwałcić. Zorientowała się, że będą żądali okupu. Oby tylko książątko stanęło na wysokości zadania!

Mężczyzna z nożem pochylił się nad nią. Czyżby chciał ją zabić?

Rozciął więzy, które krępowały jej nogi, i patrzył na nią z lubieżnym uśmiechem. Z przerażenia krew zastygła jej w żyłach. Więc jednak... A ona nie mogła się bronić.

Złapał ją za ramię, ale zdołała się wyrwać i usiąść. Był od niej wyższy i o wiele silniejszy. Cóż, nawet ze związanymi rękami nie podda się bez walki.

Nagle zeszywniała.

Zobaczyła Deverella, który skradał się za plecami siedzącego na ziemi Francuza. Ten głupiec miał w ręku nóż.

Była zakneblowana, nie mogła nawet krzyknąć. Za chwilę Deverell zostanie zauważony i nieszczęście gotowe. Francuzi będą mieli zamiast jednego, dwóch jeńców. Albo go zabiją.

Stojący nad nią napastnik zauważył księcia. Chciał krzyknąć, ale nie zdążył tego uczynić. Nóż Deverella utkwiał mu w szyi. Upadł na ziemię.

Jego towarzysz obrócił się i otrzymał silne uderzenie pięścią. Upadł na plecy, sięgając jednocześnie po pistolet. Zdążył jeszcze wycelować, zanim szabla Deverella przygwoździła go do ziemi.

- Nic ci nie jest? - Deverell wyjął szmatę z ust Marisy i rozciął więzy na jej rękach. - Na litość boską, odezwij się!

- Pić - zdołała tylko wyszeptać.

Podał jej wodę. Piła z trudnością, nie mogąc oderwać wzroku od martwych ciał. Wstrząsały nią dreszcze.

Księżę wziął ją w ramiona, zasłaniając trupy własnym ciałem.

- Popłacz sobie - powiedział. - Masz do tego prawo.

- Ja nigdy nie płaczę - wyjąkała przez łzy.

- Oczywiście, że nie. - Deverell gładził ją po głowie. - Ale gdybyś teraz miała na to ochotę, to obiecuję ci, że nie powiem nikomu.

- Dzięki Bogu, że zdążyłeś - szepnęła. - On chciał... on chciał...

- Nie myśl o tym. Już po wszystkim - uspokajał ją.

Marisa skinęła głową, szczęśliwa, że może czuć się bezpieczna w jego silnych ramionach. Gdzie ona miała oczy? Jak mogła nie zauważyć jego muskularnych ramion i szerokiej klatki piersiowej? Żaden dandys nie mógł być tak zbudowany. Tyle innych rzeczy również przeoczyła.

Wtulila się w jego ramiona, wdychając zapach słońca, świeżego powietrza i dymu z ogniska. Męski zapach.

Deverell gładził ją po drżących plecach. Wydawała mu się taka delikatna i wymagająca opieki. Ale to na pewno było złudzenie. Trzymał w objęciach dowódcę jednego z najlepszych na świecie bojowych oddziałów, kobietę żołnierza, ochroniarza, wybranego osobiście przez króla. Było to dziwne, ale nie czas teraz o tym myśleć. Szczęście, że zdążył na czas!

- Jak się czujesz? - spytał, odchylając głowę i patrząc jej w oczy. - Nie jesteś ranna, ale... - Nie wiedział, jak sformułować pytanie. Nie miała zewnętrznych obrażeń, a jak pytać o resztę? - Czy chcesz porozmawiać o tym co... co się tutaj wydarzyło?

Jakie ma niebieskie oczy, pomyślała Marisa. Podobne do oczu ojca, a jednak zupełnie inne. Ciemniejsze i o intensywniejszym kolorze. Miał długie i gęste rzęsy, prawie jak kobieta. Oczy króla często zmieniały wyraz, potrafiły być chłodne, wesołe, odpychające - zależnie od nastroju.

Teraz wzrok Deverella był równie przenikliwy, jak wzrok jego ojca. Peszyło ją to. Zdemaskowała książętko, ale nie mogła zrozumieć ukrywającego się pod tą maską mężczyzny.

- Marisa?

- Zamyśliłam się. O co pytałeś?

- Pytałem, czy... wszystko jest naprawdę w porządku. Czy chciałabyś porozmawiać ze mną na jakiś temat? Mogłoby ci być lżej.

Marisa zeszywniała w jego ramionach. Powinna się była domyślić, że interesować go będzie tylko jedna rzecz. Jedyna rzecz, która obchodziła mężczyzn.

- Proszę się nie obawiać, wasza książęca mość - powiedziała lodowatym tonem, wyrывая się z jego objęć. – Nadal jestem dziewicą.

Przyciągnął ją do siebie i pochylił się nad nią.

- Interesował mnie stan twojego ducha, a nie twoje dziewictwo, głuptasie - powiedział. - Chcę wiedzieć, jak się czujesz psychicznie.

- Och - wyszeptała.

Ponownie źle go oceniła. Ale czy to jej wina? Przyzwyczaiła się tak bardzo do księcia fajtlapy, że trudno jej było pogodzić się z jego nowym wcieleniem. Czym jeszcze zdoła ją zadziwić?

Marisa westchnęła. Jej próba dobrze się skończyła, ale jakim kosztem! I wszystko z jej własnej winy!

- Mariso? - Księżę domagał się odpowiedzi. - Czy rzeczywiście nic ci się nie stało?

Nie wiedziała, co mogłaby mu odpowiedzieć. Jego bliskość i ton jego głosu, tak różny od dotychczasowego biadolenia, wprawiały ją w dziwne pomieszanie. Skinęła tylko głową.

- Na pewno?

Spojrzała mu w oczy i westchnęła głęboko. Co się z nią dzieje? Najwyższy czas opanować się i pomyśleć o obowiązkach

- Przeżyję - powiedziała. - Chociaż na to nie zasłużyłam.

- Znam to uczucie. - Księżę się roześmiał.

- Wszystko popsułam. Byłam naiwna jak dziecko.

Deverell roześmiał się i przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Ale bardzo dzielne dziecko.

Marisa zachmurzyła się. Sposób, w jaki okazywał jej czułość, był zaskakujący i bardzo dla niej miły, ale należało pamiętać o tym, że ją oszukał.

- Nie wydaje mi się, abyś bał się noża. - Marisa obrzuciła księcia chłodnym spojrzeniem. - Świetnie umiesz nim rzucać.

- Hm... Potrafię się nim posługiwać. - Księżę uśmiechnął się blado.

- I świetnie władasz szablą.

- Niektórzy tak twierdzą.

- A jeśli chodzi o strzelanie, to potrafiłbyś trafić do celu, stojąc o wiele dalej od tego drzewa - mówiła, rozłoszczona.

- Pod warunkiem, że miałbym otwarte oczy. - Księżę uśmiechnął się szeroko.

Marisa zakłęła cicho i popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

- Nie zaprzeczysz, że wszystko, co robiłeś, było jednym wielkim oszustwem?

- To się zgadza.

Przekleństwo, które wyrwało się z ust Marisy, uchodziłoby za ostre nawet w koszarach.

- Jestem ci winien wyjaśnienie, ale pochowajmy najpierw tych bandytów. To są dezerterzy, lecz jeśli francuscy żołnierze natkną się na ich ciała, to będą szukać winnych.

Marisa rzuciła okiem na zwłoki i zadrżała ponownie. Poczula się nagle bardzo zmęczona. Deverell miał jednak rację. Nie mogli dopuścić do tego, aby zaczęto ich ścigać. Odpocznie później.

- Potem ruszymy w drogę - powiedziała rozkazującym tonem. - Ci wieśniacy na pewno będą się nami interesować i...

- ...i to może okazać się kłopotliwe, jeśli ktoś zacznie ich wypytywać - dokończył Deverell. - Masz rację. I zabierzemy ze sobą ich konie. Gdyby ktoś chciał nas ścigać, to będzie wypatrywać śladów dwóch koni. Tym sposobem możemy ich zmylić.

Marisa zdumiała się znowu. To książątko, które dobrze знаła, nie było tak rozważne. Kolejna niespodzianka.

- Chodź - powiedział Deverell.

Szybko podniósł się z ziemi, podał jej rękę i obrzucił i uważnym spojrzeniem. Jej ubranie było nadal mokre, poza tym brudne i podarte. Na szczęście nie była ranna ani posiniaczona. Kiedy powiał wiatr, zadrżała z zimna.

- Musisz się przebrać. Masz szczęście, że wieczór jest ciepły. Ale i tak możesz się rozchorować. Ledwie trzymasz się na nogach - powiedział stanowczo, przytulając ją do siebie.

- Ale co z... - wyjąkała Marisa, wskazując na ciała Francuzów. - Co z nimi?

- Zapomnij o nich. Sam się tym zajmę.

Złapał ją na rękę i podszedł do konia. Posadził ją w siodle i podał wodze.

- Ty, mój drogi kapitanie, musisz odpocząć.

- **Z**arobiłeś z nas wszystkich idiotów - powiedziała

Marisa oskarżycielskim tonem. - Oszukałeś wszystkich gwardzistów, mnie, mojego ojca, ministrów... udało ci się nawet okłamać królową - i Ruperta! Przed królem udawałeś rozpieszczonego dzieciucha! Dlaczego?

Deverell westchnął ciężko. Byli już gotowi do drogi. Po szybkim posiłku napoili i osiodłali konie. Po pogrzebaniu ciał księżę sam spakował juki, nie chcąc jej budzić. Marisa była wypoczęta, ale nie chciała wyruszyć, zanim księżę nie odpowie na jej pytania.

- Najtrudniej było mi oszukiwać króla. Nie myśl, że to całe udawanie sprawiało mi przyjemność. A odgrywać komedię przed własnym ojcem? To było okropne.

- Więc dlaczego...

- Ponieważ to było konieczne. Jeśli nie będziesz mi przerywać, to powiem ci dlaczego.

Marisa nie wierzyła własnym oczom. Siedzący przed nią mężczyzna mówił autorytatywnym tonem i tym razem niczego nie udawał. Cała jego postawa wymuszała szacunek. W ciągu kilku godzin tchórzliwe książętko przeobraziło się w dzielnego żołnierza, który wyratował ją z rąk bandytów.

- Nie wątpię w twoją lojalność w stosunku do króla,

Mariso, muszę cię jednak prosić, abys przysięgła, że to, co usłyszysz, pozostanie tajemnicą.

- Przysięgam.

Książę rozpoczął swoją opowieść. Mówił jej o Garricku, o zdradzie Malsaura, któremu nieświadomie pomagała królowa. Tłumaczył, jak zrodził się fortel księcia Hala, mówił, że oprócz Malsaura podejrzewa innych dworaków, dlatego po powrocie do kraju postanowił dalej grać swoją rolę, jak bardzo żałował, że nie mógł odkryć ojcu całej prawdy. Na koniec powiedział coś, co ją kompletnie zaskoczyło.

- Jeszcze jedno, Mariso. - Położył ręce na jej ramionach. - Żałuję, że nie zwierzyłem się tobie. To by nam oszczędziło wielu kłopotów. Czy mi wybaczysz?

Marisa była tak zdumiona, że nie mogła wydobyć głosu. Patrzyła tylko na niego. Książę przekształcił się w prawdziwego księcia, który miał odwagę prosić o wybaczenie swoją poddaną. Tylko silni władcy potrafią przyznać, że złądzili.

- Czy mi przebaczysz? - spytał z uśmiechem.

- Naturalnie. Jednak pod jednym warunkiem. Musisz mi pozwolić, abym razem z tobą mogła zdemaskować zdrajców.

- Przykro mi, Mariso, ale na to nie mogę się zgodzić.

- Dlaczego? Nie rozumiem tego.

Mógł się tego spodziewać. Ona zawsze gotowa była do walki. Problem polegał na tym, że nie było jeszcze żadnej walki. Ta gra wymagała cierpliwości i należało dobrze się maskować. Nie wolno było popełnić żadnego fałszywego kroku. A ona była zbyt prostolinijna, niezdolna do

prowadzenia podwójnej gry. Nie potrafiła nawet przekonać dwóch prostych wieśniaków, aby uwierzyli w bajkę, którą im opowiedziała.

Malsaur nie był wieśniakiem. Gra, która toczyła się na dworze, była bardzo podstępna.

- To może być bardziej niebezpieczne, niż to sobie wyobrażasz - zaczął tłumaczyć cierpliwie. - Ludzie, którzy są przeciwko...

- Niebezpieczne? Oczywiście, że to jest niebezpieczne! Co myślisz, u diabła, że ja przez te wszystkie lata zajmowałam się gotowaniem i pieczeniem ciasta?

- Szkoda, że tego nie robiłaś!

Wyprowadziła go z równowagi. Był zmęczony. Udawanie idioty było przykre, nie chciał też występować teraz jako postrach kobiet.

- Lepiej zajmować się domem, niż pakować się w niebezpieczne sytuacje, do czego przeznaczeni są mężczyźni!
- dodał, nie mogąc się powstrzymać.

- Więc o to chodzi?

Marisa nie wierzyła własnym uszom. Słyszała ten argument przed laty, kiedy wstępowała do gwardii.

- Nie zgadzam się z tym. Znam swoją wartość. Tylko męski szowinizm i głupota czynią cię ślepym na to, kim jestem.

- Jesteś kobietą, której nie chcę narażać na ryzyko, kiedy...

- Całe moje życie jest ryzykiem.

Deverell podszedł do koni. Marisa ruszyła za nim.

- Mam cię chronić. Moim obowiązkiem jest stać u twojego boku.

- Kiedy to ryzyko nie jest niczym usprawiedliwione - mówił dalej, jakby w ogóle jej nie słyszał. - Za kilka tygodni znajdziemy się w obozie Wellingtona. Chcę zyskać jego poparcie i pomoc. Jest również możliwe, że będę musiał nadal prowadzić swoją grę, przynajmniej przez jakiś czas, ponieważ nieprzyjaciół może i tam mieć swoich szpiegów. Proszę cię tylko o to, żebyś mnie nie wydała. Jeśli ci się uda.

- Jeśli mi się uda? - parsknęła. - I pomyśleć, że uwierzyłam w twoją metamorfozę. Cofam wszystko, co powiedziałam. Jesteś tym samym książątkiem, co zawsze. Beznadziejnym idiotą, który nie potrafi poznać swojego najlepszego sprzymierzeńca, nawet kiedy go ma przed sobą!

- A ty jesteś kobietą, która lubi męskie zabawy! Ale to nie jest zabawa, moja droga. To jest bardzo poważna sprawa.

Widząc mordercze spojrzenie Marisy, postanowił podejść do niej z innej strony.

- Posłuchaj, Mariso. Może już czas zaniechać tych niemądrych wysiłków. Mogłabyś przestać udawać swojego brata.

Marisa zbladła i zacisnęła pięści.

- Ty łajdaku - szepnęła ochryplym głosem.

Deverell zacisnął wargi. Wsiadł na konia i ujął wodze zdobytych na Francuzach wierzchowców.

- Rób, jak chcesz. Możesz uważać mnie za łajdaka, ale jestem również twoim księciem. Rozkazuję ci wsiąść na konia. Najwyższy czas, żebyśmy stąd odjechali.

Marisa nie odezwała się. Był prawdziwym synem Ruperta. Kiedy zawodziła logika, odwoływał się do rozkazu.

No dobrze. Sam król kazał jej strzec bezpieczeństwa swojego syna. Będzie więc nadal to robić. I żadne głupkowane księżątka nie przeszkodzi jej w wypełnieniu tego obowiązku!

9

Deverell grzał dłonie o gorący kubek kawy, przyniesiony mu przez chłopca okrętowego. Płynęli na południe, ale na morzu było bardzo zimno. Trudno było uwierzyć, że to już czerwiec. Kiedy jechali wzdłuż włoskiego wybrzeża, prześladowały ich upały. Dwa tygodnie temu pogoda się zmieniła i podczas przeprawy na Półwysep Iberyjski dokuczało dotkliwie zimno.

Popatrzył w zadumie na stojącą przy relingu smukłą postać. Od długiego czasu, a dokładnie od chwili, kiedy odrzucił jej żądanie, aby mogła służyć mu pomocą przy realizacji jego planów, Marisa traktowała go z lodowatą uprzejmością. Odzywała się tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Nigdy na niego nie patrzyła. A kiedy on chciał rozpocząć rozmowę, zachowywała się tak, jakby go wcale nie słyszała. Jakby w ogóle nie istniał.

Nawet jego ojciec nie był tak uparty. Ustępował, kiedy przedstawiono mu fakty, poparte logicznymi argumentami.

Ale jak nakłonić kobietę, żeby to zrozumiała?

On dla niej nie istniał, a jemu było trudno przestać o niej myśleć.

Od czasu, kiedy uwolnił Marisę z rąk Francuzów, myśli o niej nie opuszczały go we dnie ani w nocy. Śnił, że trzyma ją w ramionach, budził się z jej obrazem przed oczami. A

przecież, poza tym krótkim incydem po napadzie Francuzów, nie zbliżył się do niej ani o krok.

Jeszcze żadnej kobiecie nie udało się zaabsorbować do tego stopnia jego myśli. Te, z którymi miał do tej pory do czynienia, służyły mu do zaspokojenia pożądania i same niczego więcej nie oczekiwały.

Ale Marisa Lancet w jakiś niezrozumiały sposób opanowała jego myśli i sny. Nie była to Marisa żołnierz, która poświęciła całe życie na to, aby udawać mężczyznę, ale Marisa kobieta. Delikatne stworzenie, którego istnienia trudno się było domyślić pod mundurem kapitana gwardii.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego taki jej obraz utkwiał mu w pamięci. To przecież było tylko przelotne wrażenie. Prawdziwa Marisa stała teraz w wojskowej postawie przy relingu i nie pozwalała sobie na najmniejszą oznakę słabości. Taką Marisę mógłby łatwo wyrzucić z pamięci. Dlaczego więc prześladowała go ta druga?

Dopóki był księciem fajtłapą, wszystko wyglądało inaczej. Traktował ją z rezerwą. Teraz był sobą, Deverellem, odpowiedzialnym następcą tronu Baravii. Był również mężczyzną. A ona pogardzała zarówno Deverellem księciem, jak i Deverellem mężczyzną.

Może to było zbyt mocne słowo, ale w każdym razie traktowała go z chłodnym dystansem.

Podszedł do niego właściciel rybackiego statku, którym płynęli, i zaczął coś mówić po portugalsku. Deverell ledwie go rozumiał. W końcu rybak podał mu lunetę, wskazując palcem na horyzont.

Deverell podniósł lunetę do oczu.

- To ląd, prawda? *Term firma, senhore.*

Mężczyzna mówił teraz bardzo szybko i gwałtownie gestykulował.

- Proszę mówić powoli, ja...

- On mówi, wasza książęca mość - usłyszał znany sobie, chłodny głos - że widać już Półwysep Iberyjski i że powinniśmy zejść pod pokład, zanim zauważy nas ktoś z tych francuskich statków.

Więc ona zna portugalski, pomyślał, słuchając, jak płynnie i bez wysiłku mówiła coś do rybaka. I nie odezwała się ani słowem, przez cały czas tej cholernej przeprawy, kiedy ja się męczyłem, aby coś powiedzieć, i musiałem porozumiewać się głównie na migi.

Deverell zaklął pod nosem i pospiesznie zszedł na dół. Odpłacę ci kiedyś za to, milczący kapitanie, pomyślał ze złością.

Jego życzenie zostało spełnione tego samego wieczoru, kiedy dotarli do obozu Wellingtona.

Arthur Wellesley, markiz Wellington, który, jak

mówiono, miał wkrótce otrzymać tytuł książęcy, przeglądał dokumenty, kiedy zastukano do drzwi. Było już po dziesiątej i nie spodziewał się nikogo o tej godzinie.

W drzwiach skromnej kwatery Wellingtona pojawił się Jego adiutant.

- O co chodzi, poruczniku?

- Straże zatrzymały dwóch jeźdźców, sir. Wyglądają na dżentelmenów i obaj dobrze znają angielski. Mówią, że pan się ich spodziewa. Prosił, żeby przekazać ten dokument.

Adiutant podał dowódcy zapieczętowany list. Wellington przyjrzał się pieczęci, potem rzucił okiem na pismo. A więc przybył niewydarzony następca tronu Baravii. Miejmy nadzieję, że w drodze nic mu się nie stało.

- Przyrowadź ich do mnie, poruczniku, i niech się ktoś zajmie ich końmi.

Czekając na przyjezdnych, Wellesley zaczął oglądać miniaturę, którą przysłał mu Rupert. Książę Deverell podobny był do ojca, miał równie niebieskie oczy jak król, ale był zbyt przystojny jak na mężczyznę. Jeśli miniatura oddawała jego prawdziwy wygląd, to trudno się dziwić, że rozpieszczano go na dworze regenta. Następca tronu był jeszcze bardziej urodziwy niż jego ojciec w młodości. A przecież kobiety szalały wtedy za Rupertem. Ale on miał na tyle rozsądku, żeby powodzenie nie uderzyło mu do głowy. A syn...

Wellington zwiększył płomień lampy i popatrzył uważnie na miniaturę. Malarze robią zbyt pochlebne portrety, szczególnie jeśli chodzi o członków rodziny królewskiej, ale ta podobizna powinna wystarczyć, aby stwierdzić tożsamość księcia.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Przeprowadziłem tych panów, sir.

- Dziękuję, poruczniku.

Wellington oparł miniaturę o kałamarz i złożył dokumenty.

- Proszę ich wprowadzić i pilnować, aby nikt nam nie przeszkadzał.

Po chwili do kwatery dowódcy wszedł wysoki blondyn. Wellington nie musiał odwoływać się do miniatury. Od razu wiedział, że ten młody człowiek jest synem Ruperta. Był bardzo podobny do ojca i to nie tylko z twarzy, miał te same szerokie ramiona i energiczny krok. I był jeszcze bardziej urodziwy niż na miniaturze. Blond adonis, pomyślał Wellington, który nie ma się czym szczycić, poza urodą i tytułem.

- Dziękuję, że zechciał mnie pan teraz przyjąć, lordzie Wellington - powiedział książę, składając mu pełen szacunku ukłon. - Przepraszam, że zjawiłem się o tak późniejszej godzinie. Niezwykle się cieszę, że mogłem pana poznać, milordzie.

- Wasza książęca mość. - Wellington skinął mu głową i spojrział na drzwi. - Mój adiutant powiedział, że jest was dwóch. Gdzie...

- Tymczasem zostawiłem moją eskortę na zewnątrz, ponieważ chciałbym z panem omówić bardzo istotną sprawę.

Wellington uniósł brwi do góry i przyglądał się bacznie stojącemu przed nim mężczyźnie. Dobrze znał się na ludziach, a ten młody człowiek nie przypominał osoby znanej mu z listów Ruperta. Sprawiał wrażenie pewnego siebie i zorganizowanego, a nie słabego i roztrzepanego. Coś tu nie pasowało.

- Jaką sprawę?

- Zanim do niej dojdę, chciałbym pana spytać, milordzie, czy zna pan sztukę Szekspira *Henryk IV*? Chodzi mi przede wszystkim o postać księcia Hala...

Rozdrażniona Marisa przechadzała się przed kwaterą Wellingtona, nie zważając na czujny wzrok adiutanta. Dlaczego to tak długo trwa? Jego wysokość rozkazał jej czekać na dworze, a sam już prawie godzinę rozmawiał z Wellingtonem. Ona też chciała poznać tego słynnego dowódcę.

Była pewna, że Deverell mści się teraz na niej za to, że całymi tygodniami prawie się do niego nie odzywała. Jej

nadzieje spaliły na panewce! Uparł się, żeby nie dopuścić jej do uczestnictwa w swojej grze.

Ale ona da sobie radę! Wystarczy jej dziesięć minut, aby przekonać Wellingtona, że jeśli chodzi o pomoc dla Baravii, to ona może oddać nieocenione usługi. Ale najpierw musi mieć do niego dostęp.

Zwolniła kroku. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na znudzonego adiutanta, który z trudem hamował ziewanie...

Wellington wysłuchał księcia w skupieniu. Deverell wytłumaczył mu, na czym polega fortel księcia Hala, i zaskoczył dowódcę znajomością taktyki wojennej. Okazał się prawdziwie odpowiedzialnym następcą tronu.

Z dużą znajomością rzeczy mówił o skierowanej przeciwko Napoleonowi kampanii. Wykazał się nie tylko detaliczną wiedzą o planach poszczególnych bitew, lecz również potrafił zademonstrować przymioty przyszłego dowódcy. Nie było w nim nic z tego niedojrzałego chłopca, jakim go Rupert przedstawił w swoich listach.

- Proszę mi wybaczyć, wasza książęca mość – odezwał się Wellington - ale uważam, że książę nie powinien trzymać tego w tajemnicy przed ojcem. Jego królewska mość może nie jest w najlepszym stanie zdrowia, ale jego umysł na tym nie ucierpiał. Widać to z jego listów. Świadczą one również o tym, jak bardzo leży mu na sercu dobro księcia i ile

zmartwienia przysporzyła mu ta maskarada, w którą szczerze uwierzył. Dlaczego książę tak postąpił?

Deverell opisał mu sytuację, jaką zastał na dworze po im powrocie do kraju.

- Rozumie pan, milordzie - zakończył - że nie wiedząc, czyich rad słucha król i do kogo z tych ludzi można mieć zaufanie, nie mogłem podejmować żadnego ryzyka. Przecież nawet królowa dawała sobą manipulować.

- Rozumiem - powiedział Wellington. - Książę otrzymywał w trakcie swojej podróży wiadomości z kraju. Czy sytuacja zmieniła się na tyle, aby można było powiedzieć prawdę jego królewskiej mości?

Deverell potrząsnął głową. Cztery razy podczas podróży widział się z braćmi Garricka. Ostatni raz, na tydzień przed odplynięciem z Genui. Dowiedział się o poprawie stanu zdrowia króla, ale sytuacja na dworze była nadal niejasna. Garrick upewnił się, że królowa była tylko nieświadomą marionetką w rękach Malsaura. Wiadomo było, że jeszcze jeden wysoko postawiony dworzanin knuje przeciwko królowi. Ale nie można się było dowiedzieć, kim on jest.

Wellington zamyślił się i zapadła cisza, którą przerwał głośny hałas za drzwiami.

Szczupły młodzieniec wpadł jak burza do kwatery generała, a za nim adiutant, który już wyciągnął rękę, aby go

złapać, lecz w mgnieniu oka znalazł się na podłodze. Nieznany młodzieniec szybko się z nim uporał.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz, Mariso?! Co to wszystko ma znaczyć?

Deverell rzucił jej mordercze spojrzenie, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

- To znaczy, wasza książęca mość, że jako ochrona księcia mam być tam, gdzie jest moje miejsce, a nie czekać, aż zostanę zawołana!

- Ochrona! - zagrzemiał Wellington. - Przecież księżę nazywał tę osobę Marisą!

Deverell westchnął ciężko. Musiał teraz wytłumaczyć tę sytuację. Czy nie mogła poczekać, aż zdąży uprzedzić generała?

- No tak, milordzie - powiedział, zerkając na swojego ochroniarza, który właśnie pomagał adiutantowi podnieść się z podłogi.

- Przecież Marisa to żeńskie imię. - Wellington parsknął.

- Tak, milordzie - wtrąciła Marisa. - Ale może pan mówić do mnie kapitanie.

Marisa podeszła do stołu, za którym stał Wellington. Kiedy wpadła do pokoju, podniósł się tak gwałtownie z krzesła, że przewrócił je na ziemię.

- Kapitan Lancet z Gwardii Konnej Jego Królewskiej Mości - zameldowała.

Dowódca wojsk sprzymierzonych półwyspu usiłował zachować zimną krew. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia.

- Proszę mi wytłumaczyć - powiedział, przesuając wzrokiem od Marisy do Deverella - jak to się dzieje, że kobieta ochrania osobę następcy tronu Baravii.

Wellington wysłuchał cierpliwie wyjaśnień Deverella, ale nie rozchmurzył zasępionej twarzy.

- Podziwiam i szanuję króla Ruperta - powiedział wreszcie. - Jest moim przyjacielem. Będę starał się mu pomóc, chociaż nie będzie to łatwe.

Popatrzył na księcia przenikliwym wzrokiem.

- Wasza książęca mość, jestem szczęśliwy, że książę nie okazał się niedojdą, w co uwierzył biedny ojciec księcia i tak go opisał w swoich listach. Nie mogę się jednak zgodzić na to, aby nadal utrzymywać go w nieświadomości. Jeśli mam udzielić pomocy, to proszę odkryć ojcu prawdę. I to jak najszybciej.

Deverell chciał zaprotestować, ale powstrzymał się, widząc wyraz oczu generała.

- Zgadzam się - mówił dalej Wellington - że maskarada, którą książę urządził, mogła mieć swoje dobre strony. Ponieważ książę nie wymaga przeszkolenia, na które tu został przysłany, powinien zostać w moim obozie kilka tygodni, nie wychodząc ze swojej roli. Wszędzie jest pełno szpiegów.

Musi się książę zastosować do poleceń króla Ruperta, przybrać inne nazwisko i nikomu nie zdradzać swojej tożsamości.

- Tak jest, milordzie

Deverell był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Wellington miał tak groźną minę, że obawiał się przez chwilę, że razem ze swoją ochroną zostanie usunięty z obozu.

- Natomiast pani, milady - Wellington zwrócił się do Marisy - stanowi problem. Powiem krótko. Jestem bardzo niemile zdziwiony, że jego królewska mość wysłał kobietę jako ochronę jego książęcej wysokości. Niewątpliwie miał powody, ale trudno mi je sobie nawet wyobrazić. Pani jest kobietą, lady Mariso, a co gorsza, kobietą noszącą męski strój. Nie mogę na to pozwolić, nie w moim obozie!

- Ale lordzie Wellington... - Podobnie jak książę, Marisa widziała groźny wzrok generała, lecz w przeciwieństwie do księcia, mówiła dalej. - Nikt nie musi wiedzieć, że jestem kobietą!

- Półwysep Iberyjski nie jest odpowiednim miejscem dla damy - ciągnął Wellington, całkowicie ignorując jej słowa. - Muszę natychmiast odesłać panią do domu. Obawiam się, że mogę dać pani tylko niewielką eskortę, ale...

- Przykro mi, milordzie, ale nie mogę się na to zgodzić. Czerwone plamy ukazały się na policzkach Marisy. Oczy Wellingtona ciskały błyskawice. Marisie, która była

przyzwyczajona do dyscypliny wojskowej, niełatwo przyszło przeciwstawić się generałowi. Ale on nie był jej bezpośrednim dowódcą.

- Jego królewska mość, król Rupert, wydał mi rozkaz, abym nie opuszczała osoby następcy tronu. Muszę podporządkować się rozkazom króla. Dlatego też jestem zmuszona odmówić, to znaczy, nie mogę zastosować się do pana polecenia, milordzie.

- Rozumiem - powiedział tylko Wellington.

Deverell rzucił jej pełne podziwu spojrzenie.

- No dobrze. - Generał popatrzył na Marisę. - Daję pani dwie rzeczy do wyboru. Może pani jechać do domu, co, mam nadzieję, pani uczyni, albo zostać. Nie pozwolę jednak na to, aby pani udawała mężczyznę. Jeśli chce pani zostać, musi pani nosić kobiece suknie.

Marisa popatrzyła na niego z niechęcią.

- Obawiam się - ciągnął swoją przemowę Wellington - że jeśli zechce pani pozostać, to tylko w charakterze markietanki. Przykro mi, ponieważ zdaję sobie sprawę, że to nie jest właściwe. Niestety, tylko takie kobiety znajdują się w naszym obozie. Przeważnie kwaterujemy w miastach. W takich warunkach niektórym oficerom towarzyszą również żony. Ale obecna sytuacja jest inna. Wszystkie godne szacunku kobiety zatrzymały się o dwadzieścia mil stąd. Proszę mnie posłuchać - powiedział dobitnie, kiedy Marisa chciała powiedzieć, że nie

może oddalać się od księcia. – Proszę wybierać, młoda damo. Radzę pani jechać do domu. Pole bitwy to nie jest miejsce dla kobiety.

10

Deverell uśmiechnął się drwiąco, ale Marisa nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła na Wellingtona, wodza, którego tak bardzo podziwiała, przynajmniej do tej pory.

- Nie mam wyboru, lordzie Wellington. Zostaję.

Wellington lekko uniósł brwi. Widocznie spodziewał się innej odpowiedzi.

- Jak pani sobie życzy - powiedział tylko.

Skinął jej lekko głową i zwrócił się znów do księcia. Był to wyraźny sygnał, że Marisa ma odejść. Ale ona nie dała za wygraną.

- Jest jednak pewna trudność - zwróciła się ponownie do niego. - Chodzi o kobiece stroje. Zgodnie z rozkazem jego królewskiej mości, nie zabrałam takiego ubrania w podróż. Ośmielam się więc zadać pytanie - skąd mam wziąć suknię?

Wellington popatrzył na nią ze zdziwieniem. Marisie wydawało się, że zobaczyła w jego oczach coś w rodzaju podziwu. Nikt by nie miał odwagi wywierać nacisku na naczelnego wodza, ale tutaj nie chodziło o wyższą rangę, Wellington traktował ją z typową męską wyższością, a Marisa umiała dać sobie z tym radę.

- Te... kobiety założyły nad rzeką coś w rodzaju obozu. Może będą mogły pani pomóc.

- Dziękuję, milordzie. Dobranoc.

Marisa była już przy drzwiach, kiedy usłyszała, że ją woła.

- Tak, milordzie?

- Powinna pani wziąć ze sobą trochę pieniędzy. To są przecież kobiety interesu - powiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Marisa wyruszyła na poszukiwanie obozowiska. Gotowała się ze złości. Spojrzała na księżyc i jego pozycja na rozgwieżdżonym niebie uświadomiła jej, że było już dobrze po północy. Ale nie przejmowała się tym. Tak długo przebywała w towarzystwie mężczyzn, że dobrze wiedziała, kiedy pracują kobiety interesu. Na pewno kogoś tam zastanie, kto w danej chwili nie zajmuje się interesami i kto sprzeda jej jakieś damskie fatałaszki. Niech diabli wezmą tego zaskorupiałego w swoim konserwatyzmie Wellingtona, który kazał jej nosić kobiece stroje.

Obozowisko było większe, niż się spodziewała. Nad brzegiem rzeki stało kilkanaście namiotów, a po przeciwnej stronie jeszcze kilka. Jeden z nich był o wiele większy od pozostałych. Rzeka była płytka, według oceny Marisy w najgłębszym miejscu woda mogła sięgać zaledwie do kolan. Można ją też było łatwo przejść po kamieniach.

Ziemia była sucha i popękana. Wiosna we Włoszech była wyjątkowo deszczowa, a Półwysep Iberyjski wydawał się spalony słońcem. Nawet w nocy Marisa czuła przez podeszwy

butów bijące od ziemi ciepło. Współczuła żołnierzom Wellingtona, którzy musieli odbywać musztrę i maszerować w takim upale. Szybko pocieszyła się myślą, że wkrótce dołączy do nich jej nieznośne książątko.

Z obozowiska kobiet dobiegały głosy i wybuchy śmiechu. Na drugim brzegu paliło się ognisko, ktoś grał na harmonijce, słysząc też było śpiew. Przed namiotem, do którego się zbliżała, jakaś para tańczyła, a kilka osób klaskało w rytm tańca. Wiele namiotów było zamkniętych, ale paliło się w nich światło.

Jak widać, panował ruch w interesach.

- Kim jest ten młody dżentelmen, Arriet? Nigdy go przedtem nie widziałam.

Dopiero po chwili Marisa dostrzegła tęgą kobietą z rudymi włosami, stojącą pod zawieszoną na drzewie latarnią blisko pierwszego namiotu, z którego po chwili wyszła druga kobieta. Była młodsza od swojej koleżanki i bardzo zgrabna. Miała na sobie jakąś przezroczystą zieloną szatę. Marisa zatrzymała się, a one patrzyły na nią z zainteresowaniem.

- Hm... - zastanowiła się Harriet. - Ja też go nie znam, Maisie. Pewnie to nowy rekrut. Hej, żołnierzu! Nie wstydź się! - zawołała, przywołując gestem Marisę. - Nie gryziemy, chyba na specjalne życzenie.

Obie wybuchnęły śmiechem, a Marisa zaczerwieniła się.

Maisie ruszyła w jej kierunku, podnosząc wysoko spódnicę, aby jej nie zakurzyć. Jej suknia była głęboko wycięta, prawie całkowicie odsłaniając olbrzymie piersi.

- Cześć, chłopcze. Nazywam się Maisie. A to jest Arriet. A kim ty jesteś, skarbie?

- Mam na imię George - powiedziała Marisa, zanim zdążyła pomyśleć.

Już dawniej wymyśliła sobie imię, którym miała się posługiwać w obozie Wellingtona. Razem z księciem mieli przecież występować incognito. Ojciec chrzestny wymyślił dla niej drugie imię - Georgiana - na cześć angielskiego króla. Wybrała więc sobie męską wersję tego imienia.

Ale nie przyszła tu po to, aby udawać mężczyznę. Trzeba było jak najszybciej wyjawić prawdę.

- Mówcie do mnie Georgie - dodała szybko. - Mam na imię Georgiana i nie jestem chłopakiem, tylko dziewczyną.

- Co? - spytała Harriet, a Maisie patrzyła na nią okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Wiem, że ta wiadomość może panie zaszokować - powiedziała Marisa, podchodząc do nich bliżej. - Ale to prawda. - Jestem Georgie, Georgie Winters - dodała z uśmiechem.

Uśmiech Marisy był szczery, chociaż najbardziej bawiła ją myśl, co by powiedział lord Winther na tak niefrasobliwe przekształcenie jego szacownego nazwiska.

- Hm... miło mi - powiedziała Maisie, rzucając okiem na czarne kędziory Marisy, których nie miała okazji skrócić w czasie trwania podróży - ...miło cię poznać, Georgie.

Marisa wyciągnęła rękę na powitanie, ale Maisie nie dotknęła jej dłoni.

- Ja jestem Maisie, a to Arriet.

- Nie jesteśmy paniami. - Harriet była bardziej bezpośrednia. - Jesteśmy dziewczkami.

Harriet obrzuciła Marisę uważnym spojrzeniem.

- Chciałabym tylko wiedzieć, moja droga, czy ty jesteś dziewczyną pracującą, czy też nie?

Początkowo Marisa nie rozumiała pytania. Nagle dotarło do niej, że pracująca dziewczyna oznacza kobietę interesu.

Opuściła oczy, czując, że się rumieni. Dopiero teraz zauważyła, że zielona szata Harriet była do tego stopnia przezroczysta, że dokładnie widać było jej nagie ciało. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Wreszcie odważyła się spojrzeć w piwne, bystre oczy Harriet.

- Nie, to znaczy, nie mam ani zamiaru, ani umiejętności, żeby iść w wasze ślady. Chciałabym tylko załatwić z wami interes.

Marisa włożyła rękę do kieszeni, w której zabrzęczały monety.

- Jaki interes? - spytała Harriet.

Marisa rozejrzała się po obozowisku. Wzbudzała żywe zainteresowanie mieszkankę pobliskich namiotów.

- Czy mogłybyśmy omówić tę sprawę z dala od ludzkich oczu? - spytała, patrząc na ich namiot.

Kobiety porozumiały się wzrokiem. Po chwili Maisie wzruszyła ramionami.

- Dzisiaj jest mały ruch, Arriet. Chyba nic na tym nie stracimy.

- Nie jestem tego pewna, Maisie. - Harriet wahała się. - Terence mówił, że przyjdzie, jeśli uda mu się...

- Mam złote suwereny - przerwała jej Marisa, pokazując pieniądze.

- Trzeba było od razu tak mówić, Georgie.

Harriet uśmiechnęła się i poprowadziła Marisę do namiotu. Jaka to ładna kobieta, pomyślała Marisa, kiedy uśmiech rozświetlił twarz Harriet.

- Czy dobrze cię zrozumiałam, George? - spytała Harriet.

Trzy kobiety siedziały w namiocie - Marisa na wąskim sienniku ze słomy, a Harriet i Maisie na szerszym posłaniu naprzeciwko niej. W kącie leżały dwie zniszczone walizy, na drewnianej skrzynce stał żelazny Garrick i cynowy talerz. Stara lampa olejowa paliła się nierównym płomieniem.

- Arriet, ona chce, żeby mówić na nią Georgie - wtrąciła Maisie. - Prawda, kochana? - dodała, uśmiechając się do Marisy.

Ruda prostytutka była wyraźnie po jej stronie. Może wpłynął na nią widok złotych suwerenów, a może była serdeczna z natury. Natomiast Harriet zachowywała się z rezerwą. Z nią będzie ciężka przeprawa, pomyślała Marisa.

- A więc Georgie. - Harriet machnęła ręką, nie przestając wpatrywać się w Marisę. - Więc przyjechałaś tu za swoim przyjacielem, który wstąpił do wojska?

- Podróżowaliśmy razem - powiedziała Marisa.

Prostytutka w tak szczególny sposób podkreśliła słowo przyjaciel, że Marisa zaczerwieniła się nagle. Niewątpliwie uważały Deverella za jej kochanka, co zresztą sama dała im do zrozumienia. Miała nadzieję, że nie zaczną zadawać jej pytań, na które nie będzie umiała odpowiedzieć.

To, że Marisa nie знаła świata, w którym obracały się te kobiety, było rzeczą naturalną i niewzbudzającą podejrzeń. Nie mogła tylko dopuścić do tego, żeby zaczęły podejrzewać, że jest dziewicą. Obie prostytutki pochodziły z Londynu, uznały więc, na podstawie jej nieskazitelnego akcentu, że Marisa należy do angielskiej arystokracji. Dała im do zrozumienia, że uciekła od rodziny, razem ze swoim kochankiem. Nie była niewinna, ale też nie mogła się równać z nimi doświadczeniem. Miała nadzieję, że zdobędzie ich zaufanie. Musiała mieć te cholerne fatalaszki!

- Ubrałaś się jak facet, żeby nikt cię nie zaczepiał - ciągnęła Harriet - ale Wellie nie godzi się, żeby w jego obozie były kobiety w spodniach. Czy to tak wygląda?

- Tak - potwierdziła Marisa.

Harriet zamyśliła się, potem skinęła głową.

- Cały Wellie.

- A co było potem? - zaciekawiała się Maisie.

- Kazał mi ubrać się w suknię albo opuścić obóz - powiedziała Marisa, którą ponownie ogarnęła wściekłość na Wellingtona. - Aleja nie mogę wyjechać. Odbyłam tak długą podróż, aby być razem ze swoim... przyjacielem. Nie mam ze sobą żadnych kobiecych ubrań. Nie miałam czasu ich zabrać, kiedy... kiedy uciekaliśmy.

- Więc chcesz kupić ubranie - skomentowała Harriet.

- Od nas! - wykrzyknęła uszczęśliwiona Maisie.

Ta kobieta, wyraźnie gotowa do przeprowadzenia transakcji, ważyła prawie trzydzieści kilo więcej niż Marisa. Trudno było powiedzieć, jak to sobie wyobrażała.

W ostateczności Marisa musiałaby sobie jakoś poradzić z ubraniami Maisie, gdyby okazało się, że Harriet może zaoferować jej jedynie swoją przezroczystą szatę. Mogłaby owinąć się suknią Maisie i związać sznurkiem.

- Hm - mruknęła tylko Harriet, obrzucając Marisę uważnym spojrzeniem. - Wstań, kochana. Niech ci się przypatrzę.

Marisa zastosowała się do polecenia. Czuła się niezręcznie pod uważnym wzrokiem tych kobiet. Wiedziała, jak wygląda, i nigdy nie miała pretensji do urody. Patrzyły na jej szczupłą, chłopięcą figurę, bez śladu piersi pod luźną męską koszulą. Po tym, jak została porwana przez francuskich dezertersów, Marisa zaczęła bandażować piersi. Widziały jej zbyt długie nogi w znoszonych spodniach ze skóry jeleniej i zakurzone buty do konnej jazdy. Nieostrzyżone czarne włosy spadały jej na twarz, zasłaniając oczy. Marta zawsze mówiła, że szare oczy są największym atutem Marisy.

Natomiast jej usta były zbyt szerokie, a dolna warga pełniejsza niż górna, wbrew obowiązującym kanonom urody.

Miała ładny nos, ale nie była piękna i dobrze o tym wiedziała.

- Jak myślisz, Maisie? Jeśli ona nie jest skończoną pięknnością, to ja jestem dziewicą - odezwała się nagle Harriet.

Marisa nie wierzyła własnym uszom. Natomiast Maisie skinęła potakująco głową, nie przerywając oględzin.

- Tak - powiedziała. - Ma pierwszorzędną twarz, długą szyję i ładną cerę, chociaż jest opalona. Uważaj, Georgie. Musisz chronić twarz. Słońce na półwyspie to nie to samo co w naszej pocziwej Anglii.

Po udzieleniu tej rady Maisie zaczęła studiować figurę Marisy.

- O rany! Popatrz na jej nogi, Arriet! Każdego faceta zatka na ten widok.

- A oczy - dodała Harriet. - Wielkie jak spodki i te długie, czarne rzęsy. Musisz przyznać, Maisie, że usta ma najlepsze ze wszystkiego. Nie ma takiego chłopca, który by mógł im się oprzeć!

- Czy... czy wy żartujecie? - wyjąkała Marisa.

Była oszołomiona. Czyżby tylko po to zaprosiły ją do namiotu, żeby się z niej wyśmiewać?

- Co? - spytała Maisie.

- Żartujemy? - Harriet była równie zdumiona. - Z czego miałybyśmy żartować?

- No... z mojej urody. Dobrze wiem, że nie jestem bardzo ładna, więc jeżeli wy....

Przerwał jej wybuch śmiechu. Obie prostytutki skręcały się ze śmiechu. Pewnie znowu bawią się jej kosztem. Marisa postanowiła położyć temu kres.

- Podowcipkowałyście sobie - powiedziała, kiedy śmiech zaczął cichnąć. - Może znajdą się inne kobiety w obozie, którym moja powierzchowność nie wyda się zabawna! Może one sprzedadzą mi ubranie.

Marisa obróciła się i skierowała do wyjścia.

- Zaczekaj, Georgie! - zawołała Harriet, zrywając się na równe nogi i łapiąc ją za ramię. - Nie śmiałyśmy się z twojego wyglądu! Przysięgam na grób mojej starej matki!

- To prawda, kochana Georgie - zawtórowała jej Maisie, podnosząc się z wolna. - Źle nas zrozumiałaś. Nigdy nie wyśmiewamy się z niczyjego wyglądu. Śmiałyśmy się, ponieważ...

Maisie spojrzała na Harriet, sama nie potrafiła tego wytłumaczyć.

- ...ponieważ wydawało się nam, że to ty żartujesz i udajesz, że nie wiesz, jaka jesteś ładna - mówiła Harriet, podczas gdy Maisie kiwała potakująco głową.

- Przecież nie jestem...

Oszołomiona Marisa obrzuciła prostytutki badawczym wzrokiem. Obie były mocno umalowane i miały już pierwszą młodość za sobą. Spod twardego, cynicznego wyrazu ich twarzy wyzierała jednak uczciwość. Marisa była przekonana, że ich słowa były szczerze. Zresztą, po co by udawały? Miały dostać zapłatę w złocie, która była niezależna od komplementów, jakie jej prawily.

- Przepraszam, że źle was zrozumiałam – powiedziała Marisa. - Ale nigdy nie zajmowałam się swoim wyglądem, to znaczy, nie myślałam o urodzie. Czy rzeczywiście myślicie, że ja jestem... że naprawdę jestem...

- Piękna - odpowiedziała jej Maisie.

- Nieoszlifowany diament - stwierdziła Harriet. – Trzeba tylko trochę starania i to wszystko.

- My dobrze wiemy, jak się postarać – powiedziała z uśmiechem Mai się.

- Chodź tutaj, Georgie! - zawołała Hariett, prowadząc Marisę do leżących w kącie waliz. - Czas zabrać się do interesów!

Deverell podziękował podchorążemu, który pokazał mu drogę do koszar, i odprawił go. Jego wysokość księżę Deverell następnego ranka miał się przeobrazić w zwykłego żołnierza o nazwisku Davie Smythe. Miał wtedy otrzymać odpowiedni ekwipunek i miejsce w koszarach. Powiedziano mu, że tę pierwszą noc może spędzić na stryszku nad stajnią. Otrzymał przepustkę podpisaną przez samego naczelnego wodza.

Dochodziła pierwsza, a miał się zameldować u swojego dowódcy o piątej rano. Rozsądek nakazywał poszukać tego stryszku i przespać się parę godzin. Czekало go jednak jeszcze jedno zadanie. Musiał spotkać się ze swoją byłą ochroną. Trzeba przekonać Marisę, a raczej nakazać jej, aby zgodziła się na eskortę, którą jej oferował Wellington, i wróciła do domu. Jutro nie będzie miał na to czasu - rekruci są zawsze bardzo zajęci.

Wellingtonowi również zależało na tym, aby Deverell przemówił jej do rozumu. Zarówno dowódca, jak i księżę, byli zgodni, że Półwysep Iberyjski, na którym toczyły się walki,

nie jest odpowiednim miejscem dla dobrze urodzonej damy. Obaj byli zdziwieni i przerażeni faktem, że w odpowiedzi na ultimatum Wellingtona Marisa wybrała rozwiązanie, które wydawało się nie do przyjęcia. Wellington nie spodziewał się, że arystokratka będzie chciała zadawać się z ciągnącymi za wojskiem prostytutkami. Usilnie prosił księcia, żeby jej to wyperswadował.

Więc on musi teraz szukać obozowiska tych dziwek, o pierwszej w nocy! I co tam zastanie? Owieczkę w stadzie wilków. Marisa była naiwną i niewinną dziewczyną, pomimo lat spędzonych w gwardii. Nie da sobie rady z tymi kobietami. Teraz pewnie zalewa się rzewnymi łzami, oplakując swój wybór. Tym lepiej. Wróci do domu bez słowa protestu.

Uśmiechając się z zadowoleniem, Deverell przyspieszył kroku.

- **O**bróć się teraz, Georgie. Powoli - pouczała ją Harriet.
- Bardzo dobrze. Teraz idź do przodu, takim krokiem, jak ci pokazałyśmy.

Marisa zastosowała się do tych wskazówek. Zupełnie nie wiedziała, jak wygląda. Nie było tu dużego lustra i nie mogła się przejrzeć. Maisie miała tylko kawałek rozbitego lusterka, które było traktowane jak wielki skarb.

Marisa mogła w nim zobaczyć tylko twarz, umiejętnie umalowaną przez Maisie, która kiedyś występowała na scenie.

Po tych zabiegach Marisa nie mogła uwierzyć, że patrzy na swoje własne odbicie.

Oczy Marisy, umiejętnie podkreślone tuszem, stały się jeszcze większe. Kiedy Maisie nałożyła jej róż na wargi i kości policzkowe, Marisa uznała, że wygląda jak cyrkowiec. Efekt ten został złagodzony ryżowym pudrem i twarz jej nabrała egzotycznego wyrazu. Harriet twierdziła, że mężczyźni szaleją za egzotycznym wyglądem.

Ale... czy ona ma doprowadzać mężczyzn do szaleństwa? Czy tego pragnie? Marisa nie była nawet pewna, co to znaczy. Jednak te kobiety uznały, że jest to konieczne, a one na pewno znały się na tym. Musiała się poddać tym zabiegom, aby móc pozostać w obozowisku.

- Musisz bardziej poruszać biodrami, kochana - powiedziała Maisie, patrząc, jak Marisa przechadza się koło ogniska. - W ten sposób.

Marisa zastosowała się do polecenia. Dziwiło ją tylko, że tęga Maisie potrafi się bardzo zręcznie poruszać. Marisa postanowiła podnieść spódnicę powyżej kostek, jak podpatrzyła u Maisie.

- Wspaniale, Georgie, wspaniale! - wykrzyknęła Harriet. - Masz co pokazać!

Marisa uśmiechnęła się do niej. W towarzystwie tych kobiet czuła się swobodnie. Było to dziwne, pomyślała, ale może kobiety są do siebie podobne, mimo tego, co ich dzieli.

Musi się tylko przyzwyczaić do ich zachowania.

- Poruszaj spódnicą, żeby szeleściła - pouczała ją Maisie.

Marisa żałowała, że nie może zobaczyć się w lustrze. Kiedy podnosiła spódnicę, widać było czarne jedwabne pończochy i czarne pantofelki, trochę za duże. Marta dostałaby ataku serca na jej widok. I nie tylko ze względu na strój, również na miejsce, w którym się znajdowała jej wychowanka. Co by jej stara niańka powiedziała na tę głęboko wyciętą suknię?

- Bardzo dobrze, Georgie - pochwaliła ją Harriet. –Ładnie ruszasz biodrami. Podnieś tylko wyżej głowę. Ze swoją urodą nie masz się czego wstydzić!

Marisa podniosła głowę i od razu nabrała większej pewności siebie. Mrugnęła porozumiewawczo do swoich instruktorek i wszystkie trzy roześmiały się serdecznie. Świetnie się tu bawię, pomyślała.

Ich głośny śmiech przywabił widzów. Do ogniska podeszła para, która przedtem tańczyła przed namiotem. Jakaś chuda dziewczyna podbiegła do Harriet i zamieniła z nią kilka słów. Zniknęła na chwilę, aby powrócić z ufarbowanymi na fioletowo strusimi piórami. Jest zbyt młoda na to, aby przebywać w takim obozowisku, pomyślała Marisa. Dziewczyna była jednak mocno wymalowana, a dekolt jej pomarańczowej sukni odsłaniał piersi.

- Sprzedam ci je za pół korony - zwróciła się do Marisy, powiewając piórami.

Zanim Marisa zdążyła odpowiedzieć, okrzyk Maisie skierował uwagę kobiet na nadchodzącego mężczyznę.

- Popatrz tylko, Arriet. Nigdy jeszcze nie widziałam tak pięknego mężczyzny!

- Gdzie? - spytała Harriet. - O rany! - dodała po chwili.

Marisa również spojrzała we wskazanym przez Maisie kierunku - następca tronu Baravii zbliżał się do nich szybkim krokiem. Nie wyglądał na zadowolonego.

I dobrze mu tak, pomyślała. Deverell nie zdobył się na to, aby być po jej stronie, kiedy Wellington stawiał jej swoje ultimatum. Ona też nie będzie miała dla niego żadnych względów. Co prawda, spodziewała się jego wizyty. Musiał być niezłe zszokowany jej decyzją. Ale ona teraz świetnie się bawi i nie pozwoli mu zepsuć sobie humoru.

Musi go uprzedzić - ma na imię Georgie, a nie Marisa. Nie tylko on potrafi się maskować. To głupie książątko musi zaakceptować jej grę.

Ruszyła mu naprzeciw. Szła kołysząc biodrami, z wysoko podniesioną głową. Ma odegrać swoją rolę i robi to najlepiej, jak potrafi!

11

Deverell zatrzymał się nagle. Poraził go widok zbliżającej się kobiety. Nie mógł oderwać oczu od jej zgrabnej sylwetki i zmysłowych ruchów. Jeśli wszystkie mieszkanki obozowiska były do niej podobne, to mylił się sądząc, że znajdzie tutaj stare, zniszczone kobiety. Garrick zwykle nazywał ciągnące za wojskiem prostytutki szumowinami w spódnicach. Wellington mówił, że te biedne kobiety są tak mało ponętne, że nie znalazłyby pracy w żadnym porządnym burdelu. Ale ta dziewczyna była wspaniała!

Na pewno była chora, jak wszystkie, pomyślał. Musi zachować rozsądek. Spojrzał na jej biust, widoczny w wycięciu sukni, i poczuł, że jego męskość nie słucha głosu rozsądku.

- Możesz się już zatrzymać - powiedziała Marisa, opuszczając spódnicę i biorąc się pod boki. - Mam ci coś do powiedzenia, książątko. Potem będziesz mógł odejść.

Deverell był tak zafascynowany widokiem jej do połowy odsłoniętego biustu, że minęło trochę czasu, zanim dotarł do niego sens tych słów. Książątko? Nie, to niemożliwe!

- Marisa? - wyjąkał wreszcie. - Czy... to ty?

- Oczywiście, że ja - stwierdziła. - Nazywam się teraz Georgie i musisz uważać, żeby...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, objęło ją silne ramię i podniosło do góry.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - warknął Deverell.

- Puść mnie! - krzyknęła.

Książę przyciskał ją do siebie tak mocno, że czuła jego oddech na twarzy.

- Odpowiedz na moje pytanie, kapitanie!

- A co myślisz, że robię? Działam incognito, według rozkazu króla, gdybyś o tym zapomniał.

- Wziąłem cię za jedną z tych cholernych dziwek! Mnie! Ty zdrajco! Gnieciesz mi suknię, za którą nie zdążyłam jeszcze zapłacić!

- Spokojnie. Musisz staranniej dobierać słów, kiedy zwracasz się do swojego księcia!

- Na litość boską, Deverell! Nic złego nie miałam na myśli.

- A co miałaś na myśli?

Nie odezwała się jednak. Sytuacja uległa zmianie. Nadal przyciskał ją mocno do siebie, ale wiedziała, że nie chodzi już tylko o to, że Deverell chce jej okazać swoją przewagę. Po raz pierwszy poczuła się po prostu jak kobieta w objęciach mężczyzny.

Odbierała jego bliskość każdym nerwem swojego ciała. Jego ciepło przenikało przez materiał jej sukni. Czuła, jak naprężają się brodawki jej piersi i pojawia się dziwne

pulsowanie między nogami. Nie rozumiała tego. Było to uczucie przykre, a jednocześnie wspaniałe.

Spojrzała mu w oczy i zakręciło jej się w głowie. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Miała ochotę przyłożyć usta do jego szyi i poczuć smak jego skóry.

Co się z nią działo?

- Deverell - wyjąkała wreszcie. - Postaw mnie na ziemi. Nie mogę zebrać myśli.

- Miałaś mi coś wytłumaczyć - przypomniał.

Od strony pierwszego namiotu dobiegły ich zaniepokojone głosy. Nie będzie zwracał na nie uwagi, jak również na to, czego domagało się jego ciało.

- Jeśli chcesz, żebym cię uwolnił, musisz ładnie mnie poprosić, kapitanie - powiedział ze złośliwym uśmiechem.

- Puść mnie, proszę.

Postawił ją na ziemi, ale nie wypuścił z objęć. To jeszcze bardziej skomplikowało sprawę. Jej odczucia zintensyfikowały się, kiedy ześlizgiwała się w dół. Musiała teraz podnosić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Książę również odczuł tę zmianę. Nie mógł oderwać wzroku od jej piersi, które teraz, prawie całkowicie odsłonięte przed jego oczami, zapraszały, aby ich dotknąć wargami i...

- Deverell, puść mnie zaraz!

Miał powód, żeby tego nie zrobić. Marisa zakrywała go własnym ciałem. Gdyby ją puścił, odsłoniłby swoją

nabrzmiałą męskość, której nie mogły zamaskować spodnie. Jak ma sobie z tym poradzić?

- Hej, Georgie, co tam się dzieje? - rozległ się nagle donośny głos Maisie.

Nie bacząc na tuszę, biegła w ich kierunku z wyrazem troski na swojej wymalowanej twarzy.

Deverell spojrział na tłustą prostytutkę i zaraz skończyły się jego kłopoty. Szybko wypuścił Marisę z objęć.

Marisa usiłowała zebrać myśli.

- Nic się nie dzieje, Maisie - powiedziała po chwili. - Chciałam ci przedstawić mojego... przyjaciela. Mówiłam ci o nim.

- To on jest twoim przyjacielem? - prostytutka popatrzyła na księcia z błyskiem w oku. - No to w porządku. Jak on się nazywa, Georgie?

Marisa już jej chciała odpowiedzieć, ale w porę przypomniała sobie, że księżę występuje incognito. Ale jakie imię sobie wybrał? Rzuciła mu ukradkiem pytające spojrzenie. Czyba Maisie niczego nie zauważyła?

Nie musiała się tym martwić. Deverell dobrze umiał się maskować.

- Davie Smythe, madame - powiedział. - Do usług.

- Jestem zachwycona - szepnęła Maisie, podając mu dłoń do pocałowania.

Księżę zacisnął zęby i zastosował się do jej życzenia.

Maisie zachichotała jak pensjonarka. Spojrzała na grupę ludzi, którzy zebrali się przed jej namiotem.

- Wszystko w porządku! - zawołała. - Przyjaciel naszej Georgie przyszedł do niej z wizytą.

- Naszej Georgie? - powtórzył Deverell, rzucając Marisie rozzłoszczone spojrzenie.

- Maisie i Harriet, ta w zielonej sukni – powiedziała Marisa, uśmiechając się słodko do niego - są moimi nowymi przyjaciółkami.

Niech sobie teraz wyobraża, co tylko zechce, pomyślała. Chociaż musiała przyznać, że ksiązę miał szybką orientację i nie zaprotestował przeciwko imieniu Georgie.

- Tak, całkiem nowe przyjaciółki - dodała Maisie. - No i również partnerki w pewnych interesach, prawda, Georgie?

- W jakich interesach? - spytał Deverell, piorunując Marisę wzrokiem.

- Na przykład takich - powiedziała Marisa, przesuwając dłoń po biodrze, aby pokazać mu suknię. Dotknęła również swojej nowej fryzury - dzieła Harriet. Było to modne uczesanie, które nadawało twarzy Marisy chłopięcy wygląd, niezbyt przystający do kobiecej figury, uwydatnionej nowym strojem.

- Słuchaj, Davie, kochanie - zaszczebotała Marisa. - Jestem winna pieniądze tym kobietom, więc muszę już iść.

- Zaczekaj chwilę! - zawołał Deverell, chwytając ją za ramię.

Nie powinien był tego robić. Był już dostatecznie pobudzony, kiedy pokazywała mu suknię i przeciągała ręką po biodrze i kiedy tak bardzo kobiecym ruchem poprawiała swoją fryzurę. Jego lędźwie natychmiast zareagowały, kiedy dotknął jej nagiej skóry. Omal nie jęknął głośno.

- Dev... Davie? - Marisa spojrzała na niego z ciekawością.
- Czy coś jest nie w porządku z...

- Nie przejmuj się tym - odburknął.

Szybko zdjął rękę z ramienia Marisy i obrócił się, aby odejść. Jednak po przejściu kilku kroków zatrzymał się.

- Generał powiedział, że można tymczasem nocować na stryszku nad stajnią. Może chciałabyś skorzystać z tego miejsca, dopóki nie zmądrzejesz i nie przyjmiesz jego życzliwej rady...! - zawołał.

- Życzliwej, akurat! - odkrzyknęła Marisa.

Jedynym życzliwym gestem, z jakim się tu spotkała, była oferta Harriet, że mogą jej zapewnić miejsce w swoim namiocie. Będzie to trochę kosztować, ale to było zupełnie zrozumiałe. One były pracującymi kobietami, które musiały utrzymać się na powierzchni. Dzięki przezorności Ruperta

Marisa była wystarczająco zaopatrzona na podróż.

- Jak już powiedziałam Welliemu - mówiła dalej Marisa - a teraz powtarzam panu, panie Smythe: zostaję tutaj!

Marisa dotrzymała obietnicy. prostytutki szybko się z nią zaprzyjaźniły. Potraktowały jej rozmowę z Danielem jak kłótnię kochanków.

- My, kobiety, powinnyśmy trzymać się razem - powiedziała Harriet.

Maisie i Harriet przyjęły Marisę do swojego namiotu. Wkrótce kobiety w obozowisku zaczęły ją traktować jak jakąś sławną postać. Fakt, że uciekła z kochankiem, tak działał na ich wyobraźnię, że Georgie była rozchwytywana. Miejscowe prostytutki, które nie znały angielskiego, gestami zapraszały ją do rozpalonych przed namiotami ognisk.

Te kobiety były zblazowane, znużone, większość z nich miała już najlepsze lata poza sobą, ale zdumiona Marisa, stwierdziła, że są romantyczkami! Życie, jakie prowadziły, zmusiło je do tego, aby były twarde i przebojowe, potrafiły jednak wzruszać się do łez, kiedy słuchały o przygodach miłosnych. Georgie dostarczyła im tego tematu.

Wszystkie chciały jej pomagać, również bezinteresownie. Hojnie udzielały jej wszelkich porad, głównie na temat strojów i tańców, o czym Marisa przeważnie nie miała żadnego pojęcia. Głównym tematem byli jednak mężczyźni i sposób, w jaki należy z nimi postępować. Marisa była pewna, że wie o nich wszystko, przecież stale wśród nich przebywała.

Ale te kobiety znały mężczyzn od innej strony i Marisa chciwie chłonęła ich rady.

- Większość mężczyzn pozostała małymi chłopcami - tłumaczyła jej Maisie, pokazując jednocześnie, jak należy układać włosy. - Wszystko ma być tak, jak oni zechcą. Więc trzeba im pozwolić, żeby myśleli, że rzeczywiście tak jest.

- Nie chcą okazywać swoich uczuć - dodała Harriet. - Mówię o serdecznych uczuciach. Bo wściekać to się nieźle potrafią. Dziewczyna nie może dać się im skrzywdzić. Musi się nauczyć, jak ich rozgryźć.

- W jaki sposób? - spytała zaciekawiona Marisa.

- To jest tak - tłumaczyła jej cierpliwie prostytutka. - Kiedy on lubi wrzeszczeć, to powinnaś wiedzieć, jak on się zwykle wydziera. A jeśli kiedyś zacznie drzeć się o wiele głośniej...

- To wskazówka, że coś jest nie w porządku - powiedziała Marisa.

- Już to zaczynasz rozumieć - pochwaliła ją Harriet.

- Ale czasem nie ma żadnej wskazówki - ostrzegła ją Maisie. - I musisz sama to rozgryźć.

- Jak to zrobić?

- Czasem mężczyzna nie może dać sobie rady z cierpieniem i trzyma się z daleka od wszystkiego, co mu przypomina jego ból. I może zachowywać się tak spokojnie, że nic po nim nie poznasz.

- To skąd można wiedzieć, że coś jest nie w porządku? Niektórzy mężczyźni są refleksyjni z natury – powiedziała Marisa, myśląc o swoim ojcu.

- Refle co? - spytała Maisie.

- Mało rozmowni.

- Aha. - Maisie roześmiała się. - Ci refleksyjni są najgorsi.

- Nigdy nie wiadomo, o co im chodzi - przytaknęła Harriet.

Marisa skinęła głową. Właśnie taki był jej ojciec. Lord Winther potrafił mówić tylko o sprawach wojskowych i rzadko wciągał ją do tych rozmów. A król Rupert był gadatliwy i często się wydzierał, jak to określała Harriet. Wrzaski jego królewskiej mości docierały do najdalszych zakątków pałacu, kiedy jego syn wrócił z Anglii i udawał zblazowanego dandysa. prostytutki miały rację. Rupert bardzo nad tym cierpiał. Deverell był jego jedynym, ukochanym dzieckiem.

A książątko? Chyba nic go to nie obchodziło. Jak długo zamierzał tu jeszcze być, udając żołnierza i nie wyprowadzając ojca z błędu? Deverell sam powinien zaznać cierpienia, żeby móc zrozumieć, ile bólu zadaje swoim bliskim. Gdyby tylko potrafiła znaleźć sposób...

Jak się jednak okazało, książę już zdołał zaznajomić się z cierpieniem, przynajmniej jeśli chodziło o

cierpienie fizyczne. Po odbyciu ciężkiej i długotrwałej podróży przez połowę Europy, uważał, że jest wystarczająco zahartowany na trudy żołnierskiego życia. Mylił się jednak. Teraz spędzał na ćwiczeniach czternaście godzin dziennie w palących promieniach słońca. Nie można było tego porównać z treningiem, który odbywał w Anglii pod okiem Garricka. Był on również wyczerpujący, ale nie odbywał się codziennie i książę miał długie przerwy na odpoczynek. Ćwiczenia w wojsku Wellingtona można było przetrwać jedynie siłą woli.

Żołnierze wstawali o piątej rano. Dostawali śniadanie, które według Deverella nie nadawało się nawet dla psów jego ojca. I zaraz rozpoczynała się trwająca bez końca musztra. Niektórzy żołnierze mdleli. Cucono ich kubłami wody i wracali do musztry. Po marnym posiłku książę padał na swoją pryczę i natychmiast zasypiał.

Co gorsza, jego bezpośrednim dowódcą był sierżant Terenie O'Reilly, Irlandczyk, który nie cierpiał Anglików. Typowe dziecko dublińskiej ulicy, lubił powtarzać, że gdyby nie przyjęto go do wojska, to już dawno by nie żył i zabrałby ze sobą do grobu wielu cholernych Anglików. Był ogromnym mężczyzną o gwałtownym temperamencie, z rudymi bokobrodami i donośnym głosem.

W pierwszym tygodniu ćwiczeń piechur Davie Smythe często słyszał jego głos i równie często miał do czynienia z jego wybuchowym temperamentem. „O Jezu, Anglik”, to były pierwsze słowa sierżanta, kiedy usłyszał akcent rekruta, po

czym nastąpiły epitety w rodzaju „śmierdzący Angol” i „śliczny chłoptaś”. O’Reilly, kiedy chciał dokuczyć temu rekrutowi, zupełnie zapominał o fakcie, że służył w angielskim pułku, w którym prawie wszyscy żołnierze pochodzili z Anglii. Dla niego Smythe był nie tylko Anglikiem, ale też bardzo urodziwym Anglikiem, do czego żaden żołnierz nie ma prawa.

Deverell stale słyszał okrzyki w rodzaju: „Jesteś powolny jak zółw, ty śliczny” i „Rusz tyłek, Angolu”. Następca tronu Baravii, czyli Davie Smythe, znosił to wszystko, zaciskając zęby. Nie spodziewał się zresztą delikatnego traktowania. Wszyscy przechodzili przez tę morderczą musztrę i on też powinien ją wytrzymać, chociaż czasem miał wrażenie, że to go zabije.

Dopiero pod koniec drugiego tygodnia odczuł zmianę. Pierwszą oznaką było to, że kiedy wstawał rano, nie bolały go wszystkie mięśnie. Prawie pięćdziesiąt kilo w plecaku, które żołnierze nosili w marszu, nie sprawiało mu już takich cierpień jak dotąd. A nazwisko O’Reilly przestało w nim wzbudzać mordercze instynkty. Wreszcie, jednego wieczoru, został po kolacji w towarzystwie innych żołnierzy, zamiast paść bez życia na swoją pryczę.

- Twój nowy chłopak został dzisiaj z nami - zwrócił się do O’Reilly’ego sierżant Cooper.

Żołnierze wypoczywali na tak zwanej werandzie, czyli w otwartym namiocie, postawionym obok spichlerza, przerobionego na stołówkę.

- Chyba jeszcze będą z niego ludzie - dodał Cooper.

- Postaram się temu przeszkodzić - powiedział z uśmiechem O'Reilly.

Sierżant obrzucił spojrzeniem wysoką, atletyczną sylwetkę tego zbyt przystojnego Angola. Patrzył na jego muskularne ręce, jak podnosił do ust kubek napoju, który żołnierze dyplomatycznie nazywali piwem. Badał wzrokiem jego opaloną twarz, wyblakłe od słońca za długie włosy i zdecydowany zarys ust.

- To dziwny Angol - powiedział. - O wiele bardziej wytrzymały, niż mogłem się spodziewać. A przecież dałem mu niezłą szkołę. Zastanawiam się, czy on nie ma w sobie trochę irlandzkiej krwi.

- Mówią, że przyjechała z nim piękna dziewczyna - powiedział Cooper ze znaczącym uśmiechem.

O'Reilly był znanym uwodzicielem. Miał też wielkie powodzenie u kobiet, chociaż nie należał do przystojnych mężczyzn. Sierżant Cooper uważał, że O'Reilly, jako prawdziwy Irlandczyk, umiał im prawić komplementy.

- Przywiózł ją ze swojego kraju - dodał jeszcze.

O'Reilly uniósł swoje krzaczaste brwi, co było oznaką zainteresowania.

- Rzeczywiście? A gdzie przebywa ta ślicznotka, kiedy jej piękny chłoptaş jest na ćwiczeniach?

- Myślę, że w obozowisku nad rzeką. - Cooper wzruszył ramionami.

- Hm - mruknął O'Reilly.

Nie pytał już o nic, ale tego samego wieczoru poszedł z wizytą do swojej ulubionej prostytutki.

- Harriet, kochanie ty moje. Stęskniłem się za widokiem twojej pięknej buzi! - zawołał O'Reilly, wchodząc do jej namiotu. - Niech ci się przyjrę. Coraz młodziej wyglądasz, dziewczyno! Może odkryłaś źródło młodości?

Harriet uśmiechnęła się do niego serdecznie. Ten wielki Irlandczyk był jej ulubionym klientem. Terence był mężczyzną, który autentycznie lubił kobiety i ich towarzystwo. A kobiety tej profesji natychmiast to wyczuwały. Zapowiedział swoją wizytę i Harriet czekała na niego.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Terence - powiedziała - chociaż nie wierzę w twoje komplementy.

Sierżant zaśmiał się i przysiągł, że mówił prawdę. Gdy Harriet nalęła porto do dwóch kubków, usiedli na szerokim sienniku, aby sobie pogawędzić. Tak zwykle robili, zanim przeszli do konkretnego celu wizyty sierżanta.

- A gdzie jest teraz nasza droga Maisie? - spytał.

O'Reilly lubił Maisie i nawet korzystał z jej usług, kiedy Harriet była zajęta.

- Chyba w dużym namiocie - powiedziała Harriet.

Kiedy któraś z nich miała swojego specjalnego klienta, druga spędzała wieczór we wspólnym namiocie nad rzeką. Ten namiot, zwany dużym, dawał prostytutkom schronienie i odpoczynek od zwykłych interesów.

Georgie spędzała tam wszystkie wieczory. We wspólnym namiocie nigdy nie załatwiano interesów. Ponieważ Georgie nie była dziewczyną pracującą, ten namiot służył jej za schronienie, kiedy jej przyjaciółki były zajęte.

- Może nawet gra tam w szachy - dodała Harriet.

- W szachy? Maisie? - O'Reilly omal się nie zakrztusił.

Harriet roześmiała się. Była bardzo przywiązana do swojej przyjaciółki, wiedziała jednak, że nie grzeszy ona lotnością umysłu. Georgie mówiła, że gra w szachy wymaga umysłowej koncentracji, jednak starała się nauczyć tej gry kilka prostitutek.

- To wszystko zaczęło się, kiedy zamieszkała z nami jedna dziewczyna - tłumaczyła sierżantowi. - Ma na imię Georgie i przyjechała tu dwa tygodnie temu z tym facetem...

Tego wieczoru Deverell czuł się o wiele lepiej niż kiedykolwiek. Zanim dołączył do kolegów na werandzie, zdążył się już wykapać, ogolić i zmienić ubranie. Za

odpowiednią sumę podchorąży załatwił mu beczkę gorącej wody i mydło.

Kiedy znalazł się na werandzie, jego uwagę przyciągnęła grupa żołnierzy, którzy stali przy stole i gorąco o czymś dyskutowali. Kiedy tam podszedł, zobaczył, że na stole leżą złote monety i co chwila ktoś dorzuca nowe. Sierżant Cooper, który nadzorował zakłady, robił szybko notatki na dużym arkuszu papieru. Deverell chciał dowiedzieć się, o co szła gra, kiedy odezwał się sierżant. Gdy usłyszał, o co chodzi, omal się nie przewrócił.

- Przykro mi, Evans, ale poniedziałek o ósmej jest już zajęty. Nie przejmuj się tym. O'Reilly mówił, że do tej Georgie jeszcze szybko nie będzie można startować, chociaż sam chciałby ją poderwać. Może w poniedziałek o późniejszej godzinie?

Startować do niej? Deverell opanował się z trudem i wmieszał w tłum żołnierzy.

Dowiedział się tam, że zakładano się między innymi o to, kiedy ta diabelnie piękna nowa prostytutka zacznie obdarzać żołnierzy swoimi wdziękami. Sierżant O'Reilly przyniósł wieści o urodzie Georgie i jej dziwnej niechęci do rozpoczęcia pracy.

O'Reilly założył się z Cooperem, że on pierwszy zdobędzie jej względy, i wyznaczył nawet datę. Cooper poszedł do obozowiska, aby zobaczyć Georgie na własne

oczy, a przez ten czas O'Reilly opisywał jej wdzięki całemu pułkowi. Oczywiście, inni też chcieli ją zobaczyć. Teraz robiono zakłady. Niektórzy zakładali się, że uprzedzą O'Reilly'ego i oni będą pierwsi!

Deverell zastanawiał się przez chwilę, czy ma poszukać sierżanta i zbić go na kwaśne jabłko, czy iść do diabelnie pięknej Georgie i kazać jej pakować manatki?

Wybrał Georgie.

12

Marisa oglądała swój nowy strój i ogarniał ją coraz większy niepokój. Suknia, przerobiona ze starej szaty Maisie, była jaskrawoczerwona i naszywana srebrnymi cekinami. Marisa nigdy przedtem nie miała na sobie niczego w takim kolorze, jedynie paradny mundur Gwardii Królewskiej miał karmazynowe wypustki. Przede wszystkim przerażał ją dekolt, który był jeszcze głębszy niż w fioletowej sukni, noszonej przez nią w ciągu ostatnich dwóch tygodni. A i tamten dekolt zakrywała szalem, zakupionym od jednej z prostytutek, Rosality.

Marisa podejrzewała, że ten dekolt został zrobiony celowo. Maisie była przekonana, że dziewczyna powinna pokazywać się ze swojej najlepszej strony. Tymczasem najlepsza strona Marisy wynurzała się niebezpiecznie z dekoltu, grożąc, że całkowicie go opuści.

- Wydaje mi się, że to jest trochę *outré*, jak myślisz, Maisie? - powiedziała Marisa.

Jeszcze dwa tygodnie temu nie użyłaby francuskiego słowa. Francja to był nieprzyjaciel, który zagrażał jej krajowi. prostytutki przekonały ją, że w Anglii używa się języka żabojadów. Mówiły, że posługuje się nim arystokracja i sam książę Walii, chociaż Marisa nie przypuszczała, żeby obracały się w takich kręgach. Postanowiła spytać o to Deverella,

przypomniała sobie jednak, że ostatnio nie łączyły ich zbyt przyjacielskie stosunki.

Dziwiła się, że tak często o nim myśli i że za każdym razem musi sobie uświadamiać, że nic ich już nie łączy. Tłumaczyła sobie, że tak wiele czasu spędzili razem, więc jest rzeczą naturalną, że powraca w jej myślach.

Deverell pojawiał się również w jej snach -kiedy wyzwolił ją z rąk Francuzów i trzymał w ramionach, kiedy wspominali wspólnie spędzone dzieciństwo, a on patrzył na nią ze współczuciem. Ale najważniejszy był sen, kiedy tak długo przytulał ją do siebie, gdy po raz pierwszy odwiedził obozowisko. Co to mogło znaczyć? Można pomyśleć, że jest...

- *Outre* - powtórzyła Maisie. - Ta suknia jest akurat dla ciebie.

- Musisz mieć coś na zmianę - dodała Harriet, która zjawiała się przy ognisku z dzbankiem w ręku.

Marisa wzięła od niej dzbanek i zabrała się do robienia kawy. Nagle Harriet roześmiała się głośno.

- Nie schylaj się za bardzo, kochanie - powiedziała.

Marisa złapała się za dekolt.

- Czy już zupełnie postradałaś zmysły?

Harriet i Maisie wyteńczyły wzrok, żeby dojrzeć w ciemności, kto zbliżał się do ich ogniska. Marisa od razu poznała ten głos.

- Do diabła - zaklął Deverell, wynurzając się z ciemności.
- Tego już za wiele! Dlaczego jeszcze stąd nie wyjechałaś?

Stanął przed Marisa, która musiała podnieść głowę do góry, aby zająrzeć mu w oczy. Stwierdziła, że mimo gniewnego wyrazu, jego twarz jest niesłychanie urodziwa.

- Dlaczego nie pojechałaś do domu?
- Bo moje miejsce jest tutaj! - krzyknęła Marisa.

Zapomniała o swoim dekolcie i wzięła się pod boki. Jak on śmie jej rozkazywać?

- Mówię ci, że nie! - huknął.

Harriet i Maisie wymieniły spojrzenia i cofnęły się trochę.

- Mogłaś nocować na stryszku, który jest nadal dostępny. Ale ty oczywiście tego nie zrobiłaś. Miałem to miejsce pod kontrolą.

- Chciałaś mnie kontrolować? To ja ciebie powinnam kontrolować!

- Rzeczywiście. - Roześmiał się drwiąco. - Jak byś to robiła? - Spojrzał na jej suknię. - Nie mogłabyś wejść do obozu Wellingtona ubrana jak prostytutka!

- Jak śmiesz! Nie z własnego wyboru noszę takie stroje!

- Czy również z winy Wellingtona paradowałaś w tych strojach przed połową jego pułku?

- Nie robiłam tego, do cholery!

Deverell pochylił się nad nią.

- Czy nazwisko O'Reilly coś ci mówi?

- A jeśli tak, to co z tego?

Marisa przypomniała sobie uroczego Irlandczyka, którego przedstawiła jej Harriet i który zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

- Może zainteresuje cię wiadomość - oświadczył Deverell - że dzięki nowinom, które przyniósł sierżant O'Reilly, zaczęto robić zakłady, w których bierze udział prawie cały pułk. Chodzi o to, kto pierwszy zdobędzie łaski prostytutki Georgie.

- To niemożliwe! - krzyknęła Marna. - Ja nikogo nie prowokowałam.

- Nie musiałaś, ty idiotko! Twoje stroje i miejsce, w którym przebywasz, wystarczą za wszystko!

- To nieprawda! - protestowała Marisa. - Tutaj każda kobieta prowadzi swoje... interesy tylko w takim zakresie, jaki uważa za stosowny.

Zamiast odpowiedzi, Deverell zachnął się tylko.

- Sierżant i jego koleżkowie mogą sobie myśleć, co chcą - przekonywała go. - To nie moja sprawa. Będą musieli wycofać się z tych swoich obrzydliwych zakładów.

Marisa cofnęła się o krok, skrzyżowała ręce na piersi i rzuciła księciu triumfujące spojrzenie.

Ale Deverell nie patrzył na jej twarz. Marisa nie zdawała sobie sprawy, że krzyżując ręce na piersi odsłoniła to, co i tak ledwo zakrywał głęboki dekolt jej sukni. Różane wzgórki jej

białych piersi już od dawna prześladowały go w snach, a nawet podczas wielogodzinnych marszów. Teraz miał je przed sobą.

Chwycił ją w ramiona i zaczął namiętnie całować w usta.

Marisa nie spodziewała się tego. Jeszcze przed chwilą patrzył na nią gniewnym wzrokiem, a teraz obsypywał pocałunkami. Ogarnęło ją dziwne uczucie słabości, kiedy poczuła ciepło jego ciała. W jej snach Deverell często trzymał ją w ramionach, a teraz to była rzeczywistość. Ztracała się coraz bardziej w jego uścisku, płonęła...

Nagle Deverell zeszywniał i oderwał usta od jej warg. Ciało Marisy przebiegł nagły dreszcz. Poczuli się oszukana.

- Dev? - szepnęła. - Co...?

Po chwili usłyszała stłumiony chichot. To była Maisie.

- Do diabła! - zaklął księżę.

- Może powinieneś już odejść - powiedziała z wahaniem, powoli dochodząc do siebie.

- Akurat!

Deverell rzucił okiem w kierunku ogniska i zacisnął wargi. Widać było, że powziął jakieś postanowienie.

Pochylił się szybko, złapał ją i przerzucił sobie przez ramię, nie zważając na jej protesty.

Wyjął z kieszeni worek monet i rzucił go w stronę kryjących się w cieniu prostytutek.

- To zapłata za suknię! - krzyknął.

Nie zwracając uwagi na przekleństwa, którymi obrzucała go Marisa, ruszył zdecydowanym krokiem do obozu Wellingtona.

Maisie popatrzyła na nich, roześmiała się znowu i trąciła łokciem Harriet.

- Są na siebie nieźle napaleni!

- Na to wygląda - powiedziała Harriet. - Ale chyba Georgie nie jest w tej sztuce wyszkolona. Ona pochodzi z arystokracji, a takie dziewczyny są dobrze strzeżone. Chociaż z nim uciekła, chyba nie za dobrze wie, o co tu chodzi.

- To prawda - przyznała Maisie. - Ale on dobrze wie. Dziś w nocy jej to pokaże. Gdybym była dwadzieścia lat młodsza, to sama bym się za niego wzięła. Taki przystojny młodzieniec!

Przystojny młodzieniec miał ciężkie zadanie. Marisa waliła go pięściami w plecy, a jej wrzaski mogłyby obudzić umarłego. Deverell miał już tego dosyć. Poszedł do obozowiska, aby przemówić jej do rozsądku i ostrzec przed grożącymi kłopotami, a ona mu nawet nie uwierzyła.

Musi coś z tym zrobić. Ktoś musi się nią zająć, a oprócz niego nie było innych chętnych. Zakłady, które robili żołnierze, przeważały sprawę. Zabiłby każdego, kto by śmiał jej dotknąć!

Miał jeszcze inny problem. Sam się dzisiaj przekonał, jak trudno jest utrzymać ręce przy sobie w obecności Marisy. A on był za nią odpowiedzialny. Była jego rodaczką, jego przyszłą poddaną, a na dodatek pochodziła z arystokratycznej rodziny. Pożądał jej, ale nie miał prawa jej wykorzystać. Musi sobie z tym poradzić.

A teraz niósł ją na ramieniu. Chyba zwariował! Z drugiej strony, nie mógł jej zostawić w obozowisku. Była taką niemądrą, niewinną dziewczyną - a to musiało źle się skończyć. On sam był potwornie zmęczony i marzył tylko o tym, żeby pójść spać i móc nareszcie zrzucić z ramienia tę wrzeszczącą, wściekłą istotę.

- Uspokój się wreszcie! - krzyknął i klepnął ją dość mocno w pośladek.

Usłyszał w odpowiedzi, że już długo nie pożyje.

- Czy gwardziści zajmują się teraz królobójstwem? - zadrwił.

- Jeszcze nie jesteś królem! - wrzasnęła. - Puść mnie natychmiast!

- Dość tego! - zawołał. - Czy chcesz zbudzić cały obóz?

- A czy ty chcesz zostać eunuchem, kiedy się do ciebie zabiorę? Ty kidnaperze!

Deverell zorientował się, że stajnie są jeszcze daleko i że nie może pozwolić jej na dalsze hałasy. Postawił ją na ziemi.

- Jestem porywaczem? - spytał.

Marisa chciała go uderzyć, ale w porę złapał ją za rękę.

- Od kiedy nazywa się porywaczem kogoś, kto ratuje z opresji uciśnioną niewinność?

- Nie jestem uciśnioną niewinnością, a moim jedynym kłopotem jest tępe książątko, które się we wszystko wtrąca!

- Nazwałaś mnie już zdrajcą, a teraz jestem kidnapерem i tępakiem. Co jeszcze wymyślisz?

- Może dureń?

- Masz język jak żmija!

- Lepiej mieć język żmii niż fałszywy i przewrotny, jak ty!

- Fałszywy?

Deverell znosił spokojnie jej inwektywy, ale to oskarżenie zabolalo go.

- Dlaczego fałszywy?

- Mogłeś wstawić się za mną u Wellingtona. Można mu było wytłumaczyć, że król Rupert wybrał mnie na twoją ochronę i powinnam pozostać w tej roli. Ale ty nic nie zrobiłeś. Jeszcze popierałeś tego starego wroga kobiet!

- Wroga kobiet! - Deverell roześmiał się. - Cały Londyn mówi o tym, jak świetnie Wellington radzi sobie z damami. Nigdy bym nie powiedział, że on nienawidzi kobiet.

- Pewnie lubi tylko te kobiety, które znają swoje miejsce.

- Nareszcie coś zaczyna do ciebie docierać.

- Oczywiście - powiedziała drwiąco. - Tylko taki ograniczony...

- Kto idzie?

Dwaj wartownicy wyłonili się z cienia, trzymając muszkiety w pogotowiu.

- Załóż to szybko - szepnął Deverell, zarzucając na nią kurtkę. - Nie odzywaj się teraz.

Marisa zastosowała się do polecenia. Tymczasem nie miała innego wyjścia, ale później znajdzie sposób, aby wrócić do obozowiska.

Jeden z wartowników podszedł do nich, a drugi został na miejscu z wycelowanym w przybyszów muszkietem. Deverell wyciągnął przepustkę, podpisaną przez samego Wellingtona, która dawała mu swobodny dostęp do stryszku nad stajnią.

Musiał mieć miejsce, gdzie mógłby swobodnie porozmawiać, gdyby zjawił się wysłannik od Garricka.

Wartownik patrzył na przepustkę z zafrasowaną miną.

Okazało się, że nie umiał czytać. Musiał zawołać swojego kolegę, który podszedł z latarką w ręku. Marisa cofnęła się o parę kroków.

- Nosacz podpisał własnoręcznie tę przepustkę! - wykrzyknął drugi wartownik

- Nosacz? - zdziwił się pierwszy żołnierz. - Czemu od razu tego nie powiedziałaś? - spytał Deverella.

- Nie pytałeś mnie o to - odparł książę.

Wiedział, że wydatny nos Wellingtona zyskał mu przezwisko Nosacza.

- Rozumiem, że mogę już iść na stryszek - powiedział, wyciągając rękę po swoją przepustkę.

- Chwileczkę - powiedział piśmienny wartownik, kładąc mu rękę na ramieniu. - Przepustka nie mówi o drugiej osobie. Kto to jest? - spytał, spoglądając na kryjącą się za księciem postać.

Jego towarzysz oświetlił Marisę latarką.

- Co to za dziewczyna?

Deverell sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kilka złotych suwerenów. Objął Marisę ramieniem i uśmiechnął się porozumiewawczo do wartowników.

- Wiecie, jak to jest. Zgłosiłem się do wojska, żeby walczyć za króla, ale człowiek czasem potrzebuje jakiejś rozrywki po całym dniu musztry. Ta miła panienska dobrze się do tego nadaje, nie uważacie?

Wartownicy nie spuszczaali wzroku z Marisy. Doszły już do nich słuchy o jakiejś nowej prostytutce w obozowisku. Jeszcze nigdy nie widzieli tak wspaniałej dziewczyny!

- Tylko na godzinę, najwyżej dwie - dodał Deverell. - Żebym miał o czym pamiętać przez długi czas. Ona potem sobie pójdzie.

Trzymając mocno Marisę, podał wartownikom pieniądze.

- Panna Georgie ma wiele przyjaciółek w obozowisku. Trzeba mieć trochę gotówki, żeby się z nimi spotkać.

Po paru minutach wchodzili już po drabince, która prowadziła na stryszek. Deverell podtrzymał Marisę na ostatnim stopniu, łapiąc ją za siedzenie, i spotkał się z natychmiastową odprawą.

- Trzymaj ręce przy sobie! - warknęła.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim sprawiłaś sobie nową suknię - powiedział.

Wzięła się pod boki i obrzuciła go złym spojrzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Deverell spojrzał na jej jaskrawą suknię z wielkim dekoltem, którego nie osłaniała teraz jego kurtka.

- Do diabła, Mariso! Czy nie pomyślałaś, że mając na sobie taką suknię, sama zachęcasz mężczyzn, aby cię dotykali i posuwali się jeszcze dalej?

- Zachęcam mężczyzn... do diabła, mówiłam ci już, że nic podobnego nie robię! - krzyknęła, jednocześnie zaciskając na piersiach poły kurtki.

- Wysłuchaj mnie - prosił. - Tylko moja obecność powstrzymała tych wartowników, aby nie zrobili ci krzywdy. Ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy...

- Twoja obecność? To moim zadaniem jest ochraniać ciebie! Dam sobie radę z każdym mężczyzną...

- Czy tak samo, jak poradziłaś sobie z tymi francuskimi dezertarami?

- To była inna sprawa. Nie miałam wtedy broni.

- A czy możesz mi teraz zaprezentować broń, jaką masz przy sobie?

Marisa zaczerwieniła się gwałtownie. W tym słownym pojedynku Deverell zdobył punkt. Jej nóż i pistolet leżał na dnie walizki Harriet, pod stosem ubrań.

- Gdybyś mnie nie porwał...

- Gdybym ja tego nie zrobił, to jeden z tych mężczyzn, którzy obrzucali cię pożądlivym wzrokiem...

- Pożądlivym wzrokiem? To nieprawda! - krzyknęła.

Nie była jednak już tego pewna. Tak świetnie się czuła w obozowisku, że zupełnie nie brała pod uwagę przychodzących tam mężczyzn. Przypomniała sobie teraz swoją beztroskę, kiedy chciała zastawić pułapkę na księcia we Włoszech.

- Przecież oni są Anglikami - dodała niezbyt pewnie. - Naszymi sojusznikami. Na pewno by nie...

- Ty naiwna idiotko! Mężczyźni są tylko mężczyznami. Czy po to obroniłem cię przed Francuzami, abyś zachęcała do gwałtu Anglików?

- Ile razy mam ci powtarzać, że nikogo nie zachęcałam!

Ogarnęła go wściekłość na upór Marisy, która nie chciała zrozumieć, tak oczywistych rzeczy. Zerwał jej kurtkę z ramion.

- Mężczyzna musiałby być ślepy, żeby go na ten widok nie ogarnęło pożądanie!

Zorientował się zbyt późno, że popełnił błąd. Patrzył na jej odsłonięte piersi i nie był już w stanie logicznie myśleć. Zmobilizował całą siłę woli, aby się cofnąć, kiedy usłyszał jej głos.

- Deverell - szepnęła. - Dev, proszę cię.

Nawet nie wiedziała, dlaczego wymówiła jego imię. Kiedy stał przed nią, pozerając ją wzrokiem, zatraciła zdolność myślenia. Spojrzała mu w oczy i przeniknął ją gorący dreszcz.

Marisa mogła nie rozumieć mowy swoich zmysłów, ale księżę rozumiał ją bardzo dobrze. Wystarczyło zobaczyć wyraz jej oczu, w których paliło się pożądanie. Widział, że ona pożąda go równie silnie jak on jej. Czy mógł się temu oprzeć?

- Mariso... - szepnął, przyciągając ją do siebie.

13

Marisa drżała jak w gorączce. Każdym nerwem swojego ciała pragnęła dotyku silnych ramion Deverella. Ogarnięci gwałtowną namiętnością, przywarli mocno do siebie.

Marisa zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła się na palcach, rozchylając wargi. Jego usta początkowo muskały delikatnie jej wargi, po chwili jego pocałunki stały się bardziej namiętne. Jej żarliwość doprowadzała go do szaleństwa. Delikatnie gładził jej ciało, chwycił zębami jej dolną wargę, po czym całował ją znowu. Marisa przyjmowała jego pieszczoty z pełnym zapamiętaniem. Zadrżała, kiedy dotknął jej nagiej skóry.

- Jesteś cudowna - szepnął.

Pochylił się i ujął jej twarz w dłonie. Tym razem jego język szukał wnętrza jej ust. Ich języki spotkały się w powolnym pocałunku.

Jego dłonie przesuwają się wolno po jej ciele. Marisa pogrążyła się w tajemniczych, nieznanym sobie głębiach. Poczula dziwną wilgoć pomiędzy nogami i mocno uchwyciła się Deverella, aby nie upaść. Jęknęła cicho. Ogarniały ją niezrozumiałe dla niej samej pragnienia.

Ten jęk rozkoszy omal nie doprowadził go do szaleństwa. Była taka sama, jak w jego snach, delikatna i kobieca, a

jednocześnie napięta. Ich usta były złączone, kiedy położył rękę na zakrytej suknią piersi, obnażając ją tym ruchem.

Poczuł twardniejącą pod jego dłońią brodawkę.

- Marisa... - wykrztusił. - Tak bardzo cię pragnę, że tracę rozum.

Zacisnął palce na brodawce jej piersi, a z jej ust wydobył się okrzyk rozkoszy.

- Jesteś cudowna - szepnął.

Całował ją, pieścił ustami jej ucho, nie przestając przesuwać palcem po brodawce jej piersi. Marisa oddychała szybko i wydawała z siebie ciche jęki. Była równie spragniona jak on. Jego dłoń przesunęła się po jej plecach, aż dotarła do pośladków. Przytulił ją mocno do siebie - chciał, aby poczuła dotyk jego nabrzmiałego członka. Wszeptała wtedy jego imię.

Marisę ogarnęła nieznana dotąd napiętność. Całkowicie się w niej zatraciła. Zalewały ją fale rozkoszy, ale pragnęła czegoś więcej, pragnęła znaleźć zaspokojenie.

Poczuła, że unoszą ją silne ramiona. Deverell położył ją na sianie i sam wyciągnął się obok niej. Chciała, żeby wziął ją w ramiona, żeby spełnił tę nieznaną obietnicę.

- Przytul mnie. De v - szepnęła. - Chcę...

Nagle rozległ się jakiś nieludzki odgłos, ni to krzyk, ni to pisk.

- Co, u diabła...

Deverell zerwał się na równe nogi i zastygł w bezruchu, gotów do zmierzenia się z przeciwnikiem.

- Co się stało? - wyjąkała Marisa.

Błyskawicznie podniosła się z siana i przyjęła pozycję obronną. Po latach szkolenia bojowego taka reakcja była automatyczna. Starła się odnaleźć wzrokiem, mimo panującego mroku, źródło tych upiornych odgłosów.

Ujrzała wreszcie ciemny kształt, czarnego kota, który wyginał grzbiet i parskął ze złością na ich widok. Zanim zdążyła coś powiedzieć, kot zniknął w ciemnościach.

- Kot - powiedziała. - Czarny kot, który przynosi nieszczęście.

Deverell przeciągnął dłonią po twarzy. Ogień namiętności był teraz tylko wspomnieniem. Ten kot był szczęśliwym zrządzeniem losu, pomyślał. Dobry Boże, jeszcze parę minut, a uwiódlbym dziewicę, córkę Winthera! Na strychu, na sianie, jak zwykłą... Chryste, chyba straciłem rozum!

- Marisa. Ja... - zaczął, szukając słów na usprawiedliwienie swojego zachowania.

Wiedział dobrze, że nie wystarczy jej przeprosić. Jako prawdziwy dżentelmen powinien pójść do jej ojca, powiedzieć, że skompromitował jego córkę, i poprosić o jej rękę. Co prawda, Marisa już wystarczająco zaszkodziła swojej reputacji przez tryb życia, jaki prowadziła, niewątpliwie za

zgoda ojca. Poza tym ich sytuacja nie była normalna, byli na wojnie. Będzie ją musiał przynajmniej przeprosić...

Ale co mógł powiedzieć? Przykro mi, że cię zhańbiłem? Tak bardzo cię pragnę, że straciłem głowę? Te słowa były zbyt banalne. On miał być królem, a królowie muszą brać odpowiedzialność za swoje czyny. Nie pokrywać swojej słabości byle błahą wymówką.

Marisa patrzyła na niego szeroko otwartymi szarymi oczami, które wyrażały niepewność. Przypominała mu zagubione dziecko. A przecież miała całkowicie obnażone piersi i...

- Okryj się - powiedział, podając jej swoją kurtkę.

Szybko ją włożyła. Nie patrzyła na niego. Nie wiedziała, gdzie ma podziać oczy. Gorący rumieniec oblał jej policzki. Co ona zrobiła? Co ona, na litość boską...

Kiedy odważyła się wreszcie podnieść wzrok, Deverell był już na drabinie. Zatrzymał się na stopniu i popatrzył na nią lodowatym wzrokiem.

- Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy ubolewania, kapitanie Lancet - oznajmił opanowanym głosem. – Głęboko żałuję tego, co się tutaj wydarzyło, i przyjmuję za to pełną odpowiedzialność. To nie powinno było się stać i zapewniam, że już nigdy więcej się nie powtórzy. - Teraz należałoby - dodał, schodząc już po drabinie - trochę się przespać. Jutro rano kapitan Lancet wraca do domu.

Marisa nie ruszyła się z miejsca. Kiedy usłyszała trzask drzwi stajni, wybuchnęła płaczem.

Nie wiedziała nawet, jak długo leżała pogrążona w rozpacz. Nie płakała od tego pamiętnego dnia, kiedy miała czternaście lat. Kiedy wreszcie przestała szlochać, ogarnął ją wstyd na myśl, że mogła się tak rozhisteryzować. Dzięki Bogu, nikt tego nie widział! Może damski ubiór wyzwala w kobiecie słabość...

Wiedziała jednak, że to nie jest prawda. Musiała uczciwie przyznać, że powód był zupełnie inny. To nie powinno było się stać, przypomniawszy sobie słowa Deverella i ponownie zalała ją fala wstydu.

Ponieważ ona chciała, żeby to się stało. Pragnęła tego wszystkimi zmysłami. Co gorsza, pragnęła jeszcze czegoś więcej!

Ukryła twarz w dłoniach. To było przerażające!

Marisa dotarła do namiotu niedługo przed świtem. Długo czas przesiedziała na stryszku, usiłując zrozumieć, co się wydarzyło. Ale to się jej nie udało.

- Georgie? - odezwała się Harriet. - Okropnie wyglądasz - powiedziała, zapalając lampę.

Marisa skinęła tylko głową i położyła się na wolnym sienniku. Spojrzała z zazdrością na Maisie, która leżała z uśmiechem na ustach, pogrążona w głębokim śnie.

- Czy chciałabyś ze mną porozmawiać, kochanie? – spytała ze współczuciem Harriet. - A może wolisz, żeby zostawić cię w spokoju?

- Och, Harriet. Jaka ja jestem głupia!

- Ależ, kochana, o czym ty mówisz? Jesteś wspaniałą dziewczyną. Zapamiętaj moje słowa: wielu dziewczynom zdarza się zrobić jakieś głupstwo raz albo dwa, ale to nie znaczy, że są głupie. Powiedz mi teraz, co ten łobuz ci zrobił.

Marisa potrząsnęła przecząco głową. W czasie bezsennych godzin, które spędziła na stryszku, zrozumiała tylko, że nie ma prawa obwiniać Deverella. Z własnej woli brała w tym wszystkim udział i pragnęła tego zbliżenia. Nic sobie nie robiła z jego ostrzeżeń, kiedy mówił, że jej wyzywający strój przyciąga uwagę mężczyzn. Czy po to wyzwoliłem cię z rąk Francuzów, pytał, abyś prowokowała teraz Anglików?

A ona sprowokowała Deverella. Gdyby nie nagłe pojawienie się kota, to finału tej sytuacji nie można by określić mianem gwałtu. Nie gwałci się kobiety, która tego pragnie. A ona tak bardzo tego chciała.

Ale dlaczego? Przecież do tej pory nie myślała nawet o jakichkolwiek intymnych kontaktach z mężczyznami. Z radością przeznaczala całą swoją energię na wypełnienie obowiązków kapitana gwardii. Dlaczego nagle poddała się...

- Georgie? - Głos Harriet przerwał jej rozmyślenia.

Nie odpowiedziała przecież na jej pytanie.

- Dev... Davie... nic mi nie zrobił, Harriet. To znaczy, nic ponad to, do czego... go zachęcałam.

Marisa obrzuciła Harriet pytającym spojrzeniem.

- Powiedz mi, dlaczego tak się dzieje, że ktoś, kto ma pełną kontrolę nad sobą, nagle ją traci? Jak można świadomie doprowadzić do sytuacji, której przedtem nie można by zaaprobować?

- Hm? Zgubiłam się z tą kontrolą i aprobatą, kochana.

- Nie wyrażam się dość jasno, prawda? - Marisa roześmiała się.

Nie mogła zdradzić prostytutkom swojej tożsamości ani tożsamości księcia. Ale to nie był główny problem. Ważniejszy był fakt, że nie potrafiła zrozumieć samej siebie. Kobiety z obozowiska wiedziały na pewno wszystko, co dotyczyło stosunków kobiety z mężczyzną. Marisa uznała, że może zwierzyć się Harriet i szukać u niej pomocy przy rozwiązywaniu swojego problemu. Harriet była inteligentną kobietą i, mimo dzielących je różnic, przyjaciółką Marisy.

- Ujmę to inaczej, Harriet. Dlaczego rozważna z natury kobieta odrzuca wszelką przezorność przy tym, a nie innym mężczyźnie?

- Hm. - Harriet zamyśliła się. - Czy te rzeczy, które robiła ze swoim dżentelmenem... to znaczy, czy była na to przygotowana? Czy to stało się nagle i nie mogła nic przewidzieć, zanim nie było za późno?

- Tak! - zawołała Marisa. - Dokładnie tak było!

Była zdumiona, że Harriet, nie znając żadnych szczegółów, tak dobrze określiła sytuację.

Harriet westchnęła ciężko i popatrzyła jej w oczy.

- Nie gniewaj się, kochana, ale wydaje mi się, że jeszcze niedawno byłaś dziewicą, a może jeszcze nią jesteś. Prawda? Nie robiłaś tego nawet ze swoim Davie?

Marisa zaczerwieniła się. Harriet domyśliła się wszystkiego.

- Posłuchaj, Georgie - powiedziała Harriet z niezwykłą u niej powagą. - To można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Tylko wtedy taka rozsądna dziewczyna jak ty potrafi się zapomnieć, kiedy dochodzi do cielesnego...

- Ale ja nie mówiłam...

- Nie przerywaj mi. Jak powiedziałam, tylko jedno może spowodować utratę rozsądku przy mężczyźnie, szczególnie przy tak przystojnym mężczyźnie, jak twój Davie.

- Co? - Marisa ledwie zdołała wyszeptać pytanie.

- Kiedy serce zaczyna rządzić głową. Kiedy twoje uczucie dla faceta zaczyna przeszkadzać w...

- Ale ja nie...

- Jak możesz być tego pewna? - spytała Harriet. - A dlaczego mówi się, że z miłości traci się głowę? Że można oszaleć dla jakiegoś faceta? To znaczy, że nie spodziewasz się

tego! Że to na ciebie spada nagle! Dokładnie tak, jak mówiłyśmy.

- Och, Boże - szepnęła oszołomiona Marisa.

Ona i książkę? Czy to w ogóle mogło być możliwe?

- Wydaje mi się - ciągnęła Harriet - że ten twój Davie nie wyznawał ci miłości ani nie wspominał o kajdanach.

- Kajdanach? Czy masz na myśli... małżeństwo?

Harriet skinęła głową.

- Nie, nic takiego nie mówił - wymamrotała Marisa, rumieniąc się gwałtownie.

- Tak też myślałam - powiedziała Harriet i poklepała Marisę po ręce. - Posłuchaj mnie, Georgie. To nie jest dla ciebie dobre. Radzę ci, jedź do domu. I to zaraz.

- Do domu? Nie mogę...

- Możesz! Sama mówiłaś, że Willie chciał cię wysłać do domu. - Harriet obrzuciła ją serdecznym spojrzeniem. - Czy chcesz skończyć tak jak ja? - spytała surowym głosem.

- Co... co chcesz przez to powiedzieć?

Prostytutka westchnęła ciężko i nie odezwała się. Patrzyła w milczeniu na chybotliwy płomień lampy. Marisa chciała powtórzyć pytanie, ale Harriet sama zaczęła mówić.

- Nie zawsze byłam pracującą dziewczyną, Georgie. Kiedy byłam tak młoda jak ty, nie robiłam tego. Tak jak ty, zakochałam się w facecie, który ani myślał o ślubie. A był taki przystojny! Ja też byłam wtedy ładną dziewczyną.

Harriet roześmiała się gorzko.

- Byłam również okropnie uparta - mówiła dalej. – Uparta i głupia. Nie znałam swojego ojca, ale matka robiła dla nas, co mogła. Dla mnie i mojej siostry, Emmy. Zajmowała się praniem. To była bardzo ciężka praca, ale robiła to, aby kupić dla nas jedzenie. Byłyśmy bardzo biedne, ale mama zawsze mówiła, że nie musimy się tego wstydzić. Pomagałyśmy jej trochę. Razem z Emmy zbierałyśmy z ulicy kawałki węgla, które spadały z wozów, żeby ogrzać nasze mieszkanie. Mama robiła się coraz starsza i coraz trudniej było jej pracować. Ja i Emmy zaczęłyśmy pomagać przy praniu. To była straszna praca, ja jej nie cierpiałam, chociaż Emmy dawała sobie z nią radę. Patrzyłam na mamę, która się zestarzała przy tej robocie, i zaczęłam szukać jakiegoś wyjścia.

Z piersi Harriet wydobyło się głębokie westchnienie.

- Potem Emmy rozchorowała się i nagle umarła. Miała czternaście lat, była ładną dziewczyną, ale...

W oczach Harriet ukazały się łzy. Milczała przez chwilę.

- Śmierć Emmy zupełnie mamę wykończyła. Minęło parę miesięcy, kiedy weszła niespodzianie na ulicę, prosto pod nadjeżdżający powóz. Wiem, że nie powinnam tak myśleć, ale cały czas jestem przekonana, że mama specjalnie weszła pod ten powóz.

Marisa skinęła głową. Dobrze rozumiała uczucia tej kobiety. Ona też chciała umrzeć, kiedy zginął Mark.

- Cierpiałam po jej śmierci - ciągnęła Harriet - ale nie bardzo długo. Widzisz, on był takim przystojnym facetem, Jamie naprawdę dobrze wyglądał. Mama zawsze mnie przed nim ostrzegała, ale potem nie miał mnie już kto przestrzegać.

- Nie minęły dwa tygodnie, jak uciekłam z Jamiem. Mówił mi, że jest marynarzem na urlopie, ponieważ odniósł ranę pod Trafalgarem. Ale on był zwykłym dezerterem, Georgie. Uciekł ze statku i wrócił do Londynu. Kiedy go poznałam, już działał razem z doliniarzami, którzy...

- Doliniarzami?

- Złodziejami, Georgie, opryszkami, bandytami. Zanim się zorientowałam, zdążyłam już stracić dla niego głowę... no i miałam duży brzuch.

- Byłaś... przy nadziei? - spytała Marisa, ale widząc zdumiony wzrok Harriet, powtórzyła pytanie. - W ciąży?

- Tak. I byłam na tyle głupia, że od razu powiedziałam mu o tym.

- Na tyle głupia?

- Powiedziałam mu w sobotę, a w niedzielę już go nie było. I już go więcej nie widziałam.

- Och, nie...

- Złamał mi serce. - Harriet pokiwała głową. - I dał mi niezłą nauczkę.

- A... co ty zrobiłaś? Co się stało z dzieckiem?

- Straciłam je. - Harriet westchnęła. - I nic dziwnego. Sama omal nie umarłam z głodu. I tak by było, gdyby nie przygarnęły mnie pracujące dziewczyny. Wtedy poznałam Maisie. Nauczyła mnie wielu rzeczy. Od tamtego czasu jesteśmy współpracownikami.

- Och, Harriet...

Marisa patrzyła na prostytutkę ze współczuciem. Nie umiała znaleźć słów. Tylko jej oczy wyrażały to wszystko, czego nie potrafiła wypowiedzieć.

- Nie przejmuj się tym, co ci powiedziałam, Georgie. To było dawno temu, chciałam ci tylko pokazać, co się może zdarzyć, kiedy serce zaczyna brać górę nad rozumem. Kiedy zakochujesz się w przystojnym facecie, który chce się tylko zabawić, a sam nigdy nie potrafi się zakochać.

Harriet położyła rękę na ramieniu Marisy. W jej oczach widać było troskę.

- Jedź do domu, Georgie. Jedź do domu, zanim będzie za późno.

14

Książę Deverell, następca tronu Baravii, był kompletnie pijany. Jaki ten Cooper jest pomysłowy, wymamrotał, mając na myśli sierżanta, któremu udało się zdobyć pochodzącą z kontrabandy butelkę brandy. Pomysłowy Cooper sprzedał butelkę piechurowi Smithowi za jedyne sześć gwinei.

Zdumiony faktem, że jest jeszcze w stanie formułować myśli, książę starał się, chociaż przychodziło mu to z wielkim trudem, znaleźć drogę z werandy do swojego namiotu. Po tym, co zaszło na stryszku nad stajnią, Deverell grał przez całą noc w *macao* i upijał się do nieprzytomności.

Nie był jednak całkowicie nieprzytomny. Gdyby tak było, nie myślałby już o Marisie Lancet. Jeszcze czuł, jak drży w jego ramionach, pamiętał, jak pieścił jej piersi.

- Niech to szlag! - zaklął, wpadając na drzewo.

Tego cholernego drzewa przedtem tu nie było. Cofnął się o krok i zmrużył oczy, obrzucając intruza wściekłym spojrzeniem. Zobaczył dwa drzewa, które chwiały się przed jego...

- Niech to szlag! - zaklął ponownie, przewracając się nagle na ziemię.

Przez chwilę leżał na ścieżce, potem podniósł głowę, ale zaraz zamknął oczy. Nieźle się upiłeś, chłopcze, pomyślał.

Chyba lepiej tu zostać, niż narażać się na trudy podnoszenia z ziemi.

Przypomniał sobie nagle, że Garrick latami uczył go, jak pić, aby się nie upijać. To była konieczna wiedza, kiedy przebywało się w towarzystwie z Carlton House. Aby fortel księcia Hala był skuteczny, należało udawać, że jest się kompletnie pijanym, tak jak Prinny i jego kompania, będąc całkowicie trzeźwym. Dziś w nocy, kiedy świadomie postanowił się upić, stracił tylko władzę w nogach i zdolności postrzegania. Jego umysł pozostał trzeźwy.

Miał przed oczami usta Marisy, z nieco wydętą dolną wargą, usta, które rozchyłały się pod wpływem jego pocałunków. Czuł dotyk jej jedwabistej skóry. Słyszał jej głos, kiedy wymawiała jego imię. Jej okrzyk rozkoszy, kiedy on... a do diabła! Do diabła! Do diabła!

Z wysiłkiem umiejscowił wzrokiem drzewo i zaczął podnosić się z wolna, trzymając się pnia. Ostrożnie szedł ścieżką, chociaż nie wiedział, w jakim kierunku. Był zdziwiony, kiedy zobaczył przed sobą budynek stajni.

Wyprostował się z trudem. Zauważył w mroku jakąś postać, a nie byłoby dobrze, żeby wartownik widział...

- Chryste, chłopcze, myślałem, że już się ciebie nie doczekam!

Dźwięk tego głosu podziałał na niego jak kubeł zimnej wody.

- Garrick? Czy to ty?

Kiedy zobaczył mężczyznę, który zbliżał się do niego, utykając na nogę, sądził, że się przesłyszał. Jego przyjaciel był zawsze nienagannie ubrany i nosił się jak prawdziwy żołnierz. Ta brudna, ubrana w łachmany postać miała tylko głos Garricka. A może mu się to tylko wydawało? Był przecież pijany.

To jednak był Garrick. Miał kilkudniowy zarost i poruszał się z widocznym wysiłkiem. Omal nie upadł, ale Deverell zdążył go podtrzymać.

- Jesteś ranny! - krzyknął.

Był zaszokowany. Brandy natychmiast wywietrzała mu z głowy.

- Co się, u diabła, stało?

- Zamach stanu, chłopcze. Ledwie zdołałem wydostać się z pałacu.

Strach chwycił księcia za gardło.

- A król? Moja matka? Co z...

- Oboje żyli... kiedy opuszczałem pałac, ale... – Garrick zachwiał się i księżę musiał go podtrzymać. - Wody - wykrztusił.

- Tak, zaraz.

Deverell rozejrzał się dokoła. Umysł miał jasny, ale nie odzyskał jeszcze sprawności fizycznej. Prowadząc rannego Garricka w kierunku stajni, powtarzał sobie w myśli, że

rodzice żyją. To znaczy, żyli, kiedy Garrick widział ich ostatni raz.

Odbyła się już zmiana warty. Zatrzymali ich inni wartownicy niż ci, którzy go sprawdzali, kiedy był tu z Marisą. Deverell pokazał swoją przepustkę i poprosił ich, aby wezwali pomoc. Zostawił przepustkę w rękach wartownika, mówiąc, że należy ją koniecznie pokazać Wellingtonowi. Trudno mu było ich do tego przekonać, chociaż zapewniał, że Nosacz będzie wiedział, o co chodzi. Umówił się z Wellingtonem, że to będzie znak, że wydarzyło się coś ważnego. Wreszcie zgodzili się, chociaż bardzo niechętnie. Jeden poszedł do kwatery wodza, a drugi został w stajni, trzymając swój muszkiet w pogotowiu.

Deverell przyniósł Garrickowi wody, którą zaczerpnął z beczki przeznaczonej dla koni. Garrick prosił również o przyprowadzenie jego konia, którego musiał zostawić nad rzeką, ponieważ zwierzę było zbyt zmęczone, aby iść dalej. Wartownik dostał złotego suwerena, więc zgodził się obudzić chłopca stajennego i wysłać go po konia.

Deverell oglądał tymczasem rany Garricka. Pocisk z muszkietu rozerwał mu mięśnie uda, ale kość na szczęście pozostała nietknięta. W czasie obrony pałacu został trafiony w ramię, ale ta rana, opatrzona przez królewskiego lekarza, była już prawie zagojona.

- To jest tylko powierzchowna rana, chłopcze. Miałem już gorsze - powiedział Garrick.

Kiedy odpoczął trochę na sianie i napił się wody, poczuł się nieco lepiej.

- Jestem słaby, bo straciłem dużo krwi. Nie mogłem zatrzymać się i zatamować krwawienia. Uniemożliwiały to żabojady. Strzelali do mnie.

- Żabojady? - Deverell patrzył na świeżą ranę. - Kiedy to...

- To nie było w Baravii. Dwa dni temu napotkałem francuski patrol, na szczęście udało mi się uciec. Ale w kraju też są Żabojady. - Garrick splunął na podłogę. - Pododdział wojsk generała Soulta. Przyjechali, aby wzmocnić siły rebeliantów.

Deverell zaklął z cicha.

- Opowiedz mi o tym - szepnął, patrząc spod oka na wartownika.

Ale ten nie zwracał na nich uwagi, zajęty nabijaniem fajki.

Garrick rozpoczął swoją opowieść cichym głosem.

Sytuacja w Baravii była bardzo trudna. Malsaur i jego frakcja, do której należała połowa członków parlamentu i wszyscy ministrowie, z wyjątkiem Donnera i Achtena, oblegali pałac, w którym został uwięziony król i jego zwolennicy. Kiedy Garrick uciekał, król i królowa byli względnie bezpieczni, ale ich sytuacja była bardzo trudna.

Garrick dowiedział się, że generał Winther, wraz ze swoimi żołnierzami, został podstępem wywabiony z pałacu. Jedynie dzięki szybkiej interwencji Gwardii Konnej, pod wodzą kapitana Broyera, zamachowcy nie zdołali zdobyć pałacu. Garrick został ranny w ramię, kiedy wraz ze swoimi braćmi walczył razem z gwardzistami w jego obronie.

Winther zorientował się wreszcie, że został wyprowadzony w pole, ale zanim zdążył wrócić, w kraju już byli Francuzi i droga powrotna była zamknięta. Nieprzyjaciel obsadził przełęcz i wojska Baravii zostały po drugiej stronie granicy. Z tego, co wiedział Garrick, Winther nadal tam przebywał, oczekując w każdej chwili przybycia Francuzów od austriackiej strony.

- Jak ci się udało uciec? - spytał Deverell, którego oszołomiły te nowiny.

- Wziąłem przykład z twojej ochrony. - Garrick uśmiechnął się.

- To znaczy? - spytał Deverell, przypominając sobie ich niedawne spotkanie nad stajnią.

- Maskarada, chłopcze. Dostałem ubranie od kucharki i udawałem kobietę. Nikt nie zatrzymywał starej wieśniaczki, która szła z koszykiem jajek. Udało mi się prześlizgnąć przez przełęcz, potem dostałem konia od Winthera.

- Prześlizgnąłeś się?! - wykrzyknął zdumiony Deverell.

Pamiętał, jak trudno im było, kiedy jechali z Marisą, przedostać się przez tę przełęcz. Garrick położył palec na ustach, przypominając, że należy zachować ostrożność.

- Jak ci się udało przedostać przez przełęcz? – spytał szeptem.

- To było najłatwiejsze, chłopcze. Stara kobieta, sprzedająca świeże jajka, nie mogła mieć żadnych kłopotów z wyłodzonymi żołnierzami.

Garrick pograżył się w smutnym myślach. Obawiał się, że jeśli Wellington nie będzie mógł wysłać znaczących posiłków, B ara via zginie. Wojsko Wellingtona może również mieć trudności ze sforsowaniem przełęczy. Podczas swojej pieszej podróży Garrick zdobył wiele wiadomości. Dowiedział się, że rozpuszczano pogłoski o śmierci króla i mówiono, że jego syn jest niezdolny do objęcia władzy. Coraz więcej ludzi przechodziło więc na stronę zdrajców. W niedługim czasie króla i jego zwolenników czekała śmierć głodowa. Wtedy Baravia przejdzie w ręce zamachowców i Napoleona.

Po pewnym czasie pojawił się adiutant Wellingtona wraz z czterema żołnierzami, którzy nieśli nosze. Nie zważając na protesty Garricka, położyli go na noszach i zanieśli do siedziby sztabu, gdzie Wellington już na nich czekał. Deverell przedstawił Garricka jako przyjaciela z kraju.

Uzyskawszy zapewnienie, że rana Garricka nie wymaga natychmiastowej interwencji chirurga, Wellington odprawił

eskortę, zatrzymując tylko wartownika, który miał pilnować budynku. Zaoferował Garrickowi swoje krzesło – jedyne w jego biurze - ale Garrick odmówił zajęcia miejsca i usiłował stanąć na baczność przed naczelnym wodzem.

Wellington przyglądał mu się uważnie. Patrzył na jego pokrytą szramami twarz i na zakrwawione spodnie.

- Dziękuję panu, panie Quince - powiedział. - To dobrze, że pan przyjechał.

Deverell zauważył, że Wellington traktuje Garricka z szacunkiem. Tak odnosili się do siebie tylko bardzo doświadczeni i zahartowani w boju żołnierze.

- Może pan tutaj czuć się swobodnie - dodał Wellington. - Proszę mi opowiedzieć o sytuacji, która pana tu przywiodła.

Z twarzy naczelnego wodza zwykle trudno było cokolwiek wyczytać, ale tym razem, kiedy Garrick skończył swoją opowieść, była wyraźnie nachmurzona. Jak przewidywał Deverell, Wellington mógł im przydzielić tylko garstkę żołnierzy, kiedy będą wracać do Baravii. Za kilka dni planował rozpoczęcie działań wojennych na dużą skalę.

Zasypywał ich pytaniami o sytuację w kraju. Chciał dokładnie poznać ukształtowanie terenu i liczbę wojska. Wyciągnął mapę Baravii, na której Garrick i Deverell zaznaczyli położenie pałacu i jego otoczenie. Nie mógł dać im wystarczających posiłków, ale mógł służyć swoim wieloletnim doświadczeniem.

Wellington stwierdził, że najważniejszą rzeczą jest uwolnienie króla. Był przekonany, że pojawienie się króla Rupert natychmiast zmobilizuje jego poddanych.

- Tym bardziej - dodał, patrząc na Deverella – kiedy ludzie zobaczą, że ma on godnego następcę tronu, który... hm... wykazuje pewne umiejętności w walce.

- Proszę się o to nie martwić, sir - odezwał się Garrick. - Ten chłopak jest świetnie wyszkolony.

- Myślę, że pan ma rację, panie Quince. – Wellington uśmiechnął się z lekka. - Sierżant O'Reilly jest tego samego zdania, chociaż nie chce się do tego przyznać.

Deverell postanowił trzymać język za zębami i nie wtrącać się do tej rozmowy. Wellington zaczął ponownie studiować mapę i położenie pałacu.

- Głównym zadaniem jest uwolnienie króla, ale nie widzę żadnej możliwości przedostania się do pałacu.

- Ale ja widzę - usłyszeli jakiś głos.

Wszyscy trzej obrócili się w stronę drzwi, gdzie stała Marisa Lancet w swoim dawnym męskim ubraniu.

- Właśnie się zastanawiałem, gdzie ty się chowasz, dziewczyno - zauważył Garrick, uśmiechając się do niej.

- Trudno by ci było mnie znaleźć, Quince – odpowiedziała Marisa.

Wściekły Wellington zawołał adiutanta i rozkazał, aby wartownik stawiał się do karnego raportu. Marisa nie zwracała

na niego uwagi. Podeszła do stołu, na którym rozłożone były mapy.

- Domyślam się, że w kraju stało się coś złego. Słyszałam, jak generał Wellington mówił o braku dostępu do pałacu. Powiedz mi... - zwróciła się do Garricka.

- Nie przypominam sobie, żeby pani była proszona o przybycie, młoda damo - wtrącił Wellington, patrząc na nią ostrym wzrokiem. - A pani strój nie jest odpowiedni dla kobiety, która...

- Która postanowiła tu zostać - dokończyła Marisa. - Uważam, że nagły przyjazd pana Quince'a oznacza całkowitą zmianę sytuacji. Na pewno wkrótce będziemy musieli wyruszyć w drogę, więc nie ma sensu przywiązywać wagi do stroju. Mogę wam powiedzieć, jak można dostać się do pałacu.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie. Wellington uniósł brwi, nie odrywając wzroku od Deverella. Wreszcie odezwał się Garrick.

- Możemy jej chyba na to pozwolić.

Deverell wzruszył ramionami, a Wellington niechętnie skinął głową.

- Dziękuję - powiedziała Marisa. - Chciałabym jednak poznać najpierw wiadomości z kraju. Wiem, że grozi mu niebezpieczeństwo, ale nie wiem, jakiego rodzaju.

- Co? - spytał Deverell. - Czy mam rozumieć, że wpadłaś tutaj, nie zebrawszy przedtem szczegółowych informacji? Nie poznaję cię, kapitanie Lancet!

Marisa zignorowała jego sarkastyczną uwagę i spojrzała na Garricka, który, ubawiony tą sytuacją, zrelacjonował jej pokrótce wydarzenia.

Marisa słuchała w milczeniu. Deverell zauważył, że kiedy Garrick mówił, jak gwardia broniła pałacu, Marisę przepełniało uczucie dumy.

- Zgadzam się z panem, milordzie - zwróciła się do Wellingtona. - Uwolnienie króla jest najważniejszą sprawą.

- Bardzo mnie to cieszy - brzmiała ironiczna odpowiedź naczelnego wodza.

- Ale moja propozycja - mówiła dalej Marisa - ma tę zaletę, że życie króla nie będzie wystawione na niebezpieczeństwo. - Marisa rzuciła Wellingtonowi szybkie spojrzenie. - Jego pojawienie się ma zmobilizować poddanych. Czy tak pan mówił, milordzie?

- Proszę dalej - powiedział poirytowany Wellington.

- Proponuję, żeby... - zaczęła Marisa, patrząc na schemat pałacu, który Deverell narysował na odwrocie mapy.

Powiedziała im o tajemnym przejściu podziemnym pod pałacem, które było pozostałością po średniowiecznej twierdzy. Znajdowało się poniżej lochów twierdzy. Dzięki

niemu można było przedostać się daleko poza zewnętrzne mury. Wychodziło się przez dobrze zamaskowaną jaskinię.

Marisa szybko nakreśliła tę drogę na mapie. Wyjaśniła, że odkryła to przejście razem z bratem, kiedy byli jeszcze dziećmi. Nikomu o tym nie mówili, ponieważ zabawa w lochach była surowo zabroniona.

Uważała, że niewielka grupa ludzi może łatwo dostać się do pałacu, bez wiedzy nieprzyjaciela, aby wyratować króla i jego wiernych gwardzistów. Miała jeszcze inną wiadomość - znała mało uczęszczany górski szlak, tuż obok obsadzonej przez nieprzyjaciela przełęczy. Garrick Quince wiedział, że przełęczy pilnowały niewielkie siły, które można było łatwo zaskoczyć. Po odzyskaniu przejścia generał Winther mógłby wrócić do kraju wraz ze swoim wojskiem i zdusić bunt.

- Widzicie więc, że mój plan nie naraża życia króla na niebezpieczeństwo - zakończyła Marisa. - Kiedy zacznie się bitwa - dodała, rzucając rozbawione spojrzenie na Deverella - poddani jego królewskiej mości na pewno nabiorą odwagi, widząc, jak dzielnie walczy sam następca tronu.

W pokoju zapanowała cisza. Wellington i Quince patrzyli w skupieniu na mapę, jedynie Deverell nie wyglądał na przekonanego.

Marisa spodziewała się takiej reakcji. Przybiegła tutaj, ponieważ zobaczyła nad rzeką konia, który miał na sobie siodło należące do wyposażenia armii Baravii. Zorientowała

się natychmiast, że coś ważnego wydarzyło się w kraju, i obowiązek nakazywał jej stanąć u boku księcia. Ale, pamiętając o przestroгах Harriet, postanowiła nie zbliżać się do niego bardziej, niż to okaże się konieczne. W każdym razie kierować się będzie już wyłącznie rozsądkiem.

- Rozumiem, że jego książęca mość nie jest zachwycony moją propozycją. Może zechciałby wyrazić swoje zdanie? - powiedziała po chwili.

- Nie dziwię się - odezwał się Deverell - że wejście do lochów było zabronione, kapitanie. W ubiegłym stuleciu trzęsienie ziemi nadwreżyło ściany tych lochów. To cud, że przy tych niemądrych eskapadach nic wam się nie stało! - Uśmiechnął się złośliwie. - A teraz kapitan proponuje, aby wyprowadzić tamtędy mojego ojca. Powiedziałbym, że ten plan rzeczywiście zagraża życiu króla. Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić.

- Więc pozwoli mu książę umrzeć z głodu? Wspaniale, wasza wysokość!

- Kiedy bawiliście się w tym przejściu podziemnym? Dziesięć lat temu? A może jeszcze dawniej? O ile wiemy, te ściany stanowią teraz jeszcze większe zagrożenie.

- A o ile my wiemy, nie stanowią zagrożenia! - odparowała Marisa.

- Zostały uznane za niebezpieczne, dlatego zabroniono używać tego przejścia. Czy to ci nic nie mówi, kapitanie?

- To mi mówi, że trzeba mieć tylko trochę odwagi - powiedziała Marisa, patrząc na niego zmrużonymi oczami.

- Tak, trzeba być odważnym. - Deverell podniósł głos. - Ale nie można głupio ryzykować!

- Jedyna głupota, z jaką... - zaczęła Marisa.

- Dość tego! - krzyknął Wellington. - Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Uspokójcie się i wysłuchajcie tego, co mam do powiedzenia.

Deverell musiał przeprosić generała. Był wściekły na Marisę, że go sprowokowała.

Marisa nie posunęła się do przeprosin. Skinęła tylko głową.

- Zgadzam się, że podziemne przejście stanowi pewne ryzyko - zaczął Wellington. - Ale nie macie innego wyjścia. Powinniście przynajmniej starać się dotrzeć do ukrytej jaskini.

- Gdyby się okazało, że nie można się tam dostać, nie będąc zauważonym przez nieprzyjaciela, to dalsza wyprawa tym bardziej byłaby niemożliwa. Jeśli zdołacie dotrzeć do jaskini, to dalsza droga zależeć będzie od tego, co tam zastaniecie. Musicie być bardzo ostrożni. Taka jest moja sugestia. Decyzję musicie podjąć sami.

Wszyscy siedzieli w milczeniu. Marisa była zadowolona, że jej plan został wzięty pod uwagę. Nie odezwała się ani słowem, nie patrzyła na Deverella, aby nie wystąpił przeciwko niej. Dobrze, że od razu nie odrzucił tej propozycji. Kiedy ja z

nią wystąpiłam, pomyślała, nazwał ją głupim ryzykiem, a kiedy Wellington przedstawił ten sam plan, zastanawia się nad nim. O Boże, dlaczego urodziłam się kobietą?

Cisza przedłużała się. Książę nie mógł podjąć decyzji. Spojrzał na Garricka, który niedostrzegalnie skinął głową.

- Wyruszymy o świcie - powiedział.

15

Marisa była gotowa do podróży jeszcze przed świtem.

Przygotowania do drogi nie stanowiły wielkiego problemu. Nie miała wielu rzeczy do zrobienia - osiodłać swojego siwka, Achillesa, zabrać broń i zapakować juki z niezbędnymi rzeczami.

Musiała jednak pożegnać się z kobietami w obozowisku. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie to dla niej takie przykre. Te ciągnące za armią markietanki stały się jej przyjaciółkami, z którymi musiała się rozstać na zawsze.

Rozpoczęła pożegnania od tych, z którymi miała najmniej do czynienia. Znała tylko ich imiona, czasem wymieniały pozdrowienia. Ale i tu nie obyło się bez żalu. Rosalita uściskała ją serdecznie, mówiąc: *vaya con Dios*. Betty, chuda prostytutka, która sprzedała Marisie strusie pióra, dziękowała jej ze łzami w oczach, kiedy Marisa je zwróciła. Marisie z kolei zwilgotniały oczy, kiedy młoda Portugalka dała jej medalik ze świętym Krzysztofem i nie chciała nic w zamian. Marisa obiecała, że nie rozstanie się z nim do końca podróży.

Wszystkie kobiety życzyły jej szczęśliwej drogi i wyrażały żal, że od nich odchodzi. Marisa była już bardzo wzruszona, zanim dotarła do swojego namiotu. Harriet natychmiast poleciała Maisie zrobić herbatę.

- Nie ma nic lepszego na poprawę nastroju niż dobra herbata - powiedziała. - Będziemy tęsknić za tobą, Georgie.

W oczach Marisy ukazały się łzy.

- Ja nie mam na imię Georgie - powiedziała.

Harriet i Maisie słuchały jej opowieści z nieukrywanym zdumieniem. W obecnej sytuacji Marisa i Deverell już nie musieli się maskować. Opuszczali półwysep w asyście sześciu brytyjskich żołnierzy, co dla nikogo nie było tajemnicą. Marisa mogła teraz powiedzieć swoim przyjaciółkom, dokąd jadą.

- Ale Georgie, to znaczy Mariso, to ty nie jesteś Angielką? — spytała zaraz Maisie. - A ten twój Davie jest księciem?

- Tak.

- Tym bardziej musisz się pilnować - przypomniała jej Harriet. - Nie zapominaj o tym, co ci mówiłam, kochana.

- Obiecuję ci to - przyrzekła Marisa.

Potem zaczęły zasypywać ją pytaniami. Najbardziej zaintrygowana była Maisie, która nigdy nie słyszała o Baravii. Chciała wiedzieć, jak żyła Marisa w swoim kraju. Czy nosiła suknie balowe i biżuterię? Czy rzeczywiście umiała walczyć jak mężczyzna? Czy król Baravii był wysoki i przystojny jak jego syn, czy gruby jak brytyjski Prinny?

Harriet interesowała się poważniejszymi kwestiami. Czy Baravia potrafi oprzeć się Napoleonowi? Co się stanie, gdyby on odniósł zwycięstwo? Czy Marisa będzie brała udział w

walkach? Czy była już ranna? Czy zabójcy będą ją traktować jak damę, gdyby znalazła się w niewoli?

Na to ostatnie pytanie Marisa odpowiedziała, że w ogóle nie bierze takiej możliwości pod uwagę i nie myśli o przegranej.

- Nawet mi to nie przychodzi do głowy, Harriet. Kiedy zaczynasz myśleć w ten sposób, to poddajesz się jeszcze przed rozpoczęciem walki.

Potem rozmowa skoncentrowała się na ich wspólnym życiu. Wspominały wieczór, kiedy się poznały, posiłki, jakie gotowały i wieczory przy ognisku.

Marisa była zdumiona, że tyle rzeczy mogło się wydarzyć w przeciągu kilku tygodni. Te kobiety otworzyły jej okno na inny świat. Marisa nie znała świata kobiet i nie poznałaby go bez ich pomocy. Miała łzy w oczach, kiedy wyrażała im swoją wdzięczność. One również płakały.

O świcie przyszedł po nią Garrick. Wyglądał na wypoczętego, chociaż nadal utykał. Kiedy Marisa wyraziła zaniepokojenie, czy powinien udawać się w podróż z tak świeżą raną, rzucił jej ostre spojrzenie.

- Ani książkę, ani całą gwardia nie powstrzymają mnie od tego. Ty też nie próbuj, dziewczyno.

Marisa uściskała po raz ostatni Maisie i Harriet, wsiadła na Achilleasa i ruszyła za koniem Garricka, machając na pożegnanie kobietom w obozowisku.

Czekał już na nich księżę wraz z sześcioma jeźdźcami. Przedstawiali sobą dziwny widok. Żaden z nich, z wyjątkiem Deverella, nie miał na sobie kompletnego munduru. Jak się dowiedziała Marisa, na tej wojnie tylko wyżsi rangą oficerowie mieli pełne wyposażenie. Żołnierzom musiał wystarczyć jakiś element umundurowania, wskazujący na to, że należą do armii brytyjskiej.

Dwóch żołnierzy z eskorty Marisa znała z widzenia. Często przychodzili do obozowiska. Nie wiedziała tylko, czy wiedzą, kim ona jest. Deverell przedstawił ją jako kapitana Lanceta. Doskonale! Była zadowolona, że traktuje ją oficjalnie. Jeśli on potrafił zapomnieć o tym nieszczęsnym epizodzie na sianie, to jest bezpieczna. Nie musi się martwić o swoje serce.

Kiedy księżę przedstawiał teraz eskorcie Garricka, rozległ się jakiś tubalny głos i potężnej postury jeździec wysunął się do przodu.

- Czy to Quince? Garrick Quince? Matko Boska i wszyscy święci, myślałem, że już cię dawno pochowali, chłopie!

Garrick spojrzał na natręta ze zdziwieniem. Po chwili również na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Na Boga, to Terence O'Reilly. To ty się znęcałeś nad moim chłopcem?

- Nie kto inny - powiedział Irlandczyk niewinnym tonem. - Trzeba go było wyszkolić.

- Wyszkolić! - krzyknął Garrick. - Twoi rekruci nie umieją połowy tego co on... Gdybyś nie był takim zakutym irlandzkim łbem, to sam byś to przyznał.

- Ja jestem zakutym łbem? Kocioł garnkowi przygarną!

Marisa uśmiechała się, słysząc tę wymianę zdań. Obaj mężczyźni świetnie się przy tym bawili. Okazało się, że znali się od dawna. Na początku wojny Brytyjczycy i Barawianie mieli często wspólne ćwiczenia i ci dwaj wtedy się poznali. Inni członkowie eskorty uśmiechali się również, kiedy tamci klepali się po plecach jak mali chłopcy. Wreszcie ruszyli w drogę.

Pogoda była słoneczna. Zapowiadał się upalny dzień. Konie szły szybkim kłusem po twardej, spieczonej słońcem ziemi. O'Reilly i jeden z bardziej doświadczonych żołnierzy, Edwards, jechali na przedzie. Obaj najlepiej znali drogę. Za nimi księżę, osłaniany z prawej przez Marisę - zawsze zajmowała tę pozycję, kiedy eskortowała Ruperta - po jego lewej stronie jechał starszy żołnierz, Sommers, a Garrick tuż za księciem, osłaniając tyły. Na samym końcu było trzech młodych żołnierzy - Clark, Brown i Jones.

W południe Deverell zarządził odpoczynek. Zrobiło się już zbyt gorąco na dalszą jazdę, trzeba było odpocząć i napoić konie. Ludzie też byli głodni. Marisa podejrzewała, że księżę zrobił postój ze względu na Garricka. Można było się przecież posilić, nie schodząc z koni. Deverell zmuszał w ten sposób

Garricka do odpoczynku. Od chwili, kiedy ruszyli w drogę, obrzucał go dyskretnie zatroskanym spojrzeniem. Widać było, że martwi się zdrowiem swojego przyjaciela.

Ona również się tym martwiła, choć oczywiście, nie dawała tego po sobie poznać. Dobrze wiedziała, że mężczyźni są bardzo drażliwi w takich sytuacjach. Wiedziała również, że ranny Garrick nie powinien podejmować tak wyczerpującej podróży.

Ponadto tu nie chodziło tylko o zdrowie Garricka. Sytuacja w kraju była bardzo poważna. Jeśli cała ta wyprawa miała czemuś służyć, to powinni jak najszybciej znaleźć się w kraju. Ouince, którego siły książę postanowił oszczędzać, spowolniał znacznie pochód. Marisa postanowiła porozmawiać na ten temat z Deverellem przy najbliższej okazji.

Okazja nadarzyła się tego samego wieczoru. Po zapadnięciu zmierzchu rozbili obóz nad brzegiem ocienionej drzewami rzeki, która leżała w bezpiecznej odległości od głównego gościńca. O'Reilly znał to miejsce. Wiedział również, że znajduje się tam niewielkie wzniesienie, spoza którego można obserwować teren, nie będąc samemu widzianym. Odbyło się losowanie, kto obejmie pierwszą wartę. Padło na Garricka. Deverell chciał protestować, ale przyjaciel powstrzymał go spojrzeniem.

Kiedy wszyscy zjedli już posiłek i ułożyli się do snu, Marisa zobaczyła, że jakaś postać schodzi ze wzniesienia. Noc

była jasna i nietrudno było poznać księcia, który zaniósł Garrickowi kolację i teraz wracał, aby umyć naczynia w rzece.

Marisa szybko ruszyła w jego kierunku.

- Chciałabym zamienić parę słów z waszą wysokością - powiedziała.

Wszyscy tak się teraz zwracali do księcia, nawet O'Reilly. Jedynie Garrick mówił do niego „chłopcze”.

Deverell obrzucił ją szybkim spojrzeniem i skinął głową. Zabrał się do mycia naczyń i szorowania ich piaskiem. Marisa popatrzyła na jego opalone ręce, silne i zręczne. Te same ręce, które czuła na swoim ciele na stryszku nad stajniami.

Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie te myśli.

- Chodzi o Quince'a - powiedziała, siadając na kamieniu. - W pełni doceniam jego odwagę i lojalność, wasza wysokość. Ale czy książę nie sądzi, że on powinien zostać w obozie i wyleczyć swoją ranę? Wiem, że nie chce o tym nawet słyszeć, ale przecież nie on jest tu dowódcą. Książę może mu wydać rozkaz. Powinniśmy jechać szybciej, a Quince opóźnia podróż.

Deverell nie odezwał się. Wolnym ruchem odłożył wymyte naczynia i obrócił się w jej stronę. Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, omal nie zerwała się do ucieczki.

- Garrick Quince - powiedział podejrzanie spokojnym tonem - może będzie kiedyś moim poddanym, któremu będę mógł wydawać rozkazy. Ale Garrick jest dla mnie również

drugim ojcem. Mogłem zawsze liczyć na jego pomoc i wsparcie, chociaż trudno ci to będzie zrozumieć, kapitanie. Powiem tylko, że tak doświadczony żołnierz, jak Quince, jest nie do zastąpienia w naszej obecnej sytuacji, bez względu na szybkość podróży. W sprawach taktyki wojskowej, mój drogi kapitanie, większość z nas nigdy nie zdoła nauczyć się nawet połowy tego, co wie Quince.

Książę zamyślił się. Patrzył przed siebie, jakby zapomniał o jej obecności. Marisa nie wiedziała, czy nie zakończył już rozmowy.

- Wreszcie - mówił dalej - jeśli sama tego nie zauważyłaś, to chcę ci powiedzieć, że Garrick jest moim przyjacielem, moim najbliższym przyjacielem. Jadąc na półwysep, ryzykował dla mnie życie. Czy myślisz, że mógłbym przynieść ujmę naszej przyjaźni, wydając rozkaz, którego on nie aprobuje? Tylko po to, aby zyskać kilka mil dzien- nie? Mylisz się.

Deverell zebrał naczynia i wyprostował się, piorunując ją wzrokiem.

- Bardzo się mylisz - dodał, odchodząc.

Marisa patrzyła za nim. Od czasu, kiedy wyszła ze szkoły, jeszcze nikt nie udzielił jej tak ostrej reprimendy. Miała tylko nadzieję, że Deverell nie zauważył, jak bardzo była zażenowana. Jednak mimo że została skarcona w tak

bezwzględny sposób, postawa księcia wzbudziła jej szacunek. Deverell był niewątpliwie lojalnym przyjacielem.

Garrick ma szczęście, pomyślała z zazdrością, ale natychmiast zawstydziała się tej myśli. Jak to jest, zastanawiała się, kiedy ktoś obdarza nas takim uczuciem, jak Deverell Garrick Quince'a?

Od śmierci brata Marisa nie zaznała już poczucia bliskości z drugą osobą i bardzo jej tego brakowało. Wiedziała jednak, że więź, która łączyła ją z Markiem, była czymś szczególnym - takie poczucie współistnienia zdarza się pewnie tylko raz w życiu.

Deverell zaskarbił sobie miłość aż dwóch osób, pomyślała z goryczą. Quince był jego drugim ojcem, a Rupert też bardzo go kochał, mimo że myślał, iż syn tak go zawiódł.

Deverell był więc obdarowany uczuciem dwóch mężczyzn, a ona, która tak pragnęła...

Nie wolno jej o tym myśleć! Powinna szybko wrócić do obozu i udać się na spoczynek.

Dwa dni później Marisa mogła tylko dziękować niebu - oraz, co musiała przyznać, również księciu - że Garrick nadal im towarzyszył.

Jak zwykle, wyruszyli o świcie i jechali spokojnie przez kilka godzin. Nagle jeden z jeźdźców z przedniej straży,

O'Reilly czy też Edwards, wydał ostrzegawczy okrzyk. Zaraz po tym usłyszeli strzały z muszkietów.

Żabojady! Marisa dostrzegła kilkunastu jeźdźców, którzy pędzili w ich stronę. Natychmiast rozgorzała zacięta walka. Chciała osłonić księcia, ale on już wysunął się na czoło, z dymiącym muszkietem w dłoni. Marisa wycelowała do jednego z jeźdźców, który trafiony spadł z konia.

Niemilknące strzały, okrzyki żołnierzy, rzenie koni i dym spowijający pole walki nie pozwalały ocenić szans przeciwników. Marisie wydawało się, że O'Reilly nie siedzi już na koniu i walczy pieszo, ale nie była tego pewna. Wszystko odbywało się błyskawicznie. Zobaczyła przed sobą Francuza ze wzniesioną szablą. Była szybsza. Ledwie zdążyła się obrócić, aby zmierzyć się z kolejnym przeciwnikiem.

Był to wysoki i muskularny żołnierz, miał bardzo długie ręce. Wiedziała, że może przeszyć ją szablą, zanim ona zbliży się na taką odległość, aby móc go dosięgnąć. Zamierzała przebić mu pierś silnym sztychem, ale on zdołał wytrącić jej szablę z ręki. Błyskawicznie wyciągnęła sztylet z buta i udało się jej dosięgnąć przeciwnika, zanim ten zdążył złożyć się do kolejnego ciosu. Francuz otrzymał śmiertelne pchnięcie sztyletem i spadł z konia. Marisa obróciła się, aby stawić czoło kolejnemu zagrożeniu. Ale nie było już żadnego żywego przeciwnika.

Szybko rozejrzała się dokoła. Zobaczyła, że nikt nie był ranny oprócz Clarka, który trzymał się za krwawiące ramię. Jej szabla leżała obok trupa francuskiego żołnierza. Przerzuciła nogę przez grzbiet Achillesa, aby zsiąść i podnieść szablę.

Nie zauważyła, że Francuz, który leżał o kilka metrów dalej, wykonał nagły ruch. Nie widziała, jak wyciągał nóż i przygotowywał się do rzutu. Usłyszała tylko strzał z pistoletu. Strzelał Quince, który, mimo widomych oznak zwycięstwa, zdążył przeładować swój pistolet i trzymał go w pogotowiu. Nóż wypadł z ręki Francuza, który osunął się na ziemię. Dopiero wtedy Marisa zorientowała się, że mierzył w nią.

Popelniła błąd, sądząc, że wszyscy Francuzi są martwi. Gdyby nie Garrick, ona też by nie żyła.

- Sprawdźcie, czy ktoś jeszcze żyje! -krzyknął Deverell. - I bądźcie ostrożni - dodał, patrząc wymownie na Marisę.

Marisa zaczerwieniła się ze wstydu i rzuciła okiem na Garricka. Spodziewała się nagany, ale on tylko uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo.

Tego wieczoru Deverell zarządził, aby rozbito obóz wcześniej niż zwykle. Wszyscy byli wyczerpani po porannej potyczce i długiej drodze, gdzie za każdym zakrętem mogli spodziewać się kolejnej zasadzki. Zjedli szybko kolację i ułożyli się do snu.

Wartę trzymali Deverell i Sommers. Księżę zauważył znajomą sylwetkę, która kierowała się w stronę grupy drzew nad strumieniem. Marisa Lancet. Dlaczego jeszcze nie śpi?

Deverell poszedł za nią i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Zdziwił się, kiedy usłyszał głos Garricka.

- Zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy profesjonalny żołnierz, dziewczyno - mówił Garrick. - Postąpiłabyś tak samo, gdybyś była na moim miejscu.

- Jest pan zbyt skromny, panie Ouince - zabrzmiała odpowiedź. - Faktem jest, że ani ja, ani nikt inny z naszej grupy nie pomyślał o przeładowaniu broni i nie przewidział, że możemy mieć jeszcze jakiś problem. Na przykład to, co mogło spotkać mnie. Zachowałam się tak nieostrożnie, jakbym była świeżo upieczonym rekrutem. Chciałam sięgnąć po szablę, nie upewniwszy się, że nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo. Gdyby nie pan, już bym nie żyła.

Deverell nie spuszczał z nich oczu. Dobrze rozumiał nerwowe napięcie Marisy. Sam doznawał podobnego uczucia, kiedy przypominał sobie, jak niewiele dzieliło ją od śmierci.

Po chwili Marisa, która stała z opuszczoną głową, spojrzała Garrickowi prosto w oczy.

- Ocalił mi pan życie, panie Ouince - powiedziała pokornym tonem. - Mam wobec pana wielki dług wdzięczności.

- Robiłem tylko to, co do mnie należy - mruknął Garrick. - Ale chętnie przyjmę twoje podziękowania, jeśli pozwolisz mi się teraz trochę przespać.

Odwrócił się od Marisy, położył na ziemi siodło, które służyło mu za poduszkę, i schylił się po swój koc.

- Panie Quince? - Marisa nie poddawała się.

- Co tam znowu? - spytał, wzdychając ciężko.

- Jest... jeszcze inna sprawa. O wiele ważniejsza, panie...

- Mów do mnie Garrick - powiedział. - Czy to nie może poczekać do rana? Mów, byle krótko - dodał, z trudem powściągając ziewanie.

- Tak, naturalnie. Przepraszam - wymamrotała Marisa. - Jestem ci nie tylko winna podziękowanie, Garricku. - Marisa mówiła teraz wyraźnie. - Przede wszystkim powinnam cię przeprosić. Pewnie wiesz za co. Rozmawiałam z księciem... o tobie... może on ci powiedział...

- Ten chłopak nie ma zwyczaju powtarzać byle głupstw - mruknął niegrzecznie Garrick.

Deverell wiedział, że jego przyjaciel jest w najwyższym stopniu zirytowany. Garrick był znany z kurtuazji dla dam.

- Nic mi nie mówił - dodał.

- Jego też niewłaściwie oceniłam - szepnęła Marisa. - Miał przecież prawo... być na mnie wściekły. Tak zresztą było.

Było widoczne, że Quince za chwilę straci cierpliwość, więc Marisa szybko mówiła dalej.

- Garricku, wczoraj wieczór namawiałam księcia, aby kazał ci wrócić do obozu Wellingtona. Abyś mógł wyleczyć swoje rany. Muszę ci wyznać, że miałam jeszcze inny powód. Powiedziałam mu, że ty...

- Opóźniam pochód - dokończył Garrick.

- Przecież mówiłeś mi...

- To prawda, że chłopak nic mi nie mówił. Ale czy myślisz, że nie widziałem, jak obrzucaliście mnie zatroskanymi spojrzeniami, myśląc, że tego nie widzę? – Garrick roześmiał się. - Każdy rekrut, którego szkoliłem, wiedział, że mam oczy z tyłu głowy.

- Rozumiem. - Marisa westchnęła ciężko. - Garricku, ja nie powinnam była rozmawiać o tym z księciem za twoimi plecami i namawiać go, aby cię odesłał do obozu. A co gorsza, nie rozumiałam, że ty, ze swoim doświadczeniem, jesteś tak bardzo nam potrzebny. Nie miałam racji. Proszę, abyś mi wybaczył.

Przez chwilę panowała cisza. Garrick patrzył na Marisę i nad czymś rozmyślał.

- Przyjmuję twoje przeprosiny, dziewczyno, ale tylko za rozmowę za moimi plecami. Reszta jest w porządku. Zachowałeś się jak dobry żołnierz, stawiając naszą misję na pierwszym miejscu. Masz rację, że opóźniam podróż. Sam już o tym myślałem i może powinienem...

- Nie mów tak! - zawołała. - Jesteś nam potrzebny, Garricku. Nie możesz myśleć o powrocie! - dodała półgłosem.

Deverell ukrył się za drzewami. Podsluchiwanie nie było godnym zajęciem, ale teraz martwiły go inne sprawy.

Postanowił przecież, że nie będzie zwracał uwagi na Marisę Lancet i był bardzo zadowolony, że dawała mu powody, aby mógł traktować ją niechęcią. Ostatnio nie prezentowała się w korzystnym świetle ani pod względem charakteru, ani umiejętności. Koncentrował się więc na jej wadach, aby móc wreszcie uznać, że go nie interesuje. Nie życzył sobie powtórki epizodu na sianie. Nie chciał pamiętać o ponętnej, namiętnej Marisie. Po rozmowie, którą przeprowadzili w sprawie Garricka, uznał, że to mu się całkowicie udało.

A teraz, w jednej chwili, wszystko się zmieniło! Do diabła! Nie chciał widzieć jej w tej szlachetnej roli! Mogła przecież pójść do Garricka i powiedzieć mu, że opóźnia pochód. Że powinien się od nich odczepić. Wtedy, będąc księciem, mógłby jej nakazać, żeby sama się od nich odczepiła!

A ona zachowała się jak prawdziwa królowa! Dokonała tego, czego on nie potrafił zrobić - spowodowała, że Garrick poczuł się naprawdę potrzebny.

Deverell westchnął ciężko. Patrzył na Marisę, która zręcznie przemykała się między drzewami.

Była pociągająca i powabna.

16

- Wyśle pani ten list, prawda? - prosił słabym głosem Will Clark, patrząc na Marisę rozgorączkowanym wzrokiem.

- Przy najbliższej okazji, przyrzekam - powiedziała, ściskając go za rękę.

Znajdowali się o kilka mil od hiszpańskiego wybrzeża, na terenie należącym do partyzantów, którzy walczyli z wojskami Napoleona. Wellington podał Deverellowi nazwy miejscowości, skąd pochodzili ci *guerillas*. Księżę postanowił zostawić Clarka, którego rana się zajątrzyła, u jednej z miejscowych rodzin. Liczył na to, że uda się sprowadzić do niego lekarza. Marisa skończyła właśnie pisać list, pod dyktando Clarka, do jego rodziców. Miała nadzieję, że kiedy dotrą do wybrzeża, uda jej się wysłać ten list do Anglii jakimś statkiem handlowym.

- Niech pan teraz odpoczywa, panie Clark - powiedziała, odgarniając mu włosy ze spoconego czoła. - Lekarz niedługo się zjawi.

Ranny westchnął ciężko i zamknął oczy. Marisa wiedziała, że uzyskanie pomocy lekarskiej nie będzie łatwe. W tych stronach zawsze było o nią trudno, tym bardziej w czasie wojny. Robili wszystko, co tylko mogli, aby ulżyć cierpieniom młodego żołnierza, ale pomoc mógł mu tylko lekarz.

Wyszła ze stodoły, w której złożono rannego. Cieszyła się, że mimo rany Clarka, bardzo szybko dotarli w pobliże wybrzeża. Clark udawał przez cały czas, że jego rana nie jest ciężka, dopóki wysoka gorączka nie zwała go z siodła.

Stało się to poprzedniego dnia. Will Clark dotarł do farmy, na której się teraz znajdowali, przywiązany do siodła wierzchowca Marisy, Achillesa. Jechali na nim oboje – Marisa była najlżejsza z całego grona. Na szczęście Achilles był spokojny i świetnie wyszkolony. Zanim dojechali na miejsce, Will Clark stracił przytomność i trzeba go było zdjąć z konia.

Marisa spojrzała na niego z troską i zgasiła lampę, zanim wyszła ze stodoły. Należało zachować ostrożność. Cała grupa czekała na powrót Garricka i O'Reilly'ego - wybrali się do pobliskiej wioski rybackiej na poszukiwanie statku, którym mogliby popłynąć do Włoch. Dochodziła pomoc, a oni jeszcze nie powrócili.

- Jak on się czuje? - spytał Deverell, kiedy Marisa zamykała za sobą wrota stodoły.

Nie widziała dobrze jego twarzy, ale czuła niepokój w głosie.

- Niedobrze - wyjąkała. - Chciałabym...

Łzy napłynęły jej do oczu i szybko odwróciła głowę. Gdyby tylko mogła gdzieś spokojnie się wypłakać! Zbyt długo musiała powściągać łzy. Will Clark tak bardzo jej teraz przypominał...

- O Boże! - Zatkąła i rzuciła się do ucieczki.

Biegła przed siebie, nie zważając na żołnierzy, którzy jeszcze nie spali, czekając na powrót Quince'a i O'Reilly'ego. Patrzyli zaniepokojeni na jej zalaną łzami twarz.

- Mariso, zaczekaj! - zawołał Deverell i pobiegł za nią.

Zniknęła mu z oczu za stodołą. Kiedy okrążył budynek, zobaczył, że wali z wściekłością pięściami w wóz z sianem.

- Przeklęta wojna! - krzyczała. - Przeklęta! Nienawidzę jej! - I osunęła się na ziemię, nadal rozpaczliwie łkając.

Deverell podtrzymał ją i chwycił w ramiona. Zaczęła się gwałtownie wyrywać i walić pięściami, gdzie popadło. Kiedy udało mu się przytrzymać ją za ręce, oparła mu głowę na piersi, nie przestając szlochać.

- Wszystko w porządku, kochanie - szepnął. - Płacz.

Deverell umilkł. Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie. Zastanawiał się, co ją mogło do tego doprowadzić.

Garrick mówił mu, jak wojna może wpływać na żołnierzy, że każdy człowiek ma jakiś punkt krytyczny i jeśli zostanie on przekroczony, wtedy następuje załamanie. To właśnie przydarzyło się Marisie. Ale dlaczego?

Czy powodem tego była walka, którą ostatnio stoczyli? Marisa była wyszkolonym żołnierzem, brała już udział w bitwach i nic takiego się nie działo. Co prawda, całymi tygodniami żyli w stanie wielkiego napięcia nerwowego, ale stoczyli tylko jedną potyczkę, w której Will został ranny.

Czyżby jego poważny stan wywołał u Marisy nerwowe załamanie? Deverell wątpił w to.

Wszyscy polubili tego młodego żołnierza. Clark był cichym nieśmiałym chłopcem i mogłoby się wydawać, że pole bitwy to nie jest miejsce dla niego, a był przecież bardzo odważnym żołnierzem. Uśmiechał się z wdzięcznością do Marisy, która nie tylko wiozła go na swoim koniu, ale stale się nim opiekowała, od czasu kiedy odniósł ranę. Nie można było jednak powiedzieć, żeby łączyły ich zażyłe stosunki. Co więc doprowadziło ją do takiego stanu?

Deverell miał się wkrótce tego dowiedzieć. Marisa uspokajała się powoli i po chwili usłyszał jej cichy szept.

- Wydawało mi się, że widzę twarz mojego brata. Wiem, że to nie ma sensu... ty tego nie wiesz... ale...

- Ale?

- Ale po wypadku na polowaniu Mark nie umarł od razu. Przyniesiono go do domu na noszach i... - Szloch ponownie ścisnął jej gardło. - Trzymałam go w ramionach przez dwie godziny... dopóki nie umarł.

O Boże! Nic o tym nie wiedział. Przez jakie piekło przeszła ta dziewczyna, a właściwie dziecko. Miała wtedy czternaście lat!

- Najgorsze było to, że byłam taka bezradna. To wciąż do mnie powraca, nawet w snach. Przecież byliśmy bliźniakami,

on był moją drugą połową i umierał w moich ramionach. A ja nic nie mogłam na to poradzić. Nic!

- I tak samo czułaś się przy Clarku? - spytał cichym głosem.

Deverella ogarnęła wściekłość, chociaż nie okazywał tego. Gdzie, u diabła, był wtedy jej ojciec?! Gdzie, do cholery, był Winther, kiedy ta czternastoletnia dziewczynka trzymała umierającego brata w ramionach?!

Marisa westchnęła ciężko i skinęła głową. Potem oparła głowę na jego piersi.

- Chyba tak. On jest taki młody i.... - Marisa zatkała i potrząsnęła głową. - Pewnie myślisz, że jestem niemądrą beksą. Przepraszam cię za...

Deverell położył jej palec na ustach i delikatnie ujął pod brodę, aby popatrzeć jej w oczy. Przez chwilę zabrakło mu tchu. Marisa, mimo bijącego z jej oczu smutku, nigdy jeszcze tak pięknie nie wyglądała. Jej ogromne oczy nabrały koloru księżycowej poświaty, a na rzęsach błyszczały łzy.

Musiał się opanować, aby w jego głosie nie zabrzmiały niestosowne nuty.

- Posłuchaj mnie, Mariso - powiedział, nie spuszczać z niej wzroku. - Nie masz się czego wstydzić. Przez całą noc i większą część dnia pielęgnowałaś Willa. Pomoc, której mu udzieliłaś, może zdecydować o tym, czy będzie żył. Powinnaś wierzyć, że ten chłopak wyzdrowieje. Bądź dobrej myśli.

Marisa patrzyła na Deverella, szukając u niego otuchy. Chciała pozbyć się desperackich myśli, które ją prześladowały przez całą noc. W przyćmionym świetle gwiazd jego oczy wydawały się bardziej szare niż niebieskie. Marisa stwierdziła, że jest to wzrok człowieka, który jest pewien swoich racji. Jego spojrzenie dawało jej pewność siebie i pociechę.

To nie był wzrok dawnego książątka, tylko przyszłego króla. Deverell, następca tronu Baravii, był prawdziwym księciem. Rupert byłby dumny, gdyby go mógł teraz widzieć!

Ten urodziwy mężczyzna miał silny charakter i niezwykłą siłę woli, a jednocześnie był wrażliwy i pełen współczucia. Mimo młodego wieku odznaczał się wyjątkowym rozsądkiem. Posiadał wszystkie cechy mądrego władcy. Jego poddani będą mogli zawsze na niego liczyć, jeśli będą w potrzebie.

Jak ona w tej chwili.

- Przypuszczam, że on wyzdrowieje - powiedziała wreszcie.

- Przypuszczasz? - Deverell uśmiechnął się. - Mariso, masz być dobrej myśli.

- Wierzę, że wyzdrowieje? - Marisa również zdobyła się na uśmiech.

- To już lepiej - pochwalił ją. - Ale to było pytanie, nie twierdzenie.

- Wierzę, że wyzdrowieje - powtórzyła.

Deverell pochylił się i pocałował ją w usta.

- Powtórz to.
- Wierzę, że Clark wyzdrowieje.
- Doskonale - jeszcze raz!
- On wyzdrowieje!
- Tak! - powiedział, przygarniając ją do siebie.

Marisa z uśmiechem wróciła na podwórze. Po godzinie, kiedy okazało się, że Clark nie ma już gorączki, Marisa obwieściła tę nowinę łamiącym się głosem. Odczuwała wielką radość, a jednocześnie miotają ją dziwne uczucia. Stale miała przed oczami uśmiechniętą twarz księcia i jego współczujący wzrok.

Pograżony w myślach Deverell rozglądał się po pokładzie rybackiego statku, którym płynęli przez Morze Śródziemne. Miał przed sobą poważne zadanie, jedno z wielu na długiej drodze do osiągnięcia korony. Za wszelką cenę musiał mu sprostać.

Sytuacja w Baravii była źródłem jego bezustannej troski. Czy jego rodzice żyją? Jak zdrowie króla? Nękały go wyrzuty sumienia. Usłuchał rady Wellingtona i pisząc do Garricka załączył list do ojca, ale Garrick nie otrzymał tego listu.

W liście do ojca opisał fortel księcia Hala i prosił, aby mu przebaczył, że musiał zwodzić również jego. Teraz, kiedy list nie dotarł do adresata, Rupert uważa go nadal za ślamazarne

książątko i dręczy się tą myślą, co na pewno odbija się na jego zdrowiu.

Deverell odsunął od siebie te myśli i ponownie zainteresował się tym, co działo się na pokładzie. Valdez, rybak, a obecnie partyzant, stał przy sterze. Od czasu do czasu zerkał z uśmiechem na swojego trzynastoletniego syna, Juana. Był to miły chłopak, który potrafił pracować równie ciężko jak reszta załogi, ale nadal trzymały się go dziecinne psoty.

Właśnie usiłował stanąć na rękach na chwiejnym pokładzie. Robił wszystko, aby zadziwić księcia i jego żołnierzy, którzy szalenie mu imponowali.

Deverell przeniósł wzrok na O'Reilly'ego, który z zapalem uczył się robienia węzłów. Był jeszcze blady po ataku morskiej choroby, ale widać było, że powoli dochodzi do siebie.

Garrick i Paul Edwards zajęci byli czyszczeniem i oliwieniem broni. Podczas morskiej przeprawy trzeba było codziennie zadbać o stan uzbrojenia. Poprzedniego dnia tę pracę wykonał Deverell razem z Marisą.

Marisa... Siedziała na pokładzie ze skrzyżowanymi nogami, w towarzystwie Caleba Jonesa i Toma Browna. Cała trójka zajęta była reperowaniem sieci. Ci dwaj żołnierze, od czasu kiedy opuścili Półwysep Iberyjski, zostawiając tam dochodzącego do zdrowia Willa Clarka, nie odstępowali jej na krok.

Zachowywali się jak wierni słudzy, tak bardzo byli jej wdzięczni, że swoim staraniem ocaliła życie ich przyjaciela.

Deverell przypuszczał, że wszyscy trzej młodzi żołnierze od początku się w niej podkochiwali. Trudno im się zresztą było dziwić. Marisa z dnia na dzień robiła się coraz bardziej zachwycająca. I zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przypomniawszy sobie piękne damy, które widywał na angielskim dworze - wyniosłe i próżne. Poza urodą nie posiadały innych zalet. Mężczyźni traktowali je jak trofea, które mogli zdobywać. Jedyłą ich wartością był wygląd zewnętrzny. Po pewnym czasie mężczyznę musiała ogarnąć śmiertelna nuda.

Nuda? I to on tak uważa? On, który wielokrotnie zadawał się z tymi kobietami? Który uważał, że kobieta powinna być piękna i nie za wiele myśleć? Któremu wcale nie zależało na innych zaletach, ponieważ kiedy jedna mu się znudziła, przechodził do następnej?

Ale to prawda, pomyślał. Bez względu na urodę, te kobiety okropnie go nudziły. Uświadomił to sobie dopiero teraz.

Co się z nim dzieje? Spojrzał na siedzącą na pokładzie smukłą postać. Marisa Lancet była uparta, irytująca i niemożliwa do wytrzymania. Miała jeszcze wiele innych wad, ale nigdy nie była nudna!

Marisa poderwała się nagle na nogi.

- Muszę nauczyć was pływać! - zawołała. - Kto chce spróbować?

Dwaj młodzi żołnierze patrzyli na nią niepewnym wzrokiem.

- Teraz, kapitanie?

Marisa już zrzucała z siebie bluzę i wyjmowała sztylet z pasa. Była bosa, wszyscy chodzili po pokładzie bez butów.

- Teraz są idealne warunki - zachęcała Jonesa.

Morze było spokojniejsze niż poprzedniego dnia, ale fale były nadal wysokie.

- A jeśli któryś z was wyleci za burtę? - spytała, patrząc na swoich niezbyt przekonanych towarzyszy. - Jeśli nie będziecie umieli pływać, to utoniecie.

- Ale kapitanie - odezwał się Brown. - Żaden z członków załogi nie umie pływać. Nawet Valdez!

Jones poparł go energicznym skinieniem głowy.

- To samo jest w waszej Marynarce Królewskiej, lecz nic tego nie usprawiedliwia. No dalej, chłopcy...

- Chwileczkę, kapitanie - wtrącił Deverell. Zbliżał się do Marisy ze zmarszczony mi brwiami, dając jednocześnie znak żołnierzom, aby pozostali na swoich miejscach. - Uważam, że należy to przemyśleć - powiedział stanowczym tonem.

- Przemyśleć? - oburzyła się Marisa. - Dlaczego?

Wziął ją za ramiona i obrócił w kierunku morza.

- Proszę spojrzeć.

Marisa gwałtownie złapała oddech. Zobaczyła olbrzymią, groźnie wyglądającą rybę, która przepływała obok statku.

- Warunki na lekcję pływania chyba nie są idealne, prawda? - spytał.

- Czy to... jest...

- Tak. To jest rekin. Valdez mówił, że tu żyje kilka gatunków rekinów. Ten płynie obok nas od rana...

Pokład przechylił się gwałtownie pod naporem ogromnej fali. Ledwie zdążyli uchwycić się relingu. Z ładowni dobiegło ich rzenie przerażonych koni. Broń, którą czyścili Quince i Edwards, zsunęła się na drugą stronę pokładu. Ludzie zaczęli krzyczeć.

- Juan! - rozległ się przerażający wrzask. Valdez patrzył na nadburcie, gdzie przed chwilą bawił się jego syn. – *Sangre de Cristo*. Juan!

- O Boże! - Marisa poderwała się z miejsca i pobiegła w jego kierunku. - On wypadł za...

- Zostań na miejscu! - zawołał Deverell.

Biegł, trzymając jej sztylet w ręku. Wskoczył na nadburcie, złapał sztylet w zęby i po chwili był już w wodzie.

Marisa zamarła z przerażenia. Wszyscy zgromadzili się teraz na rufie. Jedyne Valdez pozostał przy sterze.

Zamknęła oczy. Boże, uchron ich! - modliła się. Przemogła się i spojrzała na morze. Nie było widać rekina, ale to mogło oznaczać...

- Ma go! - krzyknął O'Reilly, a Marisie serce podskoczyło do gardła. - Książę ma chłopca!

- Szybko, linę! - zawołał Garrick.

Zobaczyła, jak Garrick owiązuje się liną w pasie, szybko robi węzeł, a drugi jej koniec rzuca do wody.

Znowu zamknęła oczy. O Boże, uratuj Deverella, powtarzała w myślach.

- Rekin! - krzyknął Garrick.

Marisa nie wiedziała nawet, w jaki sposób w jej ręce znalazł się nagle pistolet. Nie mogła sobie potem przypomnieć, że celowała i nacisnęła spust. Pamiętała tylko, że nad ludźmi uczepionymi liny zawisł ogromny cień, który wyskoczył nagle w górę i zniknął, a woda zaczerwieniła się od krwi.

Usłyszała radosne okrzyki i zrobiło jej się słabo. Ktoś ściągnął ją nadburcia.

- Spokojnie, dziewczyno - rozległ się głos Garricka.

Marisa otworzyła oczy. Deverell i Juan leżeli na pokładzie cali i zdrowi. Dzięki Ci, Boże!

- A rekin? - spytała, czując, jak łzy spływają jej po policzkach.

- Załatwiłaś go, dziewczyno. I ocaliłaś ich. Naszego chłopaka i małego Juana. Jesteś bohaterką, dziewczyno!

- Robiłam tylko to, co do mnie należy. - Marisa uśmiechnęła się do niego.

Garrick roześmiał się głośno, a jego uścisk omal nie połamiał jej żeber. Ale ona patrzyła tylko na swojego księcia, który podniósł się z pokładu i zasalutował, oddając jej honory wojskowe. Jego ciepły uśmiech docierał aż do jej serca.

Marisa zrozumiała wreszcie.

Jej serce nie należy już do niej, tylko do niego.

- **S**tój spokojnie, ty cuchnąca bestio!

Czoło Marisy zroszone było potem, kiedy energicznie przesuwała szczotką po skórze Achillesa. Od czasu, kiedy opuścili statek Valdeza, czyściła konia dwa razy dziennie. Minęły dwa tygodnie, a jego sierść nadal przesiąknięta była zapachem ryb. Niedługo dotrą do włoskich Alp. Może górskie powietrze usunie ten przykry zapach.

Lubiła to zajęcie. Szczególnie, kiedy zapadł wieczór. Była potem tak zmęczona, że natychmiast zasypiała. Męczyły ją, co prawda, koszmarne sny, ale z biegiem czasu zdążyła się do tego przyzwyczać.

Nie musiała leżeć z otwartymi oczami i myśleć stale o tym, że zakochała się w następcy tronu Baravii. Robiła wszystko, aby stłumić to uczucie. Były to jednak próżne starania. Kochała go całą namiętnością kobiety, która się w niej niedawno zbudziła. A przecież kobiecość nie była jej do niczego potrzebna!

Przy tych myślach jej ruchy stały się tak nerwowe, że Achilles wygiął szyję i spojrzał na nią zdziwiony.

- Przepraszam - powiedziała Marisa, klepiąc go po grzbiecie. - Nie dość, że zamknęłam cię w tej obrzydliwej, śmierdzącej ładowni, to jeszcze popadam w zamyślenie, zamiast cię porządnie wyczyścić.

Achilles wyjątkowo dobrze zniósł morską podróż. Jeden z koni złamał nogę i trzeba go było zastrzelić, a inne były tak zdenerwowane, że żołnierze uspokajali je całymi godzinami, głaszcząc i czule do nich przemawiając.

Gdybym ja mogła się uspokoić w tak łatwy sposób, pomyślała i zaraz oblała ją fala gorąca. Przypomniała sobie czułe, uspokajające słowa Deverella i jego ręce na swoim ciele. Twardniały jej piersi i czuła jakiś dziwny niepokój w dole brzucha. Zacisnęła mocno uda. Przysięgła sobie przecież, że już nigdy nie będzie o tym myśleć!

Łatwo było przysięgać, kiedy miało się jasny umysł i wolne serce.

Mimo ostrzeżeń Harriet i mimo własnego postanowienia, zrobiła rzecz niesłychaną - zakochała się w nim. Jej reakcja na bliskość księcia była tego najlepszym dowodem. Ona sama nie szukała zbliżenia, ale było ono nie do uniknięcia, kiedy podróżowali razem. A kiedy jej przypadkiem dotknął...

Marisa rzuciła szczotkę i oparła się o konia, nie mogąc pohamować ciężkiego westchnienia. Miałaś rację, Harriet, pomyślała. Dlaczego ja nie...

- Czy źle się czujesz, Mariso?

Obróciła się szybko. Deverell stał obok niej; wydawał się zatroskany.

- Nie - powiedziała, wypuszczając z ręki sztylet, który zaczęła już wyciągać z buta. - Książę mnie zaskoczył. Nie słyszałam kroków.

- Czy to ma być nagana? - roześmiał się. – Przypominam sobie, że kiedyś miałaś ochotę mnie udusić, bo idąc przez las robiłem zbyt wiele hałasu.

Marisa spojrzała na suche liście, którymi wysłana była leśna polana, gdzie schroniła się ze swoim koniem... i ze swoimi myślami. Średnio wyszkolony żołnierz nie potrafiłby bezgłośnie przejść po tej pokrywie liści. A on przyszedł tu z oddalonego obozu i potrafił zaskoczyć ją, nawet nie płosząc konia.

- Hm - mruknęła.

O zmroku jego niebieskie oczy miały granatowy odcień, a jego uśmiech rozjaśniał urodziwą twarz.

- Szczęśliwie się złożyło, że nie spełniłam swojej groźby - powiedziała, czując, jak krew coraz szybciej pulsuje jej w żyłach. - Jedno z nas na pewno zostałoby zaduszone, a wcale nie jestem pewna które.

- Ja też nie. Ale te czasy już minęły. Czy nie pochwalisz swojego dawnego książątka za to, że potrafi poruszać się bezszelestnie? - spytał, patrząc na nią zmrużonymi oczami.

- W tym lesie - powiedziała, starając się, aby jej głos miał naturalne brzmienie - książę zaskoczył tylko swojego

dawnego słuęę, który przestanie rosnać, jeśli to się będzie powtarzać.

- To ty jeszcze rośniesz?

Przysunął się do niej tak blisko, że czuła wyraźnie jego zapach - dobrze jej znany zapach siodła, dymu z ogniska i męskiego ciała.

- Chyba nie rośniesz, bo nadal jesteś o głowę niższa ode mnie - powiedział. - Poza tym, w tym wieku... Ile masz lat? Dwadzieścia... dwadzieścia jeden?

- Dwadzieścia - szepnęła.

Deverell odgarnął pasmo włosów, które spadło jej na twarz, kiedy czyściła Achillesa. Dobry Boże, pomyślała, ledwie mnie dotknął, a już płonę!

- To znaczy... - Marisa z trudem przełknęła ślinę. - Mam dwadzieścia lat jeszcze tylko dzisiaj. Jutro będę miała dwadzieścia jeden.

- Masz jutro urodziny? Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Ja...

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wziął ją za ramiona i z lekka potrząsnął, a wyraz jego oczu...

- Właśnie... właśnie powiedziałam.

- Ale gdybym nie spytał, nikt by o tym wiedział!

- To nie jest ważne. - Marisa wzruszyła ramionami.

- Nieważne! Nie bądź śmieszna. Większość ludzi obchodzi ten dzień. Nie chcesz mieć przyjęcia urodzinowego?

- Trudno mi powiedzieć. Jeszcze nigdy go nie miałam. -
Wzruszyła ponownie ramionami.

Zobaczyła, że oczy Deverella zwęziły się z wściekłości.

- Czy powiedziałam coś złego?

- Nie myśl o tym - odezwał się tonem, którego również nie potrafiła zrozumieć.

Ale po chwili znowu uśmiechał się do niej.

- Masz smugę sadzy na nosie, kapitanie.

- Dziś była moja kolej na rozpalanie ogniska.

Marisa podniosła rękę do twarzy, ale on odsunął jej dłoń.

- Ja to zrobię - powiedział, wyjmując z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę.

- Skąd się biorą takie luksusy? - Marisa była zdumiona.

- Musisz o to spytać Garricka. - Roześmiał się. – Teraz stój spokojnie.

Marisa i tak nie była w stanie się poruszyć. Jego bliskość paraliżowała ją. Zamknęła oczy, a serce waliło jej jak oszalałe.

- Zrobione - powiedział; jego głos miał dziwne brzmienie.

Marisa otworzyła oczy. Patrzył na nią tak jak wtedy na stryszku nad stajniami. Dobrze pamiętała to spojrzenie. Jej ciało obudziło się do życia, jęknęła z cicha.

- Mariso - szepnął. - Jesteś cudowna.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wydawało się jej, że ciemność nocy otula ich i odgradza od całego zewnętrznego świata, od wszystkich okropieństw wojny.

Poczuła jego wargi na swoich ustach. Wiedziała, jak bardzo jej pożąda, choć starał się hamować.

Jej pragnienie nie miało hamulców, kiedy czuła jego silne, muskularne ciało obok. A kiedy poczuła jego rękę na piersiach, ogarnął ją płomień pożądania.

Rozpiął jej koszulę i zaczął odwiązywać pasek materiału, którym krępowała piersi. Po chwili jego usta odnalazły naprężony sutek. Zachwiała się i oparła o coś dużego i ciepłego. Achilles!

Zaskoczony siwek rzucił się w bok, Deverell wyciągnął rękę, aby ją podtrzymać.

- Co, u diabła... - zaczął.

Przeszkodził mu atak kaszlu. Marisa jeszcze nie zdążyła ochłonąć. Dopiero po chwili wykrztusiła kilka słów.

- To zapach ryb - powiedziała, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

Deverell popatrzył z obrzydzeniem na cuchnącego konia, który znowu zaczął się spokojnie paść. Wreszcie sam wybuchnął śmiechem.

Rozbawieni, trzymając się za ręce, wracali do obozu. Żadne z nich nie nawiązywało do sytuacji, której położył kres śmierdzący rybami Achilles.

Wszyscy w obozie słyszeli ich wesoły śmiech. Garrick spytał o jego przyczynę.

- Cieszymy się na zapas - powiedział Deverell. – Jutro obchodzimy urodziny kapitana Lanceta! Wyprawimy wspaniałe przyjęcie!

Baravia, pałac

Rupert zdjął z szachownicy nefrytowego gońca. Hebanowa, inkrustowana alabastrem i złotem szachownica była prezentem od króla Anglii, Jerzego III. Rupert miał ją już od wielu lat, ale nigdy przedtem nie używał jej tak często jak teraz, kiedy został uwięziony w pałacu. Gdyby był zdrowy, zdusiłby ten spisek w zarodku. Malsaur nie miałby żadnych szans!

Teraz całymi dniami, a czasem i nocami, grywał w szachy. Trudno było zasnąć, wiedząc, że Bonaparte może zająć jego królestwo i ktoś inny zasiądzie na jego tronie!

Odłożył gońca i popatrzył na żonę, która siedziała zamyślona nad szachownicą.

- Twój ruch, moja droga - ponaglił ją. - Jeśli masz jeszcze jakiś ruch.

Sophia patrzyła niewidzącym wzrokiem na pięknie rzeźbione figury z nefrytu i kości słoniowej i nie odzywała się.

- Sophio? Słyszysz mnie?

- Mówiłeś coś? - spytała.

- Zamyśliłaś się głęboko. O czym myślałaś?

- O tym co zawsze. - Królowa westchnęła. - Stale martwię się o Deverella. Albo myślę o tym diable Malsaurze i przeklinam się za swoją głupotę!

- Nie myśl o tym, Sophio. On potrafił zwieść nie tylko ciebie. To przecież ja, a nie ty, wysłałem go na placówkę do Anglii. Lucien Borne jest zdradzieckim wężem, wilkiem w owczej skórze, który nas wszystkich oszukał. Który ośmielił się wykorzystać życzliwość najwspanialszej damy w tym królestwie. Nie oskarżaj się o nic!

- Tak, ale... - powiedziała Sophia ze łzami w oczach. – To właśnie Deverell...

- Wiem - westchnął Rupert. - Deverell najbardziej na tym ucierpiał. Jeśli można kogoś za to obwiniać, to tylko mnie!

- Ciebie?

- Gdybym ja pojechał do Anglii, może zauważyłbym, co się dzieje z naszym synem. Ale niczego już nie zmienimy.

- Co teraz zrobimy? - spytała królowa, ocierając łzy. - Będziemy siedzieć uwięzieni w tym pałacu i udawać, że wszystko jest w porządku, jak tamci?

Wzrok jej powędrował na drugi koniec słonecznej sali, gdzie lord Donner i lord Achten grali w karty z braćmi Quince i kapitanem Gwardii Konnej, Broyerem.

- Jak tamci biedni głupcy - dodała - którzy cierpią teraz za swoją lojalność?

Rupert zmarszczył brwi i mruknął pod nosem.

- Gdybyśmy tylko mogli być pewni ich lojalności.

Po tylu latach małżeństwa Sophia przyzwyczaiła się do tego, że Rupert często mruczał coś do siebie, i potrafiła go zrozumieć.

- Co?! - zawołała, sądząc, że tym razem się przesłyszała. - Rupercie, co chcesz przez to powiedzieć?

Król spojrzął na grających w karty, wstał z miejsca i podał żonie rękę.

- Chodźmy do naszej komnaty. Tam ci wszystko wytłumaczę. Jesteś nie tylko piękna, ale masz też dużo zdrowego rozsądku. Dwie głowy są lepsze niż jedna!

Król dał znak grającym, aby nie wstawali z miejsc. Od czasu zamachu stanu na jego maleńkim dworze przestało obowiązywać wiele wymogów etykiety. Dworzanie nie musieli wstawać, kiedy król opuszczał pomieszczenie.

Przez głowę przebiegały mu dziwne myśli:

Chyba się starzeję. A może to choroba tak mi się dała we znaki? Czuję jednak, że coś jest nie w porządku! Może jestem tylko starym głupcem, ale gdyby Sophia potwierdziła...

To nie do pomyślenia, żeby ci, którzy z nami zostali, mogli być również podejrzani. Bracia Quince bohatersko walczyli, dwóch z nich zostało rannych, kiedy bronili pałacu. Garrick Quince, jeśli mu się nie udało... na pewno zginął.

A inni? Donner? To niemożliwe! Donner należy do moich najstarszych przyjaciół. On i Achten narażali życie, kiedy

wybuchł bunt. Oni wszyscy są mi wierni. Z pewnością nie mogę podejrzewać Brojera. Gdyby nie on i gwardia, pałac byłby teraz w rękach buntowników. A ja i Sophia bylibyśmy ich więźniami, jeśli darowaliby nam życie!

Rupert postanowił porozmawiać o tym z królową. Teraz, w oblężonym pałacu, nie miał nic do roboty. Mógł się więc zająć demaskowaniem zdrajców.

Tymczasem odmówi modlitwę. Przecież zdarzają się cuda. Może wróci książę, który odzyskawszy wojskową sprawność w obozie Wellingtona, ruszy do kontrataku? Czy mogę mieć taką nadzieję? Westchnął. Czy są to tylko marzenia starego ojca?

Kiedy para królewska opuściła salę, podjęto grę w karty. Ale jeden z graczy udawał tylko, że koncentruje się na grze. Jego myśli podążały w zupełnie innym kierunku:

Co się dzieje z Malsauem? U diabła, dlaczego on się ze mną nie kontaktuje? Przechwyciłem list księcia już dawno temu! Jeśli on tak się maskuje, jak wynikało z tego listu, to możemy spodziewać się kłopotów. Nie wiadomo też, jakiej pomocy udzieli mu Wellington. A może ten przebiegły następca tronu wróci na czele całego pułku?

Wiem, że Malsaur chce, żebym zabił Ruperta. Podziwiam Napoleona, ale nie jestem zabojadą. Nie posunę się do królobójstwa. Jeśli Malsaur chce widzieć Ruperta na marach,

to niech mu sam wbije nóż. A potem niech się strzeże młodego księcia!

*Obóz Deverella w Szwajcarii,
niedaleko Fryburga*

Znowu! Deverell zrzucił z siebie koc, zerwał się na równe nogi i chwycił za rękojeść szabli. Obrzucił obóz szybkim spojrzeniem, czekając na ten przeraźliwy dźwięk, który go wyrwał ze snu. Nie czekał długo.

Rozległ się ni to krzyk, ni zawodzenie, tak przenikliwe, że włosy nieomal stanęły mu dęba. Co, u diabła...

Spojrzał na jakąś śpiącą postać, której postanie odległe było prawie o dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie sam ułożył się na spoczynek. Chyba stamtąd...

- To dziewczyna, wasza księżęca wysokość.

Na dźwięk tego głosu książe obrócił się szybko, trzymając szablę w pogotowiu.

- Do diabła, człowieku. Omal cię nie zaatakowałem!

- Jestem dzisiaj na warcie - odezwał się O'Reilly. - Myślałem, że książe mnie zauważył.

Przeraźliwy lament ponownie rozdarł powietrze, po czym nastąpiła cisza. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Powiedziałeś, że to dziewczyna. Skąd wiesz? Czy już kiedyś to słyszałeś?

- Tak. Ta dziewczyna czasem tak krzyczy w nocy. Musi mieć paskudne sny. Ale ta noc jest najgorsza. Myślałem, że księżę o tym wie.

Deverell przeciągnął ręką po twarzy i potrząsnął głową. Jak mógł o tym nie wiedzieć? Przecież spędził z Marisą tyle dni w podróży. O wiele więcej niż O'Reilly. Dlaczego nigdy przedtem jej nie słyszał?

- Ja mam wyjątkowo dobry słuch - tłumaczył sierżant, widząc, jak bardzo poruszony jest księżę. - Dlatego Wellsie zawsze wysyłał mnie na wszystkie patrole. A może księżę usłyszał ją dopiero tej nocy, bo... bo dzisiaj darła się o wiele głośniej.

- Czy... mówiłeś jej coś na ten temat?

- Tak. Raz - powiedział Irlandczyk, marszcząc brwi. - I omal mi za to nie obcięła głowy. Ten malutki kapitan jest bardzo dumny. Więc jeśli księżę chciałby... jakoś ją pocieszyć... to ona na pewno za to nie podziękuje.

Deverell nie odezwał się. O'Reilly popatrzył na śpiącą Marisę i potrząsnął smutnie głową.

- Biedna dziewczyna. Jakie piekło musi nosić w sobie.

Deverell skinął głową i odprawił go gestem. Kiedy sierżant oddalił się, przypomniały mu się jej słowa: Najgorsze było to, że byłam taka bezradna. To wciąż do mnie powraca, nawet w snach. Przecież byliśmy bliźniakami, on był moją

drugą połową i umierał w moich ramionach. A ja nic nie mogłam na to poradzić. Nie!

To powracało do niej w snach. Dlaczego miała to wszystko znosić w samotności? Przecież był jej księciem i przyjacielem.

Czy naprawdę chce być tylko jej przyjacielem? Niech szlag trafi tę cholerną wojnę! Teraz nie mogli być dla siebie nikim więcej niż przyjaciółmi.

Deverell położył się, ale nie mógł zasnąć. Kim była dla niego Marisa? Przyjacielem? Lojalną poddaną? Gwardzistą jego królewskiej mości? To nie było ważne. Ważne było to, że nie powinna samotnie zmagać się z tym koszmarem.

Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie słowa O'Reilly'ego. Nie podziękuje mu za to? Nie zależało mu na podziękowaniach. Teraz, mój miły giermku, pomyślał, musisz przygotować się na pewne zmiany. Już nie będziesz samotnie cierpieć po nocach!

18

Marisa uśmiechnęła się do Edwardsa i Browna, którzy siedzieli po przeciwnej stronie stołu, a oni odwzajemnili jej uśmiech. Tego wieczoru wszyscy byli w świetnych humorach. Po długiej, wyczerpującej podróży siedzieli teraz w austriackiej gospodzie. Pod Czarnym Koniem. Właściciel gospody był zaufanym człowiekiem. Jej adres Deverell dostał od Wellingtona. Marisa była szczęśliwa, że będą mogli spędzić noc w tej przyjaznej karczmie, ukrytej w głębokiej dolinie.

Będzie miała prawdziwy dach nad głową! I łóżko z prawdziwą pościelą! Wydawało się jej, że na szlaku spędzili już lata, a nie tygodnie. Na wysokich przełęczach alpejskich tak przemarzła, że nie miała już ochoty oglądać gór.

- Podają tu *Sauerbraten* - powiedział z zadowoleniem Garrick, siadając przy stole.

- To jakaś pogańska nazwa - stwierdził O'Reilly – ale zaryzykuję. Jestem tak głodny, że mogę zjeść wszystko, razem z półmiskiem.

- Jest dosyć jedzenia dla wszystkich - uspokoiła go Marisa.

O'Reilly obrzucił podejrzliwym spojrzeniem zawieszony nad ogniem kociołek.

- A czy to nie będzie konina albo inne heretyckie mięso?

- Nie musisz się niepokoić - roześmiała się Marisa. – Do tego dania używa się wołowiny. Ale ostatnim razem, kiedy byłam w tych okolicach, kucharz podał dziczyznę.

- Ale kiedy to było, dziewczyno? - Irlandczyk nie był przekonany. - Teraz, kiedy wszędzie jest wojna, nie możemy być pewni, co za stworzenia ci Hunowie kładą do garnka!

- Te stworzenia mają poroże, to będzie mięso jelenia - wtrącił Deverell, siadając na końcu długiego stołu. – Byłem właśnie u Frau Kreitler w kuchni i mogę za to ręczyć. Kuchnia łśni czystością. Widziałem też, jak robiła kluski kartoflane.

- Kartoflane? - ożywił się O'Reilly.

Oderwał wzrok od dekoltu blond kelnerki z wydatnym biustem, która stawiała na stole tacę z kuflami piwa.

- I piwo! Może są Hunami, ale to są przynajmniej cywilizowani Hunowie!

- *Huns* - parsknęła blondynka. - *Vat iss Huns?*

O'Reilly speszył się z lekka. Nie spodziewał się, że kelnerka zna angielski.

- To tylko taka nazwa na... cudzoziemców. Tak się mówi w mojej ojczyźnie. To nic złego, kochanie...

Blondynka stała ze zmarszczonymi brwiami i nachmurzoną twarzą.

- Niech się pani nie gniewa, Fraulein Heidi - odezwał się Deverell. - Sierżant chciał właśnie panią przeprosić, prawda O'Reilly?

Widząc surowy wzrok księcia, O'Reilly zerwał się od stołu.

- Ach, kochanie, przykro mi, że obraziłem taką ślicznotkę. Czy mi przebaczysz?

Fraulein Heidi jest wyjątkowa ładna, pomyślała Marisa, obrzucając ją uważnym spojrzeniem. Czarny gorsecik podkreślał jej szczupłą talię, a dekolt odsłaniał obfite piersi - Heidi nie ukrywała swoich wdzięków. Uroku dodawały jej również grube warkocze, ułożone w koronę na głowie. Miała piękne niebieskie oczy, okolone długimi rzęsami, którymi trzepotała zalotnie w kierunku Deverella.

Marisa przypomniała sobie służącą w gospodzie, która tak skutecznie przyciągnęła uwagę Deverella, i rzuciła okiem w jego stronę. Wszyscy mężczyźni patrzyli na schyloną przed kominkiem Heidi, ale wzrok Deverella skierowany był na kufel piwa, który podnosił ze stołu.

Poczuł na sobie spojrzenie Marisy, odwrócił głowę w jej kierunku, podniósł kufel do góry i uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła jego uśmiech. Odczuła wielką ulgę. Więc to tak. Jest zakochaną kobietą, która wcale nie chce być zakochana. Książę nie odwzajemniał jej miłości, poza tym to uczucie ją przerażało. Nie poznawała sama siebie – popadała w dziwne nastroje, od euforii do depresji.

A to było groźne. Czekają ich jeszcze wiele niebezpieczeństw. „Obowiązkiem żołnierza jest słuchanie

rozkazów, a jednocześnie musi być bardzo skupiony, córko. Chwila nieuwagi i wielu ludzi może stracić życie" - to były słowa jej ojca, wypowiedziane w dniu, kiedy została przyjęta do gwardii i przyszła do niego po radę.

Stosowała się do tej rady. Podchodziła do swoich obowiązków poważnie, nic nie rozpraszało jej uwagi...

Aż dotąd. Popatrzyła znowu na Deverella. Śmiał się z jakiegoś żartu Caleba Jonesa. W karczmie było teraz bardzo głośno. Dym unosił się aż do belek sufitu.

Od innego stołu, gdzie siedziała grupa oficerów w pruskich mundurach, rozlegały się głośne śpiewy. Uderzali kufkami o stół, głośno domagając się następnej kolejki. Któryś z nich chciał złapać Heidi za spódnicę. Wywinęła mu się zręcznie, co zostało skwitowane głośnym śmiechem biesiadników.

Marisa miała już tego dosyć. Zobaczyła właściciela gospody, który stał przy prowadzących na górę schodach, i szybko wstała od stołu. Szepnęła Garrickowi do ucha, że boli ją głowa, i podeszła do Herr Kreitlera. Jej prośba o podanie kolacji do pokoju i kąpiel została przyjęta i Herr Kreitler natychmiast udał się do kuchni.

Nie zauważyła, że Deverell odprowadza ją wzrokiem z wyrazem troski na twarzy.

Marisa wręczyła pokojówce monetę i podziękowała za

przygotowanie kąpieli. Dziewczyna wyszła, wynosząc tacę.

Marisa właśnie skończyła kolację. Sauerbraten było pyszne, czekała teraz na kawę mit Schlag, którą miała dostać za chwilę. Najważniejsza była jednak kąpiel. Pierwsza prawdziwa kąpiel po miesiącu!

Po chwili zanurzyła się po szyję w pachnącej różami wodzie. Za perfumowaną kąpiel trzeba było dodatkowo zapłacić, a Marisa nie miała już wiele pieniędzy. Nie mogła jednak odmówić sobie tej przyjemności. Była zachwycona, że w tej gospodzie mają prawdziwą miedzianą wannę, a nie tę nowoczesną, płytką wanienkę, jakich używano w Baravii.

Oczywiście, pomyślała, w Baravii naśladowano zawsze Londyn. Królowa Sophia powiedziała kiedyś, że mieszkańcy Baravii są bardziej angielscy niż sami Anglicy.

Na wspomnienie królowej Marisa zasepiła się. Ta biedna kobieta na pewno szaleje ze zmartwienia. Najpierw spadła na nią choroba króla. Potem jej ukochany syn został wysłany na Półwysep Iberyjski. A teraz była obleżona we własnym pałacu.

Jeśli nadal są obleżeni, a nie...

Postanowiła o tym nie myśleć. Sięgnęła po mydło. Musi się nacieszyć swoją kąpielą.

Z karczmy dochodziły przytłumione odgłosy, ale nie zwracała na nie uwagi. Namydliła się, umyła włosy i ponownie zanurzyła się w pachnącej wodzie. W pokoju paliła

się tylko jedna lampa, rzucając na wannę przyćmione światło. Westchnęła z satysfakcją. Dobrze jest kąpać się w strumieniach i rzekach, ale najlepsza jest prawdziwa kąpiel.

Polewała sobie właśnie włosy wodą z dzbanka, kiedy usłyszała stukanie do drzwi. Kawa mit Schlag, pomyślała. Świetnie, woda już robi się chłodna, więc miło będzie wypić coś gorącego. Zawołała, że można wejść.

- Postaw kawę koło dzbanka - powiedziała po niemiecku.

Miała jeszcze mydło w oczach, więc zaczęła po omacku szukać ręcznika.

- Proszę mi podać ręcznik, Frdulein...

- A ja myślałem, że jesteś chora!

Krzyknęła przerażona. Deverell. Bezwiednie wzięła do ręki podany jej ręcznik, nie wiedząc, co ma z nim zrobić.

- Cicho - zgromił ją.

Wytarła oczy brzegiem ręcznika i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Zanim się zorientowała, wyciągnął ją z wanny i postawił na podłodze. Jak śmiał!

- Nie ruszaj się! - powiedział, kiedy zamierzyła się na niego. Roześmiał się cicho i zarzucił na nią ręcznik, zakrywając również głowę.

Spod ręcznika dochodziły go stłumione przekleństwa, więc ponownie polecił jej, aby była cicho.

- Gdyby nie ja, zaziębiłabyś się na śmierć.

- Kto cię tu prosił?

Zaczął ją wycierać, nie bacząc na protesty.

- Poza tym, dowiedziałem się, że jesteś chora.

- Powiedziałam tylko, że boli mnie głowa, a to nie oznacza choroby.

- Jeśli nie będziesz uważać, to wkrótce zachorujesz. Ta woda jest już lodowata. A kto, do diabła, zostawił otwarte okno? - spytał, zdejmując jej ręcznik z głowy.

Marisa była nadal szczelnie zawinięta w ręcznik, nie mogła ruszać rękami, rzuciła mu więc tylko mordercze spojrzenie.

- Noc jest ciepła!

Nie przypominała sobie, żeby okno było otwarte. Pewnie otworzyła je pokojówka.

- Lubię świeże powietrze!

- Cicho. Czasem wydaje mi się, że jesteś zupełnie pozbawiona rozumu.

- Będę ci wdzięczna, jeśli zaraz stąd wyjdiesz! Jakim prawem...

Spojrzała na niego. Jego oczy miały teraz zupełnie inny wyraz. Czy to była czułość? Natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl. To na pewno światło lampy rzucało takie błyski.

- O co chodzi?- szepnęła.

- O nic.

Jego głos miał teraz ciepłe brzmienie. Nie odrywał oczu od jej twarzy. Patrzył, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Przecież dobrze wiedział, jak ona wygląda.

- Na co... na co patrzysz? - wyjąkała z trudnością.

- Na ciebie.

- I?

Uśmiechnął się. Jego oczy miały rzeczywiście czuły wyraz.

- Przedtem nie zauważyłem tego, Mariso. Ty masz piegi.

- Pieg!

- Nie złość się. Są śliczne. I ten twój przedni ząb, trochę...

- Zostaw w spokoju mój krzywy ząb! - krzyknęła.

- Uważam, że jest czarujący - powiedział, zakładając jej pasmo włosów za ucho. - Poza tym wcale nie jest bardzo krzywy. Tylko tyle, aby przyciągnąć uwagę do twoich ust. - Przesunął palcem po jej dolnej wardze, a jej zabrakło nagle tchu. - Twoje usta są... cudowne. Stworzone do pocałunków.

Jego ciepłe wargi badały kształt jej ust, a ręce obejmowały głowę. Czula, jak ręcznik powoli zsuwa się na podłogę. Stała na palcach i objęła go za szyję. Chciała być jak najbliżej niego.

Może potem będzie tego żałować, ale teraz to nie było ważne. Teraz ważny był tylko dotyk jego warg, bliskość jego ciała... i wspomnienie czułego spojrzenia.

Ręcznik zsunął się już na biodra, ale nawet tego nie zauważyła. Świat przestał dla niej istnieć - liczył się tylko dotyk jego gorących dłoni, które pieściły jej piersi. Zalewające ją fale rozkoszy docierały do samego sedna jej kobiecości.

- Próbowałem - szepnął, przesuwając ustami po jej szyi - lecz nie mogę się pohamować. Nie mogę przestać o tobie myśleć. Ale jeśli chcesz, żebym odszedł, to powiedz mi to, teraz jeszcze będę mógł się na to zdobyć.

Nagle wypuścił ją z objęć. To było okropne uczucie.

- Dev? - szepnęła.

- Marisa...

Oderwał wzrok od jej naprężonych pożądaniami piersi i popatrzył jej w twarz.

- Kochanie, ja...

Rozległ się dźwięk wystrzału. Kula z pistoletu strąciła lampę, która wpadła do wanny. Zapanowała ciemność.

- Dev! - krzyknęła Marisa.

Rzucił ją na podłogę i przykrył własnym ciałem. Teraz strzały rozlegały się z dołu.

- Czy nie jesteś ranna? - szepnął.

Potrząsnęła tylko głową. Napastnik mógł być jeszcze w pokoju. Jaka byłam głupia, pomyślała. To nie pokojówka otworzyła okno!

- Nie ruszaj się - polecił.

Teraz strzelano już na zewnątrz. Deverell bezszelestnie podniósł się z podłogi.

Gdybym tylko mogła dosięgnąć broni, przebiegło jej przez głowę. Ona leży przy...

Rozległ się przeraźliwy krzyk, potem charczenie i odgłos padającego ciała.

- Dev!

- Nic się nie stało, mam tego sukinsyna! On jest...

Ktoś zaczął walić do drzwi.

- Dev, jesteś tam?! - krzyczał Garrick. - Na miłość boską, chłopcze...

Drzwi ustąpiły pod naporem z zewnątrz i do pokoju wpadło światło z korytarza. Garrick wbiegł do środka, potykając się o leżące na podłodze nieruchome ciało.

- Dev?

- Jestem tu.

Zanim podszedł do Garricka, zdjął kurtkę i podał ją Marisie, która była kompletnie naga.

Szybko się ubrała. Ludzie zbierali się już w korytarzu.

- Co się stało? - spytał Garrick.

Jego bystry wzrok nie ominął Marisy, chociaż stała w cieniu.

- Nasłani mordercy - odpowiedział mu Deverell.

Pochylił się, wyciągnął swój nóż z ciała martwego mężczyzny i wytarł go chusteczką. Potem trącił zabitego nogą.

- Poznajesz go?

- To jeden z popleczników Malsaura - powiedział Garrick.
- Złapałem go kiedyś myszkującego po pałacowych stajniach. Powiedział, że jest nowym chłopcem stajennym Malsaura. Wypędziłem go stamtąd, mówiąc, że bez pozwolenia króla nikomu nie wolno zbliżać się do stajni.

- A te strzały na zewnątrz? - spytał Deverell.

- Miał ze sobą przyjaciół. - Garrick westchnął ciężko. - Przy pomocy chłopców szybko się z nimi załatwiliśmy, ale... Mam dla ciebie dobrą i złą nowinę. Przyszła wiadomość, że dwudziestego drugiego lipca wojska Wellingtona rozgromiły Francuzów pod Salamanką. To była ta akcja, którą planował Wellie przed naszym wyjazdem.

- To rzeczywiście dobra wiadomość.

Deverell nie odrywał wzroku od posępnej twarzy Garricka.

- A zła wiadomość?

- Młody Jones dostał kulę w brzuch. Nie żyje.

Pochowali go o świcie. Herr Keitler, którego brat był pastorem w miejscowym kościele, pomógł księciu załatwić grób. Padał drobny deszcz, kiedy nad mogiłą pastor czytał po niemiecku wersety z Biblii. Potem była krótka mowa po angielsku, którą wygłosił O'Reilly, i opuszczono trumnę do grobu.

Mżawka przekształciła się w ulewę, kiedy sześciu pozostałych członków wyprawy wsiadło na konie i skierowało się w stronę gór Baravii. Wszyscy byli poważni i nie rozmawiali ze sobą. Jechali w milczeniu, pod strugami deszczu, aż do wieczora.

A w nocy Marisa miała sen...

19

Szła długim, ciemnym tunelem. Trwało to tak długo, że czuła się bardzo zmęczona. Ale szła dalej. Musiała dojść do końca. Mijały godziny, mięśnie bolały ją coraz bardziej. Parła jednak wytrwale do przodu. Wiedziała, że nie może się zatrzymać.

Wreszcie zobaczyła wirującą szarą mgłę, która skręcała się jakby z bólu. Te smugi zasłaniały jej pole widzenia. Wydawało jej się, że widzi koniec tunelu, ale nie była tego pewna. Musi tam dotrzeć, póki nie będzie za późno! Zaczęła biec.

Biegła niezmordowanie, chociaż odczuwała potworny ból w boku. Otaczały ją wirujące smugi mgły, jak duchy zmarłych. Nie zatrzymywała się i nie zwalniała tempa. Przed sobą widziała słabe światełko - coś tam było...

Wybiegła z tunelu, z trudem chwytając powietrze, i rozejrzała się dokoła.

Stała nad brzegiem morza. Było ciemno. Fale uderzały o brzeg, morze było wzburzone, ale panowała kompletna cisza. Podeszła bliżej. Przy brzegu majaczyły jakieś kształty, a przyływ wyrzucał ich coraz więcej...

Krzyknęła przeraźliwie. Plaża usłana była krwawiącymi ciałami mężczyzn. A w wodze krążyły ogromne rekiny. Było ich tak dużo!

Zmusiła się, aby popatrzeć z bliska. Może któryś mężczyzna jeszcze żył i potrzebował pomocy? Nachyliła się nad najbliższym ciałem i z jej gardła wydarł się okrzyk przerażenia. Martwymi oczami patrzył na nią Caleb Jones. Z łkaniem przeszła do następnego ciała i jeszcze następnego...

Znała ich wszystkich. Leżał tam Will Clark, Garrick Quince i jego bracia... Tom Brown... Paul Edward... nawet młody Juan z rybackiego statku... i Terence O'Reilly... wszyscy martwi.

Szlochała głośno, ale nie mogła się zatrzymać. Na pewno ktoś ocalał! Szła dalej, patrząc martwym mężczyznom w oczy. Był tam król Rupert i ludzie z jej ukochanej gwardii... jakieś ciało bez twarzy, poznała tylko mundur swojego ojca. Nie mogła już tego znieść, ale nie zaprzestawała poszukiwań. Wreszcie zostały tylko dwa ciała.

Jedno z nich dawało jeszcze oznaki życia. Schyliła się nad nim. Trzymała w ramionach swojego brata, a z jego rozlicznych ran krew spływała na piasek. Mark poruszył ręką i wskazał na leżące obok ciało. W jego oczach wyczytała prośbę, aby tam podeszła.

Wiedziała, że to, co zobaczy, będzie zbyt okrutne, aby mogła to znieść. Usłuchała jednak prośby umierającego bliźniaka. Ledwie powłócząc nogami, podeszła do tego ostatniego mężczyzny, który leżał z twarzą w piasku. Nie mogąc pohamować łkań, obróciła go...

I nie mogła przestać krzyczeć.

- **M**arisa, nie, proszę cię!

Deverell oplótł ramionami drżące ciało Marisy. Krzyczała o wiele bardziej przenikliwie niż ostatnim razem. Nie wiedział, czy dobrze robi, że ją budzi. Może to pogorszy jej stan?

- Zbudź się, najdroższa - szeptał, wtulając twarz w jej włosy.

Potem przypominał sobie, w jak niewymuszony sposób te czułe słowa znalazły się na jego wargach. Tymczasem myślał tylko o tym, jak pomóc Marisie w jej cierpieniu.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - uspokajał ją. - Obiecuję ci, że będzie dobrze.

Krzyknęła jeszcze raz, zatkała i ucichła. Przyciągnął ją bliżej do siebie - drżała bez przerwy. Nie obudziła się jeszcze.

- Mariso...?

Deszcz dawno już przestał padać, niebo było rozgwieżdżone. Zobaczył, że twarz Marisy zalana jest łzami. Delikatnie ocierał łzy z jej policzków, wygładzał mokre pasma włosów.

- To ja, Dev. Słyszysz mnie, kochanie?

Marisa westchnęła i otworzyła oczy. Patrzyła ze zdziwieniem, jakby nie mogła go poznać.

- To ja, Dev - powtórzył, uśmiechając się do niej.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała, marszcząc brwi. - Tylko że... - Potrząsnęła głową, aby pozbyć się resztek koszmaru. - Nie spodziewałam się zobaczyć ciebie.

Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy usłyszał jej poirytowany głos. Przypomnił sobie słowa O'Reilly'ego: *ona księciu za to nie podziękuje.*

- Miałaś koszmarne sen, Mariso, i przyszedłem, aby...

- Mi pomóc, jak przypuszczam - powiedziała drwiącym tonem. - Zawiadamiam waszą wysokość, że dawniej też miewałam koszmarne sny, a jednak jakimś cudem przerwałam. I jestem pewna, że uda mi się również to w przyszłości. Bez niczyjej pomocy, nawet bez pomocy księcia.

- Wierzę ci - przyznał, trzymając ją nadal w ramionach, mimo że usiłowała mu się wyrwać. - Ale można przetrwać w różny sposób, Mariso. Czy sądzisz, że uda ci się zwalczyć te okropne koszmary, kiedy za każdym razem coraz głośniejsz krzyczysz?

- Głośniejsz... za każdym razem? Szpiegowałeś mnie! - zawołała, starając się uwolnić z jego uścisku.

- To nieprawda. Przecież twoje wrzaski mogą obudzić umarłego!

Zadrzała i odwróciła głowę.

- Co się stało? - spytał, biorąc ją pod brodę. - Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha!

- Gdybyś wiedział... - Zatkąła i ukryła twarz na jego ramieniu.

Trzymał ją przy sobie, ogrzewając swoim ciałem, chociaż noc była ciepła. Marisa uspokajała się powoli, a on o nic nie pytał. Co prawda, nie znalazła dla niego dobrego słowa, ale nie miał zamiaru jej opuścić.

Tłumaczył sobie, że nie wolno odmówić pomocy komuś, kogo prześladowają takie koszmary. Zdał sobie jednocześnie sprawę, że zależy mu na tej kobiecie o wiele bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić. I dlatego był teraz przy niej.

- Byłeś martwy, jak oni wszyscy.

Te niespodziewane słowa spowodowały zamęt w jego myślach.

- Martwy... jak wszyscy? - powtórzył.

Zacząła opowiadać mu swoje sny, ze wszystkimi szczegółami. Mówiła beznamiętnym tonem, jakby w ten sposób broniła się przed swoim strachem.

Zacząła od pierwszego koszmaru. Kiedy miała czternaście lat, przyśnił jej się ten sam tunel, który przeraził ją dzisiejszej nocy. Ale w tamtych snach zawsze wychodziła z niego do lasu. Ponurego, ciemnego lasu. Zawsze dochodziła do polany, lecz nigdy nie mogła uchronić brata przed atakiem dzika. Ten sen powtarzał się, chociaż zmieniały się szczegóły.

Potem zaczęła mówić o swoim ostatnim śnie, który był zupełnie inny od poprzednich.

- Nigdy przedtem nie wychodziłam na ciemny brzeg morza. Wiedziałam jednak, że mój sen będzie miał podobne zakończenie. Mark znowu tam będzie i znowu nie zdołam go uratować. Ale leżące tam ciała były zupełnie nowym elementem i... i....

- Opowiedz mi o tym - powiedział, gładząc jej włosy. - Rozumiem, że ja też znajdowałem się między leżącymi na brzegu ciałami. Ale to nie oznacza wcale...

- Nie rozumiesz. Twoje ciało... było ostatnie, to które wskazał mi Mark...

- Mów dalej - powiedział cichym głosem.

- Kiedy cię obróciłam, twoja twarz... - Marisa z trudem przełknęła ślinę - zamieniła się w moich oczach w trupią czaszkę. Z oczodołów wypełzały robaki!

Rozpłakała się, a on kołysał ją w ramionach.

- Zgadzam się, że to był koszmarny obraz. Ale tak jest przeważnie w koszmarach nocnych, kochanie. Dlatego nazywają się koszmarami. A przede wszystkim najbardziej przerażające jest to, że musisz się mierzyć z nimi sama. Nikt nie może śnić razem z tobą. Jesteś bardzo osamotniona, Mariso. Sama i osamotniona - powtórzył. - To jest potworne, że jesteś samotna ze swoim strachem.

- Strachem? Jakim strachem? - zaprotestowała.

Deverell powściągnął uśmiech. Ten buńczuczny giermek nigdy nie przyzna się do bojaźni, nawet w sytuacjach, które by powaliły mężczyznę!

- Przypuszczam - powiedział - że w koszmarach sennych nasz umysł stara się zmierzyć z lękiem, z którym nie potrafimy dać sobie rady, może dlatego, że trudno sobie z nim poradzić w racjonalny sposób.

- Mów dalej - szepnęła.

- Mariso, pomyśl tylko. W tym stale powracającym śnie o Marku twój umysł czyni pewnie starania, aby poradzić sobie z tragedią, jaką była dla ciebie jego śmierć. Rozum nie może sobie z tym poradzić. Twój dzisiejszy sen - ciągnął Deverell - wydaje mi się łatwy do wytłumaczenia. Ostatnie wydarzenia, śmierć Jonesa, spowodowały, że zetknęłaś się ze śmiercią tak blisko jak nigdy przedtem. Wojna z Napoleonem trwa już bardzo długo, ale do tej pory nie dotknęła nas tak bezpośrednio. Ani ty, ani ja nie zetknęliśmy się przedtem tak blisko z tym, co ona ze sobą niesie.

- Ale twoich krzyków nie słyszeć w nocy – powiedziała z powątpiewaniem.

- Może i nie. Ale gdybym był tobą, to nie chciałbym zamienić swoich sennych koszmarów na zjawy, które mnie dręczą za dnia.

- Och, Dev! - Marisa natychmiast przeszła do roli pocieszycielki. - Jak mogłam o tym nie pomyśleć? To przede

wszystkim twoje barki przygniata ciężar tej wojny! Narzucono ci przywództwo, kiedy najmniej się tego spodziewałeś. A przywódca dźwiga ciężar odpowiedzialności za innych. Sama dobrze o tym wiem. Ponadto...

- Mariso, nie musisz... - zaczął.

- Jak mogłam zapomnieć o zamachu na twoje życie? Że martwisz się o los swoich rodziców? Jest oczywiste, że ta wojna bardzo bezpośrednio cię dotyka! Kiedy pomyślę... Dlaczego się uśmiechasz?

Do ciebie, chciał powiedzieć, ale widząc, jak marszczy brwi, szybko zrezygnował z tego zamiaru.

- Coś innego przyszło mi na myśl, kiedy wygłaszałaś swoją mowę pochwalną. Czy nigdy nie zastanawiasz się nad tym, jak bardzo zmienił się nasz wzajemny stosunek? Czy pamiętasz czasy, kiedy byłaś mi przydzielona jako ochrona? Wtedy nigdy mnie nie chwaliłaś.

- Wtedy miałam ochotę cię udusić. - Marisa roześmiała się.

Śmieli się teraz oboje. Tyle mieli wspólnych wspomnień! Popatrzyli sobie w oczy i uprzytomnili sobie nagle, że dzielą także inne emocje.

Siedzieli w milczeniu. Wreszcie odezwał się Deverell.

- Bardzo wiele na łączy, Mariso.

- Tak - szepnęła.

Deverell trzymał ją w ramionach i patrzył na nią tak jak poprzedniego wieczoru, zanim rozległy się strzały. Tak, jak patrzył na nią w snach, o których mu nie opowiedziała. Tak, jak jeszcze nie patrzył na nią żaden mężczyzna. Tak, jak tylko on mógł na nią patrzeć.

- Mariso...

Jego usta dotknęły jej warg z czułością, która wprawiała ją w podziw. Pod tą tkliwą pieśzczotą uleciała pamięć koszmarów sennych. To był De v, żywy, a ona go kochała! Cokolwiek może się zdarzyć, ta chwila należała do nich.

Jego usta początkowo muskały delikatnie jej wargi, jakby chciał dokładnie poznać ich kształt. Zanurzył ręce w jej włosach. Z każdą chwilą jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne.

Krew pulsowała jej w skroniach. Każdy dotyk przejmował ją drzeniem. Teraz dotykał wargami jej włosów, skroni, oczu i wrażliwej skóry poniżej ucha. Marisa jęczała cicho, kiedy zawładnęły nią fale rozkoszy i zaczęła odczuwać dziwny ucisk między nogami.

Po tych powolnych, zmysłowych pocałunkach, kiedy jego usta znalazły się ponownie na jej wargach, Marisa przyciągnęła go bliżej do siebie. Rozchyliła wargi, kiedy jego język zaczął szukać wnętrza jej ust. Nie mogła powstrzymać westchnienia, kiedy spotkały się ich języki.

Marisa oddawała mu pocałunki z pełnym zapamiętaniem, ale Deverell nie chciał iść wyłącznie za głosem własnego pożądania. W uszach dźwięczały mu jeszcze jej krzyki przerażenia. Wiedział, że będzie potrzebowała więcej czasu, aby się całkowicie uspokoić.

Ale reakcje Marisy mówiły mu, jak bardzo jest roznamiętniona. Poruszała niespokojnie biodrami, pragnąc czegoś więcej. Deverell dotknął jej piersi i poczuł, jak jej sutki naprężają się pod cienkim materiałem koszuli. Tym razem jej piersi nie były ściśnięte bandażem.

Ciało Marisy instynktownie wygięło się pod jego dotykiem. Kiedy musnął palcami jej brodawki, gwałtownie złapała oddech. A kiedy jego pacy zacisnęły się na nich, usłyszał okrzyk rozkoszy.

Pieścił jej piersi przez koszulę, a ona jęczała z cicha. Pochylił się nad nią, szukając językiem wnętrza jej ust.

Deverell rozpiął jej koszulę, a kiedy jego dłoń dotknęła stwardniałych brodawek jej piersi, z trudem zdołał się opanować. Dotknął wargami nabrzmiałej brodawki. Marisa wzdychała cicho, kiedy jego usta zaciskały się na niej, delikatnie pieściły, drażniły.

Czuł swoją nabrzmiąłą męskość, ale opanował się całą siłą woli. Chciał skoncentrować się na sprawieniu przyjemności Marisie, ale ona po chwili zaczęła nieświadomie się o niego ocierać.

Kiedy jego ręka znalazła się między jej nogami, Marisa nagle zeszywniała.

Natychmiast cofnął rękę, przeklinając w duchu swoją niecierpliwość. Ale tak trudno było się powstrzymać. Poczuł wilgoć w miejscu, w którym znalazła się jego ręka!

Zdumiał się, kiedy Marisa chwyciła go za rękę.

- Nie przerywaj! - zawołała i przyciągnęła ją w to samo miejsce.

Była rozgorączkowana, pragnęła jego dotyku i jego czułych słów.

- Proszę cię, nie przerywaj - powtórzyła.

Przykryła jego dłoń swoją dłonią, aby zatrzymać ją tam, w samej kwintesencji swojej kobiecości.

Zawahał się. Co ja takiego zrobiłam? - pomyślała. Pewnie myśli, że jestem zbyt śmiała, zbyt rozwiązła. Chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. On zachowywał się tak spokojnie...

Nie przerywaj! Od tych słów zakręciło mu się w głowie. Tak rozkosznie i bezpośrednio dawały wyraz jej namiętności.

- Dobry Boże, Mariso, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaka jesteś wspaniała - szepnął. - Jak cudowna jest twoja niewinność i prostota! - dodał.

- Prostota? - wyjąkała Marisa.

Nie bardzo rozumiała, co do niej mówił. Jego palec odnalazł wrażliwe miejsce na jej łonie, przesuwał się po nim,

naciskając delikatnie. Nie знаła jeszcze uczucia takiej rozkoszy.

- Dev! - zawołała.

- Tak, moja najdroższa. Fałsz i przebiegłość są ci obce - mówił dalej, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś jak rzadki klejnot? Niczego nie udajesz, wyrażasz tylko to, co czujesz.

Uśmiechnął się do niej, kiedy pod pieszczotą jego dłoni znowu wymówiła jego imię. Patrzyła na niego pięknymi, szeroko otwartymi oczami, których blask przyćmiony był namiętnością.

Wyszeptał jej imię i ucałował oczy. Jego pulsująca męskość nie poddawała się już kontroli. A przecież przedtem zawsze potrafił się opanować. Tyle już przelotnych związków miał za sobą, ale teraz był z Marisą... swoją Marisą, która rozpalala w nim krew!

Nie namyślając się dłużej, zaczął szybko ściągać jej spodnie i buty. Leżała teraz przed nim naga, jej rozpięta koszula nie zakrywała piersi. Pragnął jak najszybciej zagłębić się w jej szczupłym, sprężystym ciele, ale decyzja należała do niej.

- Powiedz, najdroższa, czy na pewno chcesz tego? – spytał zdławionym głosem.

Wstrząsały nim dreszcze pożądania, ale zacisnął zęby, czekając na jej odpowiedź.

- Chcę tego... ? - powtórzyła, patrząc na niego zamglonymi oczami.

- Chcę się z tobą kochać, Mariso. Do końca. Chcę, abyś... - była moja, chciał powiedzieć, ale poprawił się - abyś stała się w pełni kobietą. Ale to zależy tylko od ciebie. Ja mogę jeszcze przestać, chociaż...

- Nie musisz! - zawołała.

Deverell gwałtownie złapał oddech. Marisa wyciągnęła rękę i dotknęła miejsca, gdzie uwypuklała się jego męskość. Nie mogła uwierzyć, że coś tak dużego może się w niej zmieścić. Jak będę mogła go przyjąć? - przemknęło jej przez myśl.

Wszelkie myśli uleciały jej z głowy, kiedy jego ręka znalazła się pomiędzy jej nogami. Kiedy zamknął jej usta pocałunkiem, który wprowadził ją w ekstazę, kiedy jego ręka zaczęła przesuwać się po tym wrażliwym wzniesieniu. A kiedy zagłębił palec w jej wilgotnym wnętrzu, przestała być zdolna do myślenia.

Deverell upajał się jękami rozkoszy, które wydawała Marisa, kiedy ją pieścił w tym najbardziej intymnym miejscu. Była taka gorąca, wilgotna i gotowa na jego przyjęcie. Przypuszczał jednak, że jest jeszcze dziewicą i ten pierwszy stosunek może sprawić jej ból. Powinien przedtem doprowadzić ją do zaspokojenia i...

Marisa napierała na jego palce. Poczuł, że osiągnęła zaspokojenie. Po chwili wstrząsnął nią konwulsyjny dreszcz następnego orgazmu. I jeszcze jednego. Jej reakcja wprawiła go w zachwyt. Przepełniała go radość, że potrafił dać jej taką rozkosz.

Jej okrzyki brzmiały mu jeszcze w uszach, kiedy zrzucił spodnie, uwalniając swoją pulsującą męskość, i pochylił się nad nią, oparty na łokciach.

- Mariso, kochanie, spójrz na mnie.

Marisa otworzyła oczy, jej ciało nadal wibrowało trudną do opisanego rozkoszą. Spojrzała na niego. Wyglądał jak pogański bóg lasu. Kocham cię - słowa zawisły jej na wargach.

Nie wypowiedziała tych słów.

- Marisa? Leż spokojnie, kochanie, i przygotuj się, aby mnie przyjąć.

Skinęła tylko głową. Wydała stłumiony okrzyk, kiedy poczuła między nogami jego męskość. Przesunął się trochę, a ona jęknęła z cicha, kiedy materiał jego szorstkiej koszuli dotknął nabrzmiętych brodawek jej piersi. Gwałtownie złapała oddech, kiedy jego członek, który był teraz twardy jak skała, ocierał się o ten wrażliwy wzgórek, o którego istnieniu nie miała przedtem pojęcia. Rozkosz, którą teraz odczuwała, nieomal sprawiała ból.

- Moja najdroższa - szepnął.

Poczuła, jak jego męskość przesuwa się w dół jej pełnego wilgoci zagłębienia. Zaczął w nią wchodzić, bardzo ostrożnie i powoli...

- Przebacz mi, kochanie - szepnął i był już w niej cały.

Nagle uczucie bólu! Marisa była zaszokowana. Dlaczego jej błona dziewicza została dopiero teraz przerwana? Przecież przez tyle lat jeździła na męskim siodle! Marta zawsze mówiła, że jazda konna w rozkroku...

- Bardzo cię boli, kochana? Przykro mi - szepnął.

Potrząsnęła przecząco głową. Ból już ustępował.

- Tylko troszeczkę.

- Kłamczucha - uśmiechnął kącikiem ust.

Jak ona kochała ten uśmiech. Zamknęła oczy, a z ust jej wydarł się jęk rozkoszy.

Deverell wchodził w nią coraz głębiej. Początkowo poruszał się wolno, potem coraz szybciej, a ona reagowała na każdy jego ruch. Przywarła do niego, kiedy wstrząsnął nią spazm spełnienia. Potem kolejny...

Deverell gwałtownie złapał oddech. Uniósł jej biodra do góry i wszedł w nią tak głęboko, jak nigdy przedtem. Byli teraz całkowicie zespoleni. Marisa krzyknęła, kiedy poczuła w sobie wybuch wulkanu, sama jednocześnie osiągając orgazm. Byli teraz jednością.

20

Deverell uśmiechnął się, kiedy śpiąca Marisa poruszyła się w jego ramionach. Pomyślał o przyczynie, która tak bardzo skróciła im czasu odpoczynku. Jaka ona była cudowna! Nie spodziewał się, że będzie taka zmysłowa. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał podobnej satysfakcji

Muskał wargami jej ucho, wdychając delikatny zapach jej ciała. Mydło, które dostała w gospodzie, miało intensywny zapach. Powinna częściej używać pachnideł, pomyślał. Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę, jak bardzo zmysłowa kobieta kryje się pod jej męskim strojem? Powinien jej o tym przypominać. Najlepiej wtedy, kiedy będą się kochać. Jak długo będzie ją musiał przekonywać, że przede wszystkim jest kobietą, a jej zawód żołnierza powinien być na drugim planie? A najlepiej, żeby wcale nie była żołnierzem.

Marisa poruszyła się znowu. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Leżała tyłem, całkowicie wtulona w niego. Obejmował ją mocno, a jego dłonie spoczywały na jej piersiach. Kochali się aż do świtu, nic dziwnego, że trudno jej się było obudzić. Był bardzo ostrożny i delikatny, pamiętając, że przecież właśnie straciła dziewictwo.

Uśmiechnął się. Zawsze unikał dziewczyc jak zarazy. Zadawał się tylko z dojrzałymi kobietami, które dobrze wiedziały, czego od nich oczekiwał. Nie miał ochoty być

świadkiem historycznych wybryków podlotków ani mieć do czynienia z ich matkami, które myślały tylko o wydaniu córek za mąż! On, jako następca tronu, musiał o tym ciągle pamiętać. Nie mógł się żenić z jakąś dzierlatką tylko dlatego, że pozbawił ją cnoty!

A Marisa? Pozbawił ją przecież cnoty. Czy ona też jest dla niego jakąś dzierlatką?

- Na pewno nie jest - powiedział głośno.

- Dev? Kto nie jest... czy mówisz do mnie? – usłyszał głos Marisy, która obróciła się w jego stronę.

- Nie. Tylko głośno myślałem - odpowiedział z uśmiechem. - Pośpij jeszcze, kochanie. Bardzo mało spałaś dziś w nocy.

- A czyja to wina, mój lubieżny książę? - spytała żartobliwie.

- Ja? Lubieżny? - powtórzył, udając niewiniątko.

- Rozpasany jak ogier - powiedziała poważnym tonem, ale z żartobliwym błyskiem w oku.

- Załóżmy więc, że byłem rozwiązły - zgodził się, pieszcząc jej piersi. - Ale co mam powiedzieć o tych rozkosznych, zmysłowych okrzykach pewnej panny, która błagała mnie, abym jeszcze raz wziął w posiadanie pewnego kapitana gwardii, i jeszcze raz...

Marisa położyła mu rękę na ustach. Stłumiła śmiech i zarumieniła się. Jego palce na brodawkach jej piersi pozbawiały

ją zdolności myślenia. Czy to możliwe, że znowu pragnęła, aby się z nią kochał? Kiedy zdjął jej rękę ze swoich ust i zaczął całować wewnątrz jej dłoni, wiedziała już, że to prawda.

Drżała, kiedy ujął jej twarz w dłonie i zajrzał głęboko w oczy. Jęknęła, kiedy poczuła jego usta na swoich wargach.

- Zbuduję pałac dla nas dwojga - szepnął.

Te słowa były bezwiedne, ale prawdziwe. Muszą stworzyć sobie przyszłość.

- Niech tylko zakończy się ta cholerna rebelia, Mariso, to ja...

- Dev! - zawołała, tak bardzo zdumiona, że opuściło ją pożądanie. - Dev, o czym ty mówisz?

- Wiem, że powinienem najpierw zwrócić się do twojego ojca, a potem byłaby mała uroczystość przy świecach, ale jest wojna i...

- Czy to oznacza, że mi się oświadczasz? - Marisa z trudem wydobywała z siebie te słowa. - Że proponujesz mi małżeństwo?

- Oczywiście - powiedział, zdumiony jej tonem. - O czym innym mógłbym mówić?

- Ja... ja nie wiem. Dev, nie mogę wyjść za ciebie za mąż. - Porząsnęła ze smutkiem głową.

- Dlaczego, u diabła?! - krzyknął, ponieważ ubodła go ta niespodziewana odmowa. - Czy, mimo wszystko, jestem dla ciebie odpychający? Może to, że jestem następcą tronu...

- Przestań! - zawołała. - Nic nie rozumiesz. To nie chodzi o ciebie. Ja nie mogę... ja za nikogo nie wyjdę za mąż.

Deverell starał się opanować i mówić z nią spokojnym głosem.

- Rozumiem. To może wyświadczysz mi tę przysługę i wytłumaczysz dlaczego. A może zbyt wiele od ciebie żądam?

Marisa z trudem przełknęła ślinę. Targały nią sprzeczne uczucia. Nie była wolna, do diabła! A przecież kochała tego mężczyznę z całego serca. A teraz kochała go jeszcze bardziej. Dziś w nocy, kiedy trzymał ją w ramionach, niebo otworzyło się przed nią. Cudownie byłoby móc myśleć o przyszłości, która obiecywała takie upojenie. Ale ona nie mogła!

Poza wszystkim innym miała bolesną świadomość, że on nie mówił o miłości. Kierował się tylko pożądaniem. Nie miała nic przeciwko temu, ale pociąg zmysłowy bez miłości? Takie małżeństwo oznaczałoby dla niej powolną śmierć, nawet gdyby była wolna i mogła go poślubić.

Lepiej, aby nadal żyła takim życiem, jakie sobie wybrała. Jakim musi żyć. Ono nie było idealne, ale wybrała je nie bez powodu, a ten powód wykluczał małżeństwo.

Postara się wszystko mu wytłumaczyć.

- Posłuchaj mnie, Dev - szepnęła, przytłoczona jego oskarżycielskim spojrzeniem. - Jestem bez reszty oddana... moim przeznaczeniem jest... gwardia.

Deverell był kompletnie zaskoczony. Nigdy by się nie spodziewał takiej odpowiedzi! Dopiero po chwili odzyskał głos.

- Czy dobrze cię zrozumiałem, Mariso? Że wolisz tę... tę swoją męską rolę niż... Czy dzisiejsza noc nic dla ciebie nie znaczyła?

Była dla mnie wszystkim, ale nie mogę, pomyślała.

- Oczywiście, że miała znaczenie - szepnęła.

- To dlaczego? Dlaczego, u diabła, wybierasz życie mężczyzny? Mariso, dziś w nocy stałaś się kobietą, tu, w moich ramionach! Czy to ci nie wystarcza?

Oczy Marisy napęłniły się łzami. Dopiero teraz zorientowała się, że jest prawie naga i zaczęła się szybko ubierać.

- Ciągle mnie nie rozumiesz. Po śmierci Marka nie miałam innego wyjścia. Zostałam zobowiązana do takiego życia! W nim nie ma miejsca ani na małżeństwo, ani na dzieci.

Deverell zaczynał już rozumieć.

- Mariso - powiedział. - To nie może trwać dłużej. Nie jesteś swoim zmarłym bratem. Bez względu na to, co mówił ci ojciec, nie jesteś nowym wcieleniem Marka!

W słabym świetle zbliżającego się świtu zobaczył śmiertelną bladość na jej twarzy.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem - odezwał się łagodnym głosem, kładąc rękę na jej brzuchu. - Pomyśl o tym,

że możesz mieć dzieci. Nawet teraz możesz nosić moje dziecko w łonie, dziecko, które może w przyszłości zostać królem albo bękartem. Wybór należy do ciebie.

Marisa otarły łzy. Czułość Deverella wyprowadzała ją z równowagi.

- Dev, proszę cię, wysłuchaj mnie. Nie znasz wszystkich okoliczności śmierci Marka. Nikt ich nie zna, poza mną i Martą.

Marisa westchnęła ciężko. Nigdy o tym jeszcze nie mówiła, ale przez te wszystkie lata dźwigała to brzemie w duszy.

- Jak wiesz, ja i Mark byliśmy sobie bardzo bliscy. Czy przypominasz sobie, jak ci mówiłam, że z wiekiem zaczęliśmy prowadzić różny tryb życia?

Deverell skinął głową, ciekaw, do czego ona zmierza.

- Nie wiesz jednak, że złożyliśmy sobie uroczystą przysięgę, że zawsze będziemy się wzajemnie osłaniać. A tego dnia nie dotrzymałam bratu przysięgi - i zapłacił za to życiem!

- Przecież cię tam nie było!

- Właśnie o to chodzi - powiedziała z gorzkim uśmiechem.

- A wiesz, dlaczego mnie tam nie było? Tego poranku doświadczyłam swojej pierwszej kobiecej niedyspozycji. Nie przerażała mnie krew, ale bardzo bolał mnie brzuch. Oczywiście, nie było tak złe, żebym nie mogła jechać na

polowanie, ale Marta mnie zatrzymywała. „Poleż w łóżku tylko ten jeden dzień”, prosiła, dopóki się nie zgodziłam.

Deverell widział cierpienie w jej oczach i chciał ją przytulić do siebie, ale był w nich również jakiś zacięty wyraz, który go przed tym powstrzymał.

- I tylko przez to, Dev - mówiła dalej - przez mamą wymówkę kobiecego ciała i jego przekłętą słabość, ja leżałam w łóżku, kiedy mój brat umierał!

Deverell usłyszał takie rozgoryczenie w jej głosie, że przeniknął go dreszcz głębokiego współczucia.

- Mariso, nie możesz oskarżać się o słabość. To jest normalna kobieca niedyspozycja.

- To było tchórzliwe niedomaganie tamtego ranka!

- Nonsens. Za ten tragiczny zbieg okoliczności obwiniasz niedyspozycję, która jest tak naturalna jak wschód słońca - i tak samo wspaniała! Tak samo jak poród, który wymaga od kobiety prawdziwej odwagi!

- A tobie te rzeczy wcale nie są obce - zadrwiła. – Jeśli chodzi o odwagę, to nie majak gwardia. To samo, jeśli chodzi o wspaniałość! Twoje wrażliwe damy niech mają swoje nobliwe porody. Życzę im powodzenia!

- Ty głuptasie! - wykrzyknął ze złością, ledwie się hamując. - Wydanie dziecka na świat jest najbardziej chwalebny czynem, jaki można sobie wyobrazić. Nie mogą się z tym równać nawet najbardziej waleczne czyny na polu

bitwy. A wiesz dlaczego, Mariso? Ponieważ narodziny to życie, a nie taniec ze śmiercią!

Marisa otworzyła usta, aby dać mu jakąś uszczypliwą odpowiedź, ale nie odezwała się. Usłyszała, że w obozie zaczął się ruch. Nie chciała, aby ich widziano razem w miejscu, w którym zawsze rozkładała się na noc.

- Bądź tak dobry i daj mi... mój koc - powiedziała, szybko wstając na nogi. - Idę się umyć do strumienia.

Deverell podniósł się równie szybko i wręczył jej koc, który w nocy spełniał rolę prowizorycznego łóżka kochanków.

- Pani koc - powiedział i ukłonił się sztywno.

Obrócił się i szybko odszedł.

Garrick odsunął lunetę od oka. Był zadowolony, ponieważ wśród widocznych w oddali namiotów dostrzegł proporzec Winthera. Deverell wysłał Garricka na rekonesans, aby sprawdził, czy armia Baravii nadal obozuje w tym samym miejscu, gdzie została zmuszona do postoju, kiedy wyruszał do obozu Wellingtona.

Wsiadł na konia i skierował się do wioski, gdzie zatrzymała się reszta oddziału. Zostali tam serdecznie powitani przez rodzinę austriackich farmerów, co było miłą niespodzianką. Cudzoziemcy nie byli mile widziani w okolicy, przez którą stale przeciągały jakieś wygłodniałe oddziały

wojska. Okazało się, że Deverell i dziewczyna udzielili tej rodzime pomocy, kiedy wiosną jechali do obozu Wellingtona.

Ten pobyt mógł być bardzo miły, gdyby nie pewien zgrzyt. Garrick wiedział, że Marisa i księżę mieli się pobrać. A teraz wyglądało na to, że prędzej by sobie odgryźli języki, niż pozdrowili się przy przypadkowym spotkaniu.

Coś się musiało między nimi wydarzyć. Chyba to było dwa tygodnie temu, pomyślał Garrick. I to coś poważnego. Miał przecież oczy w głowie i znał tego chłopaka lepiej niż ktokolwiek inny - może nawet lepiej, niż on sam znał siebie. Wiedział, że ta dziewczyna stała się królową jego serca. Dobrze to ukrywał, ale Garrick widział, że księżę cierpi i że źródłem tego cierpienia jest ostra strzała Kupidyna, o ile Garrick Quince znał się na tym.

Córka Lanceta była dla odmiany jak otwarta księga - na ile kobieta może być otwarta. Spojrzenie jej szarych oczu mówiło mu wszystko. A wtedy na łodzi rybackiej... Kiedy rozprawiła się z rekinem... Ta dziewczyna pojawiła się z szybkością błyskawicy, jak jakaś bogini zemsty. Garrick nigdy jeszcze nie widział, aby istota ludzka mogła się tak szybko poruszać!

Ale odsłoniła się całkowicie dopiero potem, kiedy wpatrywała się w księcia, sądząc, że nikt tego nie widzi. To była na pewno strzała Kupidyna!

Czy spali ze sobą? Garrick zastanawiał się nad tym. Trudno było zgadnąć. Chociaż ten chłopak nieźle poczynał

sobie z różnymi damami w Londynie, tutaj miał do czynienia z arystokratką z własnego kraju i to nakładało na niego hamulce. Kłopot polegał na tym, że ona była tak różna od innych, wysoko urodzonych kobiet. Ta dziewczyna nic sobie nie robiła z żadnych hamulców. Nie wiadomo, dlaczego Winther pozwolił jej robić to, co chciała.

Quince doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. Musieli stłumić powstanie i ocalić tron dla swojego króla. Kiedy będą to już mieli za sobą, wtedy będzie czas na swawole Kupidyna. Jeśli będą to mieli za sobą, dodał w myśli.

Baravia, pałac

Rupert patrzył na żonę i na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

- Sophio, jesteś tego pewna? A może to jest oznaką... hm... czegoś innego?

Królowa roześmiała się perliście jak młoda dziewczyna, którą adorował wiele lat temu.

- Myślę, że znam własne ciało, Rupercie. Jeśli chcesz, to poproszę sir Meerstona, aby to potwierdził.

- Ten głupiec zupełnie się nie zna na takich sprawach. Zawołamy babkę Michaels i...

- Rupercie, babka Michaels umarła przeszło dziesięć lat temu. Kiedy pomagała przy narodzinach Deverella, miała już ponad siedemdziesiąt lat!

- No to inną akuszerkę - powiedział.

Akuszerka! To chyba niemożliwe. Po tylu latach... Ogarnęło go przemożne uczucie radości. Dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Patrzył uważnie na żonę, która siedziała na brzegu ich wysokiego łoża. A ja nic o tym nie wiedziałem, pomyślał.

- Kiedy to ma nastąpić? - spytał.

- Nie jestem pewna, ale myślę, że za pięć miesięcy

- Pięć miesięcy? - Rupert uniósł brwi. - Czy mówisz serio? Jak mogłaś tak długo trzymać to w tajemnicy? - spytał z pretensją w głosie.

- Nie denerwuj się, Rupercie. Chcesz chyba wiedzieć, jak żyje i rozwija się twoje dziecko, prawda?

- Oczywiście. Powiedz mi łaskawie, dlaczego tak długo to ukrywałaś?

- Tylko cztery miesiące.

- O cztery miesiące za długo! - rozzłościł się.

- Tak się złożyło. - Westchnęła. - Zauważyłam pierwsze objawy, kiedy byłam jeszcze w Londynie. Uznałam je za oznakę przekwitania. Zbliżam się przecież do pięćdziesiątki.

- Bardzo młodocianej pięćdziesiątki - wtrącił, a ona uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Potem były inne objawy. Poranne nudności, niewytłumaczalne zmęczenie, szczególnie popołudniami - tak było, kiedy spodziewałam się Deverella.

Rupert skinął głową. Dobrze pamiętał ten okres. Och, Deverell, gdzie jesteś teraz, mój chłopcze?

- Kiedy zorientowałam się wreszcie, że jestem w ciąży - mówiła dalej królowa - pomimo tego, co nam wmawiano...

- Cholerni lekarze! Zupełnie nie można na nich polegać. Zawsze to mówiłem!

- Tak, kochanie. Kiedy, jak mówiłam, zorientowałam się, że znowu zdarzył się cud, to byłeś akurat chory i myślałam tylko o twoim zdrowiu. Potem byłam zszokowana...

- Nie musisz mi tego mówić. Byłaś zszokowana, że postanowiłem wysłać Deverella na Półwysep Iberyjski. – Wziął ją za rękę. - Sophie, przykro mi, wiem, jak ciężko to przeżywałaś. Gdybym tylko wiedział, że jesteś w ciąży... Mogłaś łatwo wykorzystać ten fakt, żeby mnie odwieść od tej decyzji. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Wtedy nie miałam jeszcze pewności. - Królowa wzruszyła ramionami. - Okazało się, że miałeś rację. Deverell bardzo się zmienił w Londynie. Ja jakoś tego nie mogłam zauważyć.

- Ponieważ Malsaur się o to postarał - dodał król.

- Jego zdrada kompletnie wytrąciła mnie z równowagi. Martwiłam się wtedy tylko o twoje zdrowie. Czasami prawie żałowałam, że jestem w ciąży. Teraz też nie jesteśmy pewni, czy wśród nas nie ma zdrajcy. Obawiam się, że to nie jest dobra sytuacja na narodziny w królewskiej rodzinie.

- Ach, Sophio. - Rupert westchnął. - Nie mów, że tego żałujesz.

- Oczywiście, że nie. Szczególnie, że ty jesteś szczęśliwy.

Uśmiechała się do niego czule, kiedy przygarnął ją do siebie.

- Czy myślisz, że to będzie chłopiec? - szepnął. – Miło byłoby mieć dziewczynkę. Ale wiesz, jak to jest.

- Wiem.

Żadne z nich nie wypowiedziało tych słów. Wiedzieli jednak, że od miesiący nie mieli żadnej wiadomości od swojego jedyne go syna i że to dziecko, które teraz spoczywało w jej łonie, może być ich jedyną nadzieją.

Książę i jego towarzysze dotarli do obozu Winthera o zmierzchu. Padał zimny deszcz, a we wrześniu mrok szybko zapadał. Marisa starała się odnaleźć namiot swojego ojca. Kiedy Garrick pokazywał jej namiot, nad którym powiewał proporzec wodza, było jeszcze widno. Teraz trudno było coś zobaczyć z odległości kilku kroków.

Zatrzymali ich wartownicy, którzy patrzyli ze zdumieniem na Garricka. Sądzi li, że został zabity albo dostał się do niewoli. Szybko się ocknęli, kiedy usłyszeli władczy głos, który nakazywał, aby pokazali drogę do namiotu lorda Winthera.

Starszy wartownik, który często eskortował króla Ruperta, omal nie podskoczył do góry.

- Wasza królewska mość! - krzyknął.

- To król? - wyjąkał jego towarzysz.

- To jego książęca mość, księżę Deverell! - rozległ się głos Marisy.

Omala nie dodała: „ty głupcze”, ale zatrzymała się w porę. Zawsze szanowała prostych żołnierzy, to oni byli trzonem armii. A księżę rzeczywiście przypominał ojca. Miał podobną sylwetkę, kiedy siedział na koniu, i taki sam głos.

Ostatnio Marisa często była poirytowana. Nie знаła przyczyny swojego złego nastroju. Była przyzwyczajona do znoszenia niewygód, teraz zaś przeszkadzał jej nawet deszcz.

- Zaprowadź nas do namiotu generała - powiedziała nie znoszącym sprzeciwu głosem - albo pozwól nam przejechać i sami znajdziemy ten cholerny namiot!

- Dostyc, kapitanie - powiedział Deverell takim samym tonem. - Jeśli żaden z was - zwrócił się do wartowników - nie może opuścić swojego posterunku, powiedzcie nam, gdzie możemy znaleźć generała, albo dajcie nam eskortę. Pospieszcie się, proszę.

Starszy wartownik rzucił szybkie spojrzenie na Marisę.

- Ja księcia zaprowadzę - powiedział.

Stephen Lancet był człowiekiem, który nie okazywał swoich uczuć, co Deverell natychmiast zauważył. Zaprosił ich

do swojego namiotu i kazał adiutantowi przynieść coś do jedzenia i picia, kiedy dowiedział się, że są głodni. Do księcia zwracał się przestrzegając wszelkich wymogów dworskiej etykiety, a do ludzi Wellingtona zgodnie z wojskowym protokołem. Jedynie Garricka potraktował inaczej, pytając z troską o jego ranną nogę.

Ale najbardziej zdziwił i rozzłościł Deverella fakt, że Winther nie zwrócił się do Marisy ani jednym słowem, które wskazywałoby na to, że jest jego córką. Powitał ją jedynie skinieniem głowy. Obdarzył ją kolejnym skinieniem, kiedy okazało się, że księżę powrócił z półwyspu w bardzo dobrej formie. Jeszcze bardziej niż sposób, w jaki Winther traktował swoje jedyne żyjące dziecko, zdziwiła i zaniepokoiła Deverella jej reakcja na to traktowanie. Do diabła, zachowywali się jak obcy sobie ludzie!

Obrzucił Marisę ukradkowym spojrzeniem. Wydawało mu się, że nie robi to na niej żadnego wrażenia. Ale to przecież było cholernie nienaturalne zachowanie. Deverell natychmiast postanowił bliżej się tym zainteresować. To nie było normalnie, by ojciec i córka...

Naturalna... Natychmiast przypomniał sobie kłótnię, która doprowadziła do ochłodzenia stosunków z Marisą. Ona nie chciała uznać, że rodzenie dzieci i inne funkcje kobiecego ciała są naturalną rzeczą. Czy była to wina Lanceta? Może to jego zachowanie, a nie śmierć brata, zaważyło na jej dziwnych pomysłach? A jeśli tak, to co można by zrobić...

- Czy możemy teraz popatrzeć na mapy, wasza książęca
mość? - Głos Winthera przerwał rozmyślenia księcia. – Muszę
przyznać, że nic nie wiedziałem o tych podziemnych
przejściach.

Deverell wziął mapy do ręki i jeszcze raz spojrzął na
Marisę. Jeszcze nie teraz, pomyślał, ale kiedy zakończymy
naszą misję, to wiedz, mój giermku, że odkryję motyw twoich
głupich pomysłów. Wtedy zobaczymy, co się da z tym zrobić.
Jeszcze nie skończyliśmy ze sobą, kochanie!

21

Niecałą godzinę później Deverell i Marisa ruszyli w drogę. Zapadła decyzja, że jest to najlepsza pora, aby mogli się przemknąć. Było bardzo ciemno, a deszcz tłumił kroki. Szli pieszo. Towarzyszył im tylko Garrick Quince. Chociaż żołnierze Wellingtona byli gotowi iść z nimi, ksiązę podziękował im za gotowość i nie przyjął oferty. Większą grupą trudniej byłoby się przemknąć.

Musieli przedostać się przez przełęcz, która była w rękach Francuzów, i dotrzeć do jaskini, którą jako dzieci odkryli Marisa i Mark. Gdyby im się to udało, następnym krokiem byłoby sprawdzenie, czy jeszcze istnieje podziemne przejście. Dalej decyzja należała do Deverella. Jeśli tunel okaże się bezpieczny i można będzie dostać się nim do pałacu, ruszą naprzód. Jeśli nie, będą zmuszeni zrezygnować z tego pomysłu. Nie wiedzieli jeszcze, co wtedy zrobią. O tej sprawie nie dyskutowano w namiocie Winthera.

Ich plan były bardzo ryzykowny i niebezpieczny, chociaż według wywiadowców Winthera w górach było niewielu Francuzów. Generał uważał, że Napoleon nie mógł tu zostawić zbyt wielu ludzi. Miał ważniejsze cele niż to małe królestwo, chociaż nęciły go złoża rudy żelaza. Poza tym utrzymanie przełęczy nie wymagało dużej liczby wojska. Baravia mogłaby utrzymać przełęcz, gdyby nie rozgorzała

wojna domowa. Było tam jednak wystarczająco dużo Francuzów, aby pokonać trzech Barawijczyków. Musieli być bardzo ostrożni. Jedno potknięcie mogło oznaczać koniec gry.

Cała trójka zdawała sobie z tego sprawę, kiedy ostrożnie wspinali się ścieżką w górę. Wszyscy byli ubrani na czarno, twarze mieli posmarowane węglem drzewnym i błotem. Potem zamierzali zmienić ubrania na francuskie mundury. Naturalnie, muszą przedtem tych Francuzów pokonać...

- Co o tym myślisz? - szepnął Garrick.

Siedzieli skułem za olbrzymimi głazami, patrząc na kilka prowizorycznych szałasów i małe ogniska płonące w pobliżu ich schronienia. Jedno ognisko zgasło i dało się słyszeć dosadne francuskie przekleństwo.

- Tam nie ma więcej niż dwudziestu żabojadów - powiedział Garrick.

Ktoś dorzucił drewna do ogniska i płomień oświetlił cztery postacie.

- Tam jest chyba pięć szałasów - powiedział Garrick.

- Sześć - odezwała się Marisa. - Jest też duży namiot. Widzisz go?

- Tam na pewno mieszka oficer. Tylko wyższym szarżom, jak widać, przysługuje namiot - stwierdził Deverell.

- Patrz - powiedziała znowu Marisa. - Ktoś chodzi przed namiotem. Pewnie wartownik. Chodzi z opuszczoną głową i niczego nie pilnuje.

- Ja bym go wyrzucił z wojska - mruknął Deverell. – Za poważne zaniedbanie obowiązków!

- Oszczędzimy żabojadom tego kłopotu. - Garrick uśmiechnął się. - A ten biedaczyna jest twojego wzrostu, dziewczyno.

Marisa skinęła głową.

W pół godziny później byli już wysoko na zboczu. Jeszcze dwóch Francuzów musiało się rozstać ze swoimi mundurami, ale jeden z nich był bardzo mały. Deverell oddał dobry mundur Garrickowi, mówiąc, że wkrótce znajdzie jakiś dla siebie. Ovince nalegał, żeby to on się przebrał, ale Deverell miał decydujący głos. Po chwili patrzyli, jak książę zdobywa mundur w sposób, którego dawno temu nauczył go Ovince.

Zbliżył się bezszelestnie do Francuza, który stał odwrócony tyłem i usiłował zapalić fajkę płonącym kawałkiem drewna, stale gaszonym przez wiatr. Tej fajki nie zdążył zapalić. Kiedy dłoń Deverella spadła na jego kark, upadł na ziemię.

- Świetnie - szepnęła Marisa. - Czy to chińska sztuczka?

- Arabska - powiedział Garrick. - Oni są w tym najlepsi.

- Będziesz mnie musiał kiedyś tego nauczyć.

- Dobrze. Albo książę cię nauczy. - Ovince uśmiechnął się.

Marisa zakłęła pod nosem. Musieli teraz pomóc księciu. Ściągnęli mundur z Francuza i ukryli ciało w rozpadlinie, tak jak zrobili to przedtem. Deverell zaczął wkładać mundur. Już wcześniej wytarli sobie twarze. Musieli się spieszyć. W każdej chwili wrogowie mogli zorientować się w sytuacji.

Księżę przeklinał cicho, kiedy wciągał na siebie mokry mundur. Bluza była trochę za wąska w ramionach, ale całość dobrze leżała na jego wysokiej, muskularnej postaci. Ruszyli w stronę niedalekiej przełęczy.

Kiedy zbliżali się już do wierzchołka, niespodziewanie natknęli się na patrol. Francuscy żołnierze szli w ich kierunku.

Szczyśliwym trafem nie doszło do potyczki. Chociaż Francuzów było tylko czterech, odgłosy walki zaalarmowałyby innych. Jednak ci czterej tak głośno przeklinali pogodę, że słyhać ich było z daleka.

- Nie odzywajcie się, ja będę mówił - szepnął Deverell.

To ostrzeżenie nie było konieczne. Francuski Garricka był katastrofalny, Marisa zaś mogła w najlepszym wypadku zostać uznana za bardzo młodego chłopca. A pomiędzy Francuzami mogło nie być żadnych młodych chłopców.

- *Merde!* - usłyszeli, zanim ich oczom ukazał się patrol.

Francuzi zatrzymali się w miejscu, patrząc na Deverella, który wysunął się do przodu.

- *Bon soir, mes amis* - powiedział drwiąco.

Cała czwórka natychmiast powiedziała mu, co myśli o takim wieczorze. Jeden z nich wysunął palec do tyłu i oznajmił, że nie omieszka wyrazić swojej opinii samemu *mon capitaine - le batard!*

- *Batard?* - podchwycił inny żołnierz. - *Moulin c'est un grand cochon.*

Pozostała dwójka nie pozostała dłużna i dorzuciła swoje zdanie o kapitanie, który wysłał ich na patrol w taką pogodę. Moulin okazał się nie tylko świńskim bękartem, był także starą szkapą i sodomitą. Towarzysze Deverella wyrazili swoją aprobatę skinieniem głowy i patrol poszedł dalej.

Cała trójka popatrzyła na siebie z uśmiechem. Poznali nazwisko kapitana. To mogło być przydatne!

I rzeczywiście było. Okazało się, że przełęcz jest silnie strzeżona. Nie było tu prymitywnych szałasów, jak na zboczu, ale solidne schronienia, z których dokładnie można było obserwować szlak, prowadzący w dół. Za panowania dziadka Ruperta wzniesiono na przełęczy kilka kamiennych baraków i wysoką basztę dla dowództwa. Wydawało się, że te budynki stanowią część góry, z której wyrastają.

Marisa nie mogła powstrzymać ciężkiego westchnienia na widok obcych żołnierzy w barakach, które dobrze знаła.

Z baszty wyszedł sierżant, wściekły, że ktoś zmusza go do wyjścia na zewnątrz, gdzie wieje silny wiatr i pada deszcz.

- Moulin ma takie same głupie pomysły jak tamten idiota, który nas tu wysłał - powiedział Deverell.

Zrobił taki sam gest w kierunku namiotu oficerskiego, jak żołnierz ze spotkanego przez nich patrolu.

- Oni są wszyscy jednakowi - sierżant przytaknął mu skwapliwie. - Trzymają swoje tyłki w ciepłe i wydają rozkazy. O co mu chodzi tym razem?

- Wyobraź sobie - mówił dalej Deverell - że ten przeklęty idiota miał sen. W tym swoim kretyńskim śnie zobaczył, że obsunęły się skały - pokazał zbocze, które schodziło na stronę Baravii - i wysłał nas, abyśmy zobaczyli, co tam się stało.

- To dobrze, że was, a nie mnie! - odpowiedział sierżant i pozwolił im przejść.

Ledwie zeszli mu z oczu, kiedy lunął gwałtowny deszcz. Trudno było się poruszać w takiej ulewie. Garrick poślizgnął się, Deverell chwycił go za ramię, chroniąc przed upadkiem.

- Chodźcie tu! - zawołała Marisa, widząc dziwnie znajome wgłębienie skalne, w którym szybko się schronili.

- Nie wiem, jak mogłaś to zauważyć w tej cholernej ulewie - zwrócił się do niej Garrick.

- Jego książęca mość i ja schroniliśmy się tutaj, kiedy wyjeżdżaliśmy z kraju - odparła.

- Nie przypominam sobie tego miejsca - mruzczał Quince. - Czy to jest ślepa jaskinia, czy prowadzi gdzieś dalej?

Marisa zawahała się przez chwilę. Coś jej się kołatało w głowie, ale niczego konkretnego nie mogła sobie przypomnieć. Wzruszyła ramionami.

- Możliwe, że jest jakieś połączenie. Wtedy zajmowaliśmy się innymi sprawami, więc...

- To nieważne - przerwał jej Deverell. - Deszcz przestaje padać. Musimy ruszać!

Pospiesznie ruszyli w dół zbocza. Mimo śliskich skał, szybko dotarli do miejsca, które Marisa zaznaczyła na mapie - do ukrytego wejścia do tunelu. Ale wtedy szczęście ich opuściło.

- Przejście jest zablokowane! - wykrzyknął Garrick na widok głazów i szczątków skał, które uniemożliwiały dalszą drogę. - To chyba stało się niedawno!

- Pewnie jakieś niewielkie trzęsienie ziemi – zauważył Deverell.

- Masz rację - przytaknęła Marisa.

Deverell był zdumiony, patrząc na jej przygnębienie. Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie.

- Warto było spróbować - szepnął, chcąc ją pocieszyć.

Objął ją ramieniem w męskim, żołnierskim uścisku. Wiedział, że nie życzyłaby sobie innego.

Jednak Marisa była uformowana z bardziej twardego kruszcu, niż to sobie wyobrażał. Chociaż jego dotyk przywołał jej na myśl zmysłowe sny, które zajęły miejsce uprzednich

koszmarów, była przede wszystkim żołnierzem i natychmiast skoncentrowała się na swoim zadaniu.

- Ta jaskinia! - wykrzyknęła. - Wiedziałam, że coś mi przypomina.

- Oczywiście - odezwał się Deverell -przecież schroniliśmy się tam, kiedy...

- Nie, nie, nie o to chodzi - przerwała mu. - Ja z Markiem...

Deverell i Garrick patrzyli zdumieni na jej radosną minę.

- Byłam tam z Markiem!

- Gdzie? W tej jaskini? - spytał Deverell. - Ale nigdy nie mówiłaś...

- Bo jej początkowo nie poznałam. My z Markiem widzieliśmy ją tylko od wewnątrz! Weszliśmy tam z tunelu!

Patrzyli na nią, zaskoczeni.

- Dziewczyno - odezwał się wreszcie Garrick – jesteś tego pewna?

- Absolutnie - odparła. - Kiedy dotarliśmy tam z Markiem, nagle usłyszeliśmy jakieś głosy i szybko wróciliśmy do tunelu. Nigdy nie widzieliśmy jej z...

- Z tej strony, co my teraz! - dokończył Deverell.

- Na co czekamy? - spytał Garrick. - Chodźmy tam!

Ruszyli z powrotem pod górę, starając się iść jak najszybciej. Minęła już północ i chociaż z tej strony zbrocza

nie groziło im bezpośrednio niebezpieczeństwo, należało jednak zachowywać ostrożność.

Deszcz przestał padać i jak się okazało, ta zmiana pogody nie była dla nich korzystna. Kiedy ulewa ustała, czuwający w baszcie sierżant postanowił sprawdzić, co robi ta trójka żołnierzy, którą przepuścił na drugą stronę zbocza. Nie wiadomo, co go do tego skłoniło, wiadomo było tylko, że zostali zdemaskowani.

W odległości kilku metrów od jaskini, gdzie szlak zakręcał za występem skalnym, Garrick potknął się i rzucił przekleństwo - po angielsku. Byli tak bardzo podnieceni odkryciem i czuli się tak bezpiecznie po tej stronie góry, że nawet Garrick zapomniał o ostrożności.

- Mon Dieu, Uanglais! C'est l'ennemi, yraiment!

Sierżant skoczył w ich kierunku z obnażoną szablą. Rzucił się na księcia, który wyprzedzał o parę kroków Marisę i Garricka.

Marisa widziała, jak Deverell sięga po szablę, ale Francuz był szybszy. Miał tę przewagę, że działał z zaskoczenia i atakował z góry.

- Nie! -krzyknęła, błyskawicznie wyciągając sztylet. Nie zdążyła go rzucić, ponieważ jej krzyk zaskoczył Francuza, co pozwoliło księciu na wyciągnięcie szabli.

Marisa odetchnęła z ulgą. Deverell potrafi dać sobie radę w zwarciu z Francuzem. Okazało się jednak, że jej krzyk zaalarmował innych.

- Przesuń się, dziewczyno! - zawołał Garrick.

Ruszył na spotkanie czterech wartowników, którzy szykowali się do ataku.

Marisa rzuciła sztyletem. Jeden z żołnierzy upadł, kiedy trafiła go w gardło. Garrick walczył z jednym z napastników, a Marisa musiała stawić czoło dwóm. Miała już tylko szablę do obrony.

Nagle pojawił się Deverell i Marisie pozostał już tylko jeden przeciwnik. Poślizgnęła się na śliskiej skale, straciła równowagę, ale zdołała utrzymać się na nogach.

Zakłęła z cicha i zadała pchnięcie, które przeszyło wroga na wylot. Był to cios, który gwardziści nazywali specjalnością kapitana.

Po chwili było już po wszystkim. Pięciu Francuzów leżało martwych. Nie było już czasu na nic. Zbliżał się świt. W milczeniu oczyścili szable z krwi, Marisa zabrała również swój sztylet, po czym zaciągnęli ciała Francuzów do jaskini, gdzie ukryli również ich broń. Marisa poprowadziła ich w głąb tunelu.

Szli w ciemności, macając ręką ściany. Przeszli tak około stu metrów, kiedy Marisa zatrzymała się nagle.

- Och! - krzyknął Deverell, który wpadł na nią.

- Przepraszam - mruknęła.

Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy poczuła jego ręce na swoim ciele. Czy jej ciało zawsze będzie na niego tak reagować? Musi coś na to poradzić! Będąc kapitanem gwardii, często będzie musiała być blisko księcia. Może zostać wyznaczona do ochrony. Nie może sobie na to pozwolić!

Ale to minie z czasem, pomyślała. To przejdzie. To mój własny wybór.

- O co chodzi? - spytał Deverell.

Ten nagły kontakt w ciemnościach był miłą niespodzianką, chociaż Garrick również omal nie wpadł na niego. Nawet pod mundurem francuskiego żołnierza ręce Deverella wy- czuwały krągłość jej bioder, chociaż była tak szczupła, że mógłby z łatwością objąć ją dłońmi w pasie.

Przytrzymał ją chwilę dłużej, niż to było konieczne. Marisa starała się nie zwracać na to uwagi.

- Garrick - powiedziała - mamy świecę. Czy masz przy sobie hubkę i krzesiwo?

- Czekałem, kiedy sobie o tym przypomnisz – mruknął Garrick.

Teraz mogli poruszać się szybciej. Garrick szedł pierwszy, osłaniając dłonią płomień, który rzucał ruchome cienie na ściany tunelu.

Marisa szła obok Deverella, który po chwili dotknął jej ręki.

- Dziękuję ci za pomoc, Mariso.

- A ja dziękuję za twoją pomoc - powiedziała.

Dlaczego on tak często mnie dotyka, zadała sobie w myślach pytanie. Czy nie widzi, że ja... nie, nie zdaje sobie z tego sprawy, ponieważ na nim to nie wywiera żadnego wrażenia. Zachowuje się tak, jakby między nami nic się nie wydarzyło. Może to prawda... z jego punktu widzenia.

Deverell ujął ją za ramię i zatrzymał w miejscu.

- Ale twoja pomoc przyszła bardziej w porę - powiedział. - Chciałbym, żebyś wiedziała...

- Co? - spytała.

Serce jej mocno biło. Miała nadzieję, że on się nie zoñentuje, jak działa na nią jego bliskość.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo cenię sobie to, że mnie osłaniałaś, Mariso - dokończył z półuśmiechem, który tak uwielbiała. - Byłem wtedy bardzo zadowolony, że umiesz zachowywać się jak mężczyzna, i uważam, że powinienem ci o tym powiedzieć.

Te słowa przyprawiły ją o zawrót głowy. To śmieszne, pomyślała. Wiedziała jednak, że uczucie, jakiego doznała, wcale nie było śmieszne. Deverell stał się jej drugą połową, związaną z nią na zawsze.

22

Rupert zsunął okulary z nosa i rozejrzał się dokoła.

Zaintrygował go jakiś dziwny dźwięk w bibliotece. Spojrzał na Sophię, która zasnęła w wygodnym fotelu, co jej się ostatnio często zdarzało. Na kolanach miała otwartą książkę. Modna suknia z wysoko uniesioną talią doskonale maskowała jej stan.

Król odłożył książkę i dokładnie przeszukał wzrokiem całą bibliotekę. Jeśli ktoś w niej był, to na pewno nie miał przyjaznych zamiarów. Kiedy przed kilkoma minutami wchodził tu razem z Sophią, w pokoju nie było nikogo. Usiadł naprzeciwko drzwi, więc nikt nie mógł wejść niezauważony. Ktoś musiał się tu ukryć wcześniej. Tylko gdzie? A przede wszystkim po co?

Król przesuwiał wzrokiem po mahoniowych półkach, stojących rzędami. Rupert był wielkim miłośnikiem książek i zgromadził ich wiele. Starał się, aby jego zbiory były różnorodne i aby każdy mógł coś tam znaleźć dla siebie. Z jego biblioteki mógł korzystać każdy, począwszy od ministra, a skończywszy na kuchciku, ponieważ w Baravii nawet kuchcik umiał czytać. Już dawno temu Rupert przeforsował w parlamencie uchwałę, żeby wszystkie dzieci objąć obowiązkiem nauki czytania i pisania.

Zobaczył, że jakiś cień porusza się pomiędzy półkami. Czy to napastnik?

Szkoda, że nie mam szabli, pomyślał Rupert. Wstał i podszedł do wielkiego, ozdobnego biurka, stojącego na środku pokoju. Leżał na nim srebrny nóż do przycinania papieru - prezent od Deverella. Starając się nie okazać napięcia, zaczął przekładać papiery, potem schylił się nad jesiennymi różami, które Sophia postawiła na biurku w wazonie z miśnieńskiej porcelany i niepostrzeżenie wsunął nóż do rękawa.

Teraz musiał tylko stanąć pomiędzy żoną a napastnikiem. Nie miał zamiaru używać tej broni, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Takim nożem można było zadać śmiertelny cios, a Rupert był doświadczonym żołnierzem. Nie zawahałby się użyć go w obronie żony i ich nienarodzonego dziecka.

- Nie trzeba używać broni, najjaśniejszy panie. Niewielu już zostało mężczyzn, którzy są wierni koronie.

- Quince! - Rupert nie wierzył własnym uszom. – Dobry Boże, czy to naprawdę ty?

- Tak, najjaśniejszy panie.

Garrick wyszedł zza półek i stanął na baczność przed Rupertem. Miał zamiar zaszalutować, ale zamiast tego przyklęknął na jedno kolano. W ten sposób oddawano cześć królowi tylko podczas dworskich ceremonii, ale Garrick uznał, że teraz też jest odpowiedni moment.

- Jestem zaszczycony, najjaśniejszy panie.
- Wstawaj, człowieku! Powiedz mi zaraz, jak ci się udało tu przedostać! Ten pałac jest bardzo silnie strzeżony.
- To dzięki dziewczynie. Ona zna ten podziemny tunel i...
- Dziewczynie? Jakiej dziewczynie? Człowieku, mów wyraźnie.

Garrick usiłował zebrać myśli. Już i tak powiedział zbyt wiele. Wzmianka o córce Lanceta zaraz przywołała pytania o jej podopiecznego, a Ruperta należało przygotować do spotkania z synem, żeby nie zaszkodzić jego zdrowiu.

Deverell i Marisa pozostali w ukryciu i czekali, aż Garrick przygotuje grunt. Cała trójka czekała na Ruperta w bibliotece. Wszyscy wiedzieli, że na początku dnia król zawsze przegląda swoje książki. Był on niewątpliwie najlepiej czytany królem wojownikami.

- Proszę o wybaczenie, ale najpierw muszę wyjaśnić waszej królewskiej mości trochę innych spraw.

- No, dobrze. Mów. - Rupert skinął przyzwalająco głową.

- Mam dobre nowiny, najjaśniejszy panie. Przebywałem razem z księciem Deverellem i ten chłopak nie tylko jest zdrowy, ale również...

- Deverell? Widziałeś go? - Królowi zabłyśły oczy. - Czemu nie mówiłeś tego od razu? Masz dobre nowiny?

- Lepsze, niż wasza królewska mość mogłaby się spodziewać. On jest takim księciem, jakiego sobie życzyłeś, najjaśniejszy panie. Jest synem, z którego możesz być dumny.

Król uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Spodziewałem się tego! Wiedziałem, że mogę polegać na swoim starym Welliem!

- Jeśli o to chodzi...

Garrick podrapał się po głowie. Fortel księcia Hala był delikatną kwestią. To nie on powinien udzielać wyjaśnień na ten temat.

- Niech to chłopak sam wytłumaczy, ale...

- Gdzie jest mój syn, Quince? Jeśli go widziałeś, to znaczy, że wiesz, gdzie on się znajduje. Czy on...

- On jest ze mną, wasza królewska mość.

Rupert spojrział na półki z książkami. Gwałtownie złapał oddech. Zobaczył tam znajomą szczupłą postać, ubraną w zniszczony francuski mundur. Skąd, u diabła, ona ma takie długie włosy? Nie pamiętał tego od czasów jej dzieciństwa.

- Maris... hm... kapitanie Lancet!

- We własnej osobie, najjaśniejszy panie. -Marisa skłoniła się. - Wszyscy troje, zdrowi i cali.

- Wszyscy troje... to znaczy...

Rupert, z trudem już panując nad sobą, rozglądał się dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

Po chwili zobaczył go.

Jego syn - opalony, wyglądający jak prawdziwy mężczyzna. Piękny jak młody bóg, chociaż ubrany w brudny francuski mundur. Dzięki Ci, Boże - był już w domu! Król patrzył zamglonym wzrokiem na Deverella, który właśnie zbliżył się do niego i zamknął go w silnym uścisku.

Garrick i Marisa popatrzyli na siebie. Dokonali tego! Przyprawdzili królowi jego syna. Mieli jeszcze wiele do zrobienia, zanim w Baravii zapanuje pokój, ale ta chwila była wspaniała.

Po dłuższej chwili, kiedy opadły pierwsze emocje, Rupert zapytał o ten tunel, o którym mówił Quince.

Spojrzeli na siebie z uśmiechem. Widać było, że król jest w świetnej formie - jak dawniej.

Deverell szybko zdał sprawozdanie z ostatnich wydarzeń.

Rupert nie przerywał, nawet kiedy usłyszał, że Malsaur rozsiewa pogłoski o jego śmierci. Słuchał cierpliwie opowieści Deverella o ich długiej podróży i przejściu przez tunel. Księżę zapewnił ojca, że tunel jest wystarczająco bezpieczny.

- Tylko jeden odcinek jest częściowo zasypany gruzem - zakończył Deverell. - Dokładnie sprawdziliśmy całe przejście i w tej chwili nie grozi zawaleniem.

- Stare, tajemne przejście - powiedział Rupert. - I pomyśleć, że mieliśmy je tu, pod własnym nosem...

Król przeszył wzrokiem kapitana swojej gwardii.

- Ładna sprawa, kapitanie, żeby król nie posiadał informacji na temat własnego pałacu. Dlaczego, u diabła, nie powiedziano mi o istnieniu tego tunelu?!

Marisa otworzyła już usta, aby się wytłumaczyć, ale Deverell ją uprzedził.

- Ona i Mark byli wtedy dziećmi, najjaśniejszy panie. Wiadomo, że dzieci nie lubią się przyznawać, że robią rzeczy zabronione. Myślę też, że ta wyprawa trochę ich przestraszyła.

- Hm - mruknął król.

Nie uszedł jego uwagi wyraz oczu syna, kiedy ten wystąpił w obronie córki Lanceta. Jak również jej oczu, kiedy się temu przysłuchiwała. Coś między nimi jest, pomyślał. Ciekawe...

Tę sprawę można było przemyśleć później. Teraz patrzył na brudny mundur Marisy, z podartym rękawem, na smugi brudu na jej twarzy i małą szramę na brodzie.

- Kapitanie. Nigdy nie miałem powodu do niezadowolenia z twojej służby dla kraju, kiedy byłaś dorosła. Myślę więc, że mogę przymknąć oko na twoje wykroczenie, kiedy byłaś dzieckiem. Pogroził jej palcem. Nie życzę sobie jednak, aby ci, do których mam zaufanie, zatajali przede mną jakiegokolwiek ważne sprawy. Zrozumiano?

- Tak, najjaśniejszy panie - powiedziała Marisa.

Deverell i Garrick wymienili spojrzenia. Kiedy Rupert dowiedział się o fortelu księcia Hala, to rozpęta się prawdziwe piekło!

Rupert niczego nie zauważył. Na jego poważnej twarzy ukazał się uśmiech, kiedy ponownie zwrócił się do Marisy.

- Poza tym, kapitanie, muszę przyznać, że bezbłędnie wywiązałaś się ze swojego zadania. Doskonale, moja droga, doskonale!

- Dziękuję, najjaśniejszy panie - powiedziała Marisa i zarumieniła się z radości.

- A jak tam było u Wellingtona? - Rupert zwrócił się teraz do syna. - Chyba niełatwo. Ale tak musiało być, abyś mógł szybko dojść do formy. O to właśnie chodziło. prawda?

- Tak, najjaśniejszy panie - powiedział Deverell. - Chyba powinienes wiedzieć...

- Nie potrzeba mi pokazu twoich umiejętności. Quince mówi, że jesteś doskonale wyszkolony, i to mi wystarcza. Zresztą, widać od razu, jak bardzo się zmieniłeś. To znaczy powróciłeś do dawnej formy. Teraz mam pewność, że możesz poprowadzić nas do zwycięstwa i pokonać zdrajców!

- O niczym innym nie marzę - powiedział Deverell, zostawiając wyjaśnienia na później.

- Doskonale. - Zadowolony Rupert zacierał ręce. - Jaki masz plan? Quince już ci na pewno powiedział, kto jest zamknięty w pałacu. Kogo chcesz przeprowadzić przez tunel? Chyba tylko tych, którzy są zdolni do walki.

- Jej królewska mość i żeńska służba powinny zostać w pałacu - powiedział Deverell. - Również młodzi chłopcy i

starzy mężczyźni. Chcę prosić Mań... kapitaną Lanceta, aby stanęła na czele swojej gwardii i wyprowadziła nas na zewnątrz.

Zauważył zdumione spojrzenie Marisy i jej z trudem powściągnięty uśmiech.

- Ona poprowadzi, a ja i każdy ze znajdujących się w pałacu mężczyzn, zdolnych do noszenia broni, będziemy wśród jej gwardzistów. Nie mamy dostępu do stajni. Naszym celem będzie zdobycie przełęczy i niestety musimy tam dotrzeć pieszo. Kiedy przełęcz będzie wolna, Winther przeprowadzi swoje wojsko, a my do niego dołączymy. Jak mówi Winther, Francuzi trzy mają konie po austriackiej stronie, więc będziemy mieli wystarczającą liczbę wierzchowców.

- Rozumiem - powiedział zachmurzony Rupert. - A gdzie w tym planie jest miejsce dla twojego króla?

Deverell wiedział już, że żadna siła nie powstrzyma Ruperta od wzięcia udziału w walce, chociaż pragnął ustrzec go przed niebezpieczeństwem. Myślał, że w asyście żołnierzy, na przykład braci Quince, król pokaże się tylko poddanym, aby wzbudzić w nich chęć walki, kiedy wojsko Winthera znajdzie się już pod pałacem.

- Miejsce króla jest tam, gdzie zechce się znajdować. Bez względu na to, co myślą ci zdrajcy, jesteś tu władcą.

- Słyszysz, Ouince? - Rupert roześmiał się i poklepał Deverella po ramieniu. - Tak mówi prawdziwy książę! Zawsze wierzyłem w ciebie, chłopcze. Muszę pokazać się ludziom, żeby przekonali się, że jestem cały i zdrowy. Powinienem włożyć ceremonialne szaty, ale nie... chyba mundur wojskowy byłby...

- Byłby kompletną głupotą - odezwał się jakiś głos. - Szczególnie, że nie ma teraz dokąd iść.

Wszyscy obrócili się szybko i zamarli z przerażenia. Za fotelem, na którym siedziała Sophia, stał premier, lord Donner, i trzymał pistolet przy jej głowie.

- Ty, Donnerze?

Rupert był blady jak ściana. Sophia patrzyła na niego. Była zszokowana i przestraszona, ale jego strach o nią był o wiele silniejszy.

- Wiedzieliśmy, że między nami jest zdrajca, ale... dlaczego ty, Robercie? Dlaczego mój stary przyjaciel wbija mi nóż w plecy?

- Nikt nie będzie miał noża w plecach ani nikt nie zostanie zastrzelony, Rupercie. Nawet królowa. Chyba że zrobicie coś głupiego. Teraz połóżcie swoje szable na podłodze.

Garrick, Marisa i Deverell zastosowali się do polecenia.

- Dobrze - powiedział Donner. - Teraz chcę zobaczyć twój ulubiony nóż, kapitanie - zwrócił się do Marisy. - Wyjmij go z buta i rzuć na podłogę.

Kiedy Marisa rzuciła swój sztylet, Donner obrzucił księcia uważnym spojrzeniem.

- To samo odnosi się do księcia Hal. Proszę oddać ukrytą broń i nie zbliżać się, sądząc, że tego nie zauważę.

- Książę... Hal? - wyjąkał Rupert.

Deverell zaklął po nosem. Przesunął się już do przodu, mając nadzieję, że uda mu się rozbroić Donnera. Był on już starym człowiekiem, ale, jak widać, ten stary człowiek dobrze miał się na baczności.

- Jeśli nie znasz imienia następcy tronu, Robercie - odezwał się król - to już wszystko jest jasne. Nadajesz się do domu wariatów!

Donner uśmiechnął się.

- O stan mojego umysłu spytaj swojego syna. Może wasza książęca mość powinna zostać w Londynie i występować tam w teatrze.

- Kompletny wariat- mruknął Rupert. Nie odrywając wzroku od premiera, opuścił prawą rękę za plecy. Nóż, który miał w rękawie, znalazł się w jego dłoni.

Deverell stał tuż za nim i szybko przejął broń.

- Nie odpowiedział pan na pytanie króla - odezwał się Deverell. - Dlaczego pan zdradził? Chyba nie należy pan do zwolenników Malsaura? Czy chodzi panu o władzę? Jeśli tak, to proszę pamiętać, że Lucien Borne na pewno nie będzie się nią dzielił.

Donner potrząsnął głową. Patrzył na Deverella ze smutkiem w oczach.

- Wasza książęca mość niepotrzebnie się trudzi, aby nas poróżnić. Nie będę zazdrościł Lucienowi jego władzy. Ja jestem idealistą. W każdej rewolucji znajdzie się przynajmniej jeden idealista.

- Chyba nie jest pan zwolennikiem Bonapartego? – spytała Marisa. - Ten człowiek zdradził wszystkie ideały rewolucji francuskiej. *Liberie, egalite fratemite*. W jaki sposób te hasła mogą się odnosić do wieśniaka z Korsyki, który koronował się na cesarza?

- Wieśniak! - wściekł się Donner. - Dość tego, ty dziwko w męskich spodniach! - Trząśł się teraz ze złości. Ta dziewczyna ośmieliła się krytykować jego bohatera. - Co może taka nieudana imitacja mężczyzny wiedzieć o tych ideałach? - spytał drwiąco.

Wyprowadzony z równowagi Donner wyciągnął oskarżycielską dłoń w kierunku Marisy i machał nią w powietrzu. W ataku furii opuścił w dół rękę, w której trzymał pistolet.

Na to tylko czekał Deverell.

- Łapcie go! - krzyknął.

Premier obejrzał się szybko, a książę rzucił nożem, który przeleciał obok Donnera i uderzył w miśnieński wazon. Na dźwięk tłuczonej porcelany Donner obrócił głowę w tamtym kierunku.

Deverell rzucił się na niego, wytrącając mu pistolet z ręki. Sophia uchyliła się w bok. Po chwili premier leżał już na podłodze.

Rupert zostawił go w rękach syna i szybko podszedł do żony.

- Byłaś bardzo dzielna - powiedział. - I bystra. Tak szybko usunęłaś się na bok.

Marisa i Garrick szybko zabrali swoją broń, zanim podeszli do Deverella, który wykręcił leżącemu ręce do tyłu. Pistolet leżał niedaleko, podniósł go Garrick.

Królowa zapewniała męża, że nie musi korzystać z usług Meerstona, ale Rupert koniecznie chciał zawołać lekarza.

- Kobieta w twoim stanie musi podwójnie troszczyć się o zdrowie, moja droga - powiedział, kładąc dłoń na jej brzuchu.

- Czy naprawdę dobrze się czujesz?

W tym stanie? Królowa? Marisa była zdumiona. Tylko ona stała wystarczająco blisko, aby usłyszeć słowa króla. Deverell i Garrick byli przy drzwiach, oddając Donnera w ręce zaalarmowanych przez służbę gwardzistów.

Rupert zauważył, że kapitan Gwardii Konnej jest całkowicie oszołomiona.

- Słyszałaś, co mówiłem, prawda?

- Ja... przepraszam, najjaśniejszy panie. - Marisa zaczerwieniła się nagle. To były tak intymne sprawy. I do tego odnosiły się do jej króla i królowej!

- Nie mogłam nie słyszeć - wyjąkała.

Podszedł do niej Deverell, który w sprawie premiera wydał już rozkazy kapitanowi Broyerowi.

- Czego nie mogłaś?

- Czy mam mu powiedzieć? - spytał Rupert żonę.

Sophia skinęła głową z uśmiechem.

- Powiedzieć co?

Deverell przesuwał po nich zdumionym wzrokiem. Ten nieustraszony kapitan gwardii był mocno zarumieniony, matka uśmiechała się jak pensjonarka, a ojciec miał szczęśliwy wyraz twarzy.

- Mamy dla ciebie wspaniałą nowinę - powiedział Rupert, obejmując żonę.

Deverell domyślił się, że to będzie ważna nowina – na pewno ojciec szykuje jakąś niespodziankę.

- Po tylu latach, Deverell - Rupert oznajmił z dumą - będziesz miał rodzeństwo. Co wolisz, brata czy siostrę?

23

- Oczywiście, nie masz wyboru - Rupert roześmiał się - ale możesz wygłosić swoją opinię.

Deverell oniemiał.

- Madam... - zwrócił się do matki, kiedy odzyskał głos. - Czy rzeczywiście...

Sophia skinęła głową, uśmiechając się do niego przez łzy.

Deverell spojrzał na ojca. Biła od niego radość i duma.

- To wspaniała nowina - powiedział.

Potem, nie zważając na wymogi dworskiego protokołu, na służbę, która zbierała resztki rozbitego wazonu, na stojących w otwartych drzwiach gwardzistów, podbiegł do rodziców i chwycił ich oboje w ramiona.

- Cieszę się razem z wami!

Deverell patrzył na Marisę, która w swoim mundurze gwardzisty szła pewnym krokiem przez tunel. Była teraz Marisą żołnierzem, co sprawiało jej widoczną radość. Poczł ukłucie żalu. Czy jeszcze zobaczy kiedyś tę cudowną Marisę, Marisę kobietę.

Nie rozmawiali ze sobą od czasu, kiedy dotarli do pałacu, chociaż przebywali w nim prawie dziesięć godzin. Wszyscy troje musieli trochę się przespać, ponieważ poprzedniej nocy

nie zmrużyli oka. Poza tym czekali na nadejście nocy, aby wyruszyć pod osłoną ciemności.

Deverell chciał zamienić z nią choćby kilka słów na osobności, nie na tematy wojskowe i nie w obecności wielu słuchaczy. Kiedy Donner został już uwięziony w swojej komnacie, przed którą stanęła straż, Deverell wysłał Marisie wiadomość z prośbą o spotkanie. Odpowiedź dziewczyny była wymijająca, utrzymana w oficjalnym tonie. Jak widać, nie zależało jej na tym.

Deverell westchnął i postanowił skoncentrować się na stojącym przed nim zadaniu. Siedemdziesięciu ludzi, łącznie z królem, maszerowało teraz podziemnym przejściem. Wszyscy byli uzbrojeni.

Stukot końskich kopyt o skałę dodawał mu otuchy. Mustafa, jego ulubiony wierzchowiec, szedł za nim. Deverell myślał, że zabrali go rebelianci lub też spotkał go jeszcze gorszy los. Okazało się jednak, że bracia Quince nie tylko ruszyli natychmiast na pomoc królowi, ale udało im się wprowadzić do pałacu Mustafę i Mephista, ulubionego konia Ruperta.

Oba wierzchowce zostały zakwaterowane w sali balowej. W pałacu były zapasy owsa, a bracia Quince postarali się również o siano. Sala była wystarczająco duża, aby Matthew i Joshua Quince mogli codziennie objeżdżać konie. Dla ich

bezpieczeństwa Rupert kazał przystosować odpowiednio podłogę.

Mimo wszystko szczęście nas nie opuściło, pomyślał Deverell. Popatrzył znowu na kobietę, która szła pewnym krokiem na czele uzbrojonych mężczyzn. Wydawało mu się, że jest zadowolona z siebie. Odwróciła głowę i powiedziała coś do idącego za nią gwardzisty, Hillota. Oboje roześmieli się cicho.

Nie chciał zastanawiać się nad nieznanym sobie dotąd uczuciem, które wywołał w nim ten widok. Wbił wzrok w plecy idącego przed nim mężczyzny. Szczęście się do nas uśmiechnęło, pomyślał, królestwo będzie ocalone, więc dlaczego ja nie odczuwam zadowolenia?

Szczęście sprzyjało im nadal, kiedy doszli do końca tunelu. Deszcz nie padał, ale niebo zakrywały chmury. Nie było widać gwiazd ani księżyca. Wiatr, szumiący w gałęziach drzew, głuszył kroki.

Jak można się było spodziewać, Francuzi postawili teraz posterunki na szlaku od strony Baravii, ale przy jaskini, z której mieli wychodzić, nie było wielu wartowników.

Marisa i Broyer, którzy ruszyli na zwiady, widzieli tylko sześciu Francuzów.

Szczęśliwie się również złożyło, że Rupert postanowił, niechybnie pod wpływem królowej, ograniczyć swój udział wyłącznie do podejmowania wspólnych decyzji z kapitanem

gwardii i swoim następcą. Bezpośredni udział w walce pozostawił młodszym i sprawniejszym. Był uzbrojony, ale obiecał, że użyje broni tylko w ostateczności, co królowa rozumiała jako w obronie własnego życia.

Księżę, Marisa, Garrick i Broyer zbliżyli się bezszelestnie do niczego nie podejrzewających francuskich wartowników. Czterech z nich stało tyłem do jaskini. Byli pogrążeni w rozmowie. Dwóch innych pilnowało przełęczy. Na znak dany przez księcia sztylet Marisy unieszkodliwił jednego z nich, a Broyer zajął się drugim. W tym samym czasie Deverell i Garrick rzucili się na pozostałą czwórkę. Dwóch zginęło od ciosu w kark - arabskiej sztuczki Deverella, a dwóch od ciosu sztyletem.

Szybko wrócili do tunelu, aby wyprowadzić innych. Zaczęły się jednak kłopoty. Kopyta koni trzeba było owiazać szmatami, nieprzyjaciel był zbyt blisko i należało poruszać się cicho. Mephisto nie chciał ruszyć z miejsca, Rupert musiał go długo uspokajać, aby móc poprowadzić do wyjścia.

Król zalecał zachowanie ostrożności. Nie powinni lekceważyć Francuzów, chociaż tak łatwo udało im się zlikwidować wartowników. Powiedział im również o szlaku, którym można było dotrzeć do kamiennych zabudowań na przełęczy. Była to droga, którą, za panowania jego dziadka, transportowano kamienie do ich budowy.

Ostrzegał ich również przed zdradliwą wspinaczką w ciemnościach. Natomiast, kiedy już dotrą na górę, będą mieli dobry zasięg strzału. Pod warunkiem, powiedział król, że Francuzi nadal palą ogniska.

Deverell sądził, że Francuzi będą grzać się przy ogniu, ponieważ wiał chłodny wiatr. Było również możliwe, że ze względu na zdwojoną ostrożność wydano rozkazy zgaszenia ogniska. On sam tak by właśnie postąpił.

Deverell poprowadził przednią straż, do której dołączył Hillot i trzech innych gwardzistów. Wszyscy uzbrojeni byli w muszkiety i pistolety. Reszta czekała, aby zaatakować po usłyszeniu strzałów.

Ogniska były wygaszone, ale szczęście nadal im sprzyjało. Chmury rozproszyły się i księżyc jasno świecił. Widać było wyraźnie nieprzyjaciół, a baraki okazały się puste. Strzały położyły od razu kilku Francuzów.

Potem rozpoczęła się walka. Zwycięstwo zostało ciężko okupione. Pięciu gwardzistów zginęło, zanim udało się rozgromić przeciwnika, a kilku innych odniosło rany. Wśród nich była Marisa, zraniona kulą z muszkietu w udo.

- Zajmij się nią! - krzyknął Deverell do Garricka.

Oprócz króla, braci Quince i rannych, wszyscy ruszyli dalej. Od strony austriackiej również słychać było odgłosy walki. Mieli nadzieję, że zaalarmowany strzałami na przełęczy Winther rozprawia się z niewielkimi siłami Francuzów po

tamtej stronie gór. Gdyby się okazało, że Napoleon przysłał posiłki, ich sytuacja byłaby niewesoła.

Deverell usłyszał dobrze znany głos, miotający przekleństwa. Zobaczył Marisę, która usiłowała wyrwać się Garrickowi.

- Nie wolno jej brać udziału w bitwie! - krzyknął.

Widok krwi, która spływała jej po nodze, przejął go dreszczem. Nie mógł zostać przy niej, ale wiedział, że Garrick się nią zaopiekuje.

Marisa ze wszystkich sił usiłowała się wyrwać z objęć Garricka. Wściekły wyraz jej twarzy mówił wyraźnie, co sądzi o rozkazie księcia.

Rzucił jej ostatnie spojrzenie i krzyknął:

- Z dala od bitwy! To rozkaz!

Marisa chodziła tam i z powrotem po jaskini, gdzie ułożono rannych. To jest dobre dla poważnie rannych, pomyślała, ale jej zabandażowana noga nie sprawiała już kłopotów. o była tylko mała ranka. Draśnięcie! A czy mogła stąd wyjść? Nie! Nie wolno jej było!

Niech szlag trafi Deverella! Nigdy mu tego nie wybaczy! Spojrzała z wściekłością na Garricka, który odpowiedział jej współczującym spojrzeniem, ale nadal stosował się do tego cholernego rozkazu, który mu wydał książę.

- Nie powinnaś winić za to biednego Quince'a, moja droga
- odezwał się Rupert. - On tylko robi to, co do niego należy.
Jak każdy dobry żołnierz, czego nie muszę ci chyba
uświadamiać, kapitanie.

Marisa odrzuciła pasmo włosów, które spadało jej na
twarz i zmeła odpowiedź, jaka cisnęła się jej na usta.

- Przyznaję - powiedziała po chwili - że wasza królewska
mość ma rację. Z drugiej strony, ja nigdy nie wydałabym
takiego rozkazu biednemu Quince'owi. Ani nikomu innemu,
kto miałby opiekować się rannymi. To przecież bez sensu
trzymać ich w zamknięciu, bez względu na to, czy są
poważnie ranni, czy też nie!

- Naprawdę, kapitanie? - Rupert uśmiechnął się. - Czy nie
widzisz krwi, która ci przesiąka przez spodnie?

Coś się działo na zewnątrz. Król podbiegł do otworu
jaskini, a Marisa za nim.

- Dużo koni - powiedział Rupert. - Miejmy nadzieję, że to
Barawijczycy!

- Liczymy na to, najjaśniejszy panie - powiedział Garrick,
podchodząc do nich.

Plan był następujący - jeśli wszystko dobrze pójdzie, to
król pojedzie w otoczeniu braci Quince, którzy będą go
osłaniać. Jego obecność zmobilizuje Barawijczyków do walki
przeciwko oblegającym pałac zdrajcom. Jeśli Francuzi będą

górami, to król ukryje się w tunelu. W żadnym wypadku nie można dopuścić, aby znalazł się w rękach nieprzyjaciela.

- Wasza królewska mość - Garrick zwrócił się do króla - powinien stanąć teraz w głębi jaskini. Musimy zachować ostrożność. Jeszcze nie wiemy, kto się do nas zbliża.

- Tak, najjaśniejszy panie - poparła go Marisa.

Jeśli to idą Barawijczycy, pomyślała, to zaraz zrobi się zamieszanie i łatwo do nich dołączę! Przysięgam, że tak zrobię, nawet gdybym miała zabrać konia któremuś z moich gwardzistów!

Barawijczycy zdolali się przedrzeć, chociaż Francuzi dostali dzień wcześniej posiłki. Wojsko francuskie było jednak zmęczone długim marszem, a ludzie Winthera wystarczająco wypoczęci. Choć pozostawali w miejscu przez wiele miesięcy, stale odbywali ćwiczenia pod okiem swojego wymagającego generała. Tak rwali się do walki, że nieprzyjaciel poddał się po niecałej godzinie.

Deverell na grzbiecie Mustafy zjeżdżał z góry na stronę Baravii. Przed nim jechał chorąży ze sztandarem następcy tronu. Królowa sama wyhaftowała ten proporzec w czasie oblężenia pałacu.

- Miał mnie utwierdzać w przekonaniu, że wrócisz szczęśliwie - powiedziała, kiedy wyruszali z pałacu.

Z tyłu, w otoczeniu Garricka i jego braci, król Rupert jechał na swoim wierzchowcu. Przed nim był również chorąży z jego sztandarem. Kiedy król wyszedł z jaskini, trzymając w ręku swój proporzec, wzbudził wybuch entuzjazmu wśród żołnierzy. Deverell był już w połowie zbocza, kiedy dobiegły go ich radosne głosy. Ogarnęło go wzruszenie.

Mustafa drżał z podniecenia. Wierzchowiec księcia był dobrze ułożony, ale sala balowa w pałacu nie była wystarczającym dla niego terenem. Deverell przemawiał do niego i klepał po szyi. Sam był bardzo podniecony przed krytyczną bitwą. Wiedział, że jest sprawny i dobrze wyszkolony, co zawdzięczał również pobytowi w obozie Wellingtona i sierżantowi O'Reilly'emu, ale nie miał doświadczenia w walce.

A wkrótce mieli rozegrać walną bitwę.

Zauważył również spojrzenia, jakimi obrzucali go niektórzy żołnierze z armii Winthera. Musiały ich dojść pogłoski o ślamazarnym książątku, których jedna noc spędzona w ich obozie nie mogła rozproszyć. Musi im teraz pokazać, ile jest wart. Nie tylko im, również swojemu ojcu i przede wszystkim sobie samemu.

Już po południu książę mógł wypróbować swoje siły.

Bitwa była zacięta. Wśród rebeliantów było wielu Francuzów - nikt nie spodziewał się, że będą tak liczni.

Malsaur postarał się, aby nikt nie znał ich liczby. Byli to doświadczeni żołnierze, o czym Deverell mógł się łatwo przekonać.

Przewaga rebeliantów, których siły wzmocnili Francuzi, znalazła jednak swoją przeciwwagę. Barawijczycy buntowali się przeciwko obcym żołnierzom, którzy stacjonowali w ich domach i których musieli karmić.

Nawet ci, których sympatia była początkowo po stronie rebeliantów, byli teraz gotowi dołączyć do armii Winthera. A kiedy zobaczyli swojego króla, całego i zdrowego, ruszyli mu z pomocą. Młodzi i starzy mężczyźni, z szablami, nożami i włóczniami, włączali się w szeregi przejeżdżającego wojska.

Zdrajcy walczyli z zapamiętaniem. W sytuacji, kiedy król został uwolniony, była to ich ostatnia szansa. Deverell zobaczył Winthera, którego trzech napastników osaczyło przy pałacowym murze. Generał bronił się dzielnie, ale miał małe szanse. Książę ruszył w jego kierunku, nie widząc żołnierzy, którzy powinni go ochraniać. Ale Winther był po drugiej stronie ogromnego dziedzińca, na którym toczyła się zacięta walka.

Po chwili Deverell zauważył czwartego napastnika, który dołączył do ataku na generała. To był Malsaur!

- Do mnie! - krzyknął.

Przedzierał się z trudem wśród walczących. Kilku żołnierzy Winthera usłyszało jego okrzyk i ruszyło w tamtym

kierunku. Nie mogli poruszać się szybko i Deverell sądził, że pierwszy dotrze do Lanceta - jeśli on jeszcze wytrzyma!

Wtedy ją zobaczył - Marisa przedzierała się przez walczących jak f uła. Nieprzyjacielscy żołnierze padali pod ciosami jej szabli. Ona też szła na pomoc Lancetowi, ale jeszcze była daleko. Siedziała na koniu, który nie był jej wierzchowcem, i prowadząc go jedynie za pomocą kolan, cięła na prawo i lewo. Była wspaniała.

Ty głuptasie, pomyślał. Dlaczego, na litość boską, nie zostałeś z rannymi? Możesz zaraz zginąć, a ja umrę z rozpacz! Nie powiedziałem ci nawet, że cię kocham...

Żołnierz we francuskim mundurze zaatakował go z prawej strony. Deverell obrócił się i odbił szablą jego sztych. Myślał tylko o tym, co się dzieje pod murem pałacu, czy ten koń, który nie był Achillesem, przybliżył tam swojego jeźdźca. Na nogawce jej spodni widać było świeżą krew!

Pokonał szybko przeciwnika i zwrócił Mustafę tam, gdzie widział Marisę po raz ostatni. O Boże, gdzie ona jest? Ruszył do przodu.

Jej ojcu udało się pokonać dwóch napastników, ale Malsaur i ten drugi przyparli go już do muru. Nieznany Deverellovi żołnierz nie był zbyt biegły we władaniu szablą, lecz Borne był świetnym szermierzem. Lancet wyraźnie opadał z sił. Gdzie, na litość boską, była jego córka?

Nagle zobaczył jej konia - bez jeźdźca - i poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Dwóch żołnierzy Winthera ruszyło na pomoc swojemu generałowi i byli już blisko, ale - o Boże - nie!

Żyła, ale walczyła teraz pieszo. Malsaur obrócił się w jej stronę, kiedy jego partner upadł pod ciosem jej sztyletu. Winther coś do niej krzyczał. Chyba go nie słyszała. Malsaur chciał wykorzystać ten moment i wzniósł szablę, aby zadać mu śmiertelny cios. Marisa rzuciła się między nich. Uniosła szablę ponad głowę! Z tej niewygodnej pozycji zadała dwa ciosy, które okazały się skuteczne. Borne wypuścił szablę z ręki i zachwiał się w siodle. Ściągnęła go z konia!

Deverell parł do przodu. Ktoś powinien jej pomóc, a chyba nikt nie widział, w jakim jest niebezpieczeństwie. Tylko jej ojciec, ale on musiał zmierzyć się teraz z dwoma kolejnymi napastnikami. Marisa, wśród potwornej kotłowaniny końskich kopyt i mężczyzn walczących z koni, zmagająca się z tym przeklętym zdrajcą pieszo, w bezpośrednim starciu. Musi do niej dotrzeć!

Oby nie było za późno!

- **O**strożnie, nie trzęście jej!

Marisa usłyszała! głos, który dochodził do niej z oddali. To chyba Dev, a może król. Wszystko ją bolało. Nie mogła ruszać ręką ani myśleć, tak huczało jej w głowie. Kto tak jęczy?

Chyba nie ona? Lancetowie nigdy nie pozwalali sobie na słabość, nigdy...

Deverell niósł nosze razem z gwardzistą, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Nie mógł znieść widoku jej nieruchomej, bladej twarzy i głowy owiązanej naprędce bandażem, który był już przesiąknięty krwią. Jednak nie odrywał od niej wzroku, jakby to mogło utrzymać ją przy życiu.

Wiedział, że zwyciężyli, ale tę świadomość przytłaczał strach o jej życie. Rebelianci i ich francuscy poplecznicy zostali już wzięci do niewoli. Malsaur nie zdołał ująć z życiem. Deverell nie odczuwał z tego powodu satysfakcji. Śmierć Malsaura została zbyt wysoko okupiona. Gdyby Marisa...

Nie mógł nawet o tym myśleć. Musisz żyć, ty małe, uparte półdiable! Proszę cię, moje zuchwałe pachole. Moja miłość musi utrzymać cię przy życiu. Musisz wyzdrowieć. Musisz! Chcę, żebyś usłyszała z ust swojego ojca, jak bardzo jest ci wdzięczny za to, że ocaliłaś mu życie. Nawet gdybym musiał te słowa wyrwać mu z gardła siłą!

24

- Jeśli nie przestaniesz chodzić tam i z powrotem, chłopcze, to wydepczesz ścieżkę w tym dywanie.

Deverell obdarzył Garricka przelotnym spojrzeniem i przyspieszył kroku.

- Jest dużo dywanów, a tylko jedna Marisa Lancet - powiedział.

Byli w salonie, w prywatnych komnatach księcia. W jego sypialni sir Meerston opatrywał ciężko rannego kapitana Królewskiej Gwardii. Została tu przeniesiona z zewnętrznego dziedzińca już kilka godzin temu. Księżę wydał rozkaz, aby umieszczono ją w jego komnatach, pomimo gwałtownych sprzeciwów królowej i dawnej niańki Marisy, Marty.

Garrick spojrział na zegar, który stał na kominku, i westchnął ciężko. Ten cholerny medyk był tu dopiero od dwudziestu minut, ale szukano go przeszło godzinę, ponieważ po bitwie w pałacu panował zamęt.

Deverell źle znosił oczekiwanie. Szalał z niepokoju. Nie odchodził od niej ani na chwilę, a kiedy przyszedł Meerston, z trudnością udało się go oderwać od jej łóżka. Nie zmienił ubrania po bitwie, nie jadł i nie spał. Był całkowicie wyczerpany.

Garrick nie był zdziwiony zachowaniem księcia. Dobrze wiedział, jak sprawy stoją. Zyskał całkowitą pewność, kiedy

Deverell wydał mu rozkaz, aby zatrzymać ją razem z innymi rannymi. Dla tego rozkazu nie było innego wytłumaczenia jak tylko to, że księżę jest w niej śmiertelnie zakochany. Ona mogła swobodnie chodzić, po tym jak kula drasnęła ją w nogę, i Deverell o tym wiedział. Ale zakochany mężczyzna nie kieruje się rozsądkiem.

On sam czuł się winny, że pozwolił tej dziewczynie się wymknąć. Czuł się cholernie winny. Gdyby umarła, nigdy by sobie nie wybaczył...

Ktoś stukał do drzwi. Quince podniósł się z fotela, aby je otworzyć.

- Lord Winther do waszej księżęcej wysokości - zaanonsował lokaj.

Garrick rzucił księciu pytające spojrzenie. Deverell zawahał się, w jego oczach zabłyśły iskry gniewu, ale skinął potakująco głową.

- Garrick, idź teraz odpocząć - powiedział, kiedy lokaj wprowadzał Stephena Lanceta.

Quince wiedział, że to jest rozkaz, a nie propozycja. Ale długa przyjaźń z księciem upoważniała go do wysunięcia swojej sugestii.

- Nie odejdę, dopóki nie pozwolisz, abym kazał ci przysłać coś do jedzenia - powiedział z uporem.

Deverell skinął machinalnie głową. Patrzył na Winthera. Widząc wyraz oczu księcia. Garrick pomyślał, że nie chciałby być teraz w skórze generała.

- Pan chciał się ze mną widzieć, milordzie? – spytał Deverell, ledwie hamując gniew.

Lancet skinął głową, zdziwiony tym przywitaniem.

- Wracam od króla, wasza książęca mość. Najjaśniejszy pan odebrał ode mnie wstępny raport na temat stanu armii po zwycięstwie. Polecił mi, abym zgłosił się do jego książęcej mości.

- Rozumiem. A w jakim celu, milordzie? - Deverell nie hamował wściekłości.

- Aby... - Winther był już wytracony z równowagi - aby złożyć raport waszej książęcej mości. Co mogłoby być innego?

- Co innego? - warknął Deverell, aż nieustraszony w boju generał cofnął się o krok. - Co innego! - powtórzył, wskazując na drzwi swojej sypialni. - Co innego, jak nie pana córka, która może teraz umiera, kiedy my tu rozmawiamy! Pana córka, generale, która tu leży u progu śmierci z ranami, które odniosła, gdy walczyła o pana nędzne życie!

Lancet, który nigdy nie okazywał żadnych uczuć, teraz zbladł. Był wyraźnie zszokowany.

- Marisa... tutaj? Nie miałem pojęcia...

- Nie miał pan pojęcia? Nie wiedział pan, że przyniesiono ją tu poważnie ranną - bardzo poważnie, sir - kiedy wie o tym prawie cały cholerny pałac!

Lancet potrząsnął głową. Nigdy przedtem Deverell nie widział generała, który robiłby wrażenie zakłopotanego.

- Widział pan przecież, jak powaliła Malsaura!

- Tak, wasza książęca mość, ale daję słowo, że potem już jej nie widziałem. Musiałem sam się bronić. Na szczęście dwóch moich żołnierzy przyszło mi z pomocą. Kiedy mogłem wreszcie złapać oddech, Marisy już nie było!

Książę nie odzywał się. Patrzył tylko na niego posepnym wzrokiem.

- Ja... ja uznałem - tłumaczył się Lancet - ...widziałem trupa Malsaura i uznałem, że moja córka wykończyła go i wydostała się stamtąd. Ona walczyła pieszo. Przypominam sobie, że krzyczałem do niej, żeby się wycofała. Tam było zbyt niebezpiecznie, jeśli nie miało się konia.

Deverell milczał. Chciałby, aby relacja Lanceta okazała się nieprawdziwa, aby mógł go ukarać za to, jakim był zimnym draniem, ojcem bez serca, ale nie mógł. Lancet mówił prawdę. Rzeczywiście musiał się bronić przed przeważającą liczbą napastników, dopóki nie nadeszła pomoc. Rzeczywiście krzyczał coś do Marisy, kiedy straciła konia. Chciał zarzucić mu kłamstwo, ale nie mógł tego zrobić!

- No dobrze, milordzie - powiedział po chwili. - A po bitwie? Jak to możliwe, że nie wiedział pan, co się działo z Marisą? Jaki ojciec nie zrobiłby wszystkiego, aby dowiedzieć się o swoje jedyne dziecko - jedyne żyjące dziecko – po takiej bitwie jak dzisiejsza?

Winther zeszywniał. Deverell nie wiedział, czy spowodowało to oburzenie, czy gniew.

- Znam swoje obowiązki, wasza książęca mość. Musiałem zająć się sprawami służbowymi, które należą do głównodowodzącego. Musiałem zainteresować się rannymi, byli też jeńcy...

Sir Meerston ukazał się w drzwiach sypialni. Dwie pokojówki zbierały z podłogi zakrwawione ręczniki. Kawałki podartego munduru Marisy, z plamami zaschniętej krwi, leżały na podłodze. Marta stała przy łóżku, cicho płacząc.

- Jak ona się czuje? - spytał Deverell, wpatrując się w lekarza zaniepokojonym wzrokiem.

- Jest niespokojna. Bardzo cierpi - powiedział sir Meerston, stawiając swoją torbę na podłodze. - Poleciałem służącej, aby dała jej laudanum. Poczucie się lepiej, kiedy lekarstwo zacznie działać.

- Czy...? - Deverell złapał gwałtownie lekarza za ramię. - Czy ona będzie żyć?

Puścił lekarza i zacisnął pięści. Obaj musieli usunąć się z drogi, aby przepuścić pokojówki, które wносиły zakrwawione

gałgany i kubel wody, który, jak zauważył z przerażeniem Deverell, wyglądał raczej jak kubel krwi. Nie umieraj, mój giermku! Nie umieraj!

- Trudno powiedzieć, wasza książęca mość. Pocieszające jest to, że nie straciła przytomności. Ale utraciła wiele krwi i ma paskudną ranę głowy. Na szczęście jest młoda i była w świetnej formie. W tej chwili moją główną troską jest możliwość wystąpienia gorączki. Powiedziałem służącej, żeby na wszelki wypadek przygotowała napar z kory wierzbowej. Wydałem jej dokładne polecenia. Ma nad nią czuwać w nocy i wezwać mnie, gdyby wystąpiła wysoka gorączka... lub inne niepokojące objawy. Jeśli nic się nie wydarzy, odwiedzę ją rano. A teraz, wasza książęca mość.... milordzie - dodał, spoglądając na Winthera - muszę jeszcze odwiedzić innych rannych.

- Naturalnie - powiedział Deverell, dając mu znak, że rozmowa została zakończona i może wyjść. - Dziękuję panu.

Meerston obrócił się od drzwi.

- Jeszcze jedna rzecz. Kapitan Lancet ma złamany nadgarstek. Sądząc po obrażeniach, koń nadepnął jej na rękę. Jest to skomplikowane złamanie. Uważam, że powinienem zawiadomić o tym księcia. To jest prawa ręka. Nie będzie mogła już nigdy w pełni sprawnie posługiwać się szablą - powiedział i opuścił pokój.

- Nie, Marto. Jeszcze nie.

Marisa odwróciła głowę, kiedy Marta podawała jej przepisane przez lekarza laudanum.

- Milady, to jest konieczne!

Marisa potrząsnęła głową, która jeszcze bardziej ją zabolęła. Była śmiertelnie zmęczona i bardzo cierpiała. Ale teraz nie mogła się poddać. Drzwi do salonu były otwarte. Deverell i jej ojciec rozmawiali o niej. Ta rozmowa nie była prawdopodobnie przeznaczona dla jej uszu, lecz kiedy lekarz wyszedł już z sypialni, pewnie tu wejda, więc jeśli będzie udawać, że śpi... Musi tylko najpierw pozbyć się Marty.

- Wezmę lekarstwo, Marto, ale najpierw chcę napić się... herbaty - powiedziała słabym głosem.

- Herbaty!

- Dobrej angielskiej herbaty... tylko ty umiesz ją zaparzyć, Marto. Tak bardzo bym chciała.

Służąca nie była jeszcze przekonana.

- Jeśli obiecuję, że zaraz potem wezmę laudanum? - szepnęła. - Proszę cię, Marto.

Służąca wyraźnie zmiękła i odstawiła szklanekę z lekarstwem.

- Jeszcze jedno - szeptała Marisa. - Proszę cię, nie mów im, że nie wzięłam laudanum. Wiesz, jaki jest ojciec... uważa, że trzeba słuchać rozkazów. Proszę cię.

Marta skinęła głową i skierowała się do drzwi. Marisa usłyszała jej pytanie skierowane do księcia i ojca, czy może przynieść coś uspokajającego dla swojej pani. To było bardzo sprytne posunięcie. Powiedzieli jej, że przypilnują rannej.

Ledwie Marta wyszła z salonu, dwaj mężczyźni zjawili się w sypialni.

Marisa udawała, że śpi.

- Dobry Boże! - poznała głos swojego ojca. - Nie miałem pojęcia...

- Ciszej, milordzie. Ona śpi. Nie trzeba jej budzić - powiedział Deverell. - Jest strasznie poharatana, prawda, Winther? - zapytał Deverell cierpkim tonem. - Nie mówiąc już o obrażeniach, które wymieniał Meerston. I nie domyślił się pan nawet, że ona może być ciężko ranna, walcząc z tym zdrajcą pieszo? Kiedy do niej dotarłem, myślałem, że nie żyje! Czy nie przyszło panu do głowy, że mogła polec?

- Mówiłem już, wasza książęca mość...

- Tak, wiem. Myślał pan o tym, aby ratować własną skórę!

Dev jest wściekły - i rozgoryczony. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby mówił do kogoś takim tonem. I to do ojca, przemknęło jej przez głowę.

- Wasza książęca mość. Jeśli obraziłem księcia, to proszę mi powiedzieć, czym zawiniłem.

Zapadła cisza. Marisa czuła pulsowanie krwi w skroniach, czekając na odpowiedź Deverella. Wreszcie przemówił cichym głosem, którego ton już знаła.

- Obraził mnie pan? Tak, milordzie. Ale jest jeszcze ktoś, kogo pan o wiele bardziej obraził, chociaż ona nigdy by tego nie zdradziła. Mówię o pana córce, milordzie. O córce, którą pan zaniedbywał przez wiele lat. O córce, która starała się ze wszystkich sił przypodobać się panu, starała się, aby pan zaczął ją cenić - jak jej brata, którego miejsce postanowiła zająć. Aby zmusić pana, żeby ją pan pokochał.

Marisa zacisnęła pięści. Usłyszała, że Deverellowi łamie się głos.

- Właśnie w ten sposób obraził mnie pan. Nie zwracając uwagi na dziecko, które niewątpliwie pana kocha. Odrzucając jego miłość. Pana córka przyjęła taki styl życia, aby znaleźć drogę do pana nieczułego serca.

- Książę jest w niej zakochany - usłyszała zdumiony głos swojego ojca.

- Kocham ją nad życie - brzmiała cicha odpowiedź.

Serce Marisy gwałtownie zabiło. Poczwała łzy pod powiekami. Dev... o mój Boże... Dev.

- I znam jej wartość - mówił dalej Deverell - czego pan nie może powiedzieć o sobie, milordzie, I za to chętnie bym pana zabił!

W pokoju zapanowała cisza. Po chwili Marisa zorientowała się, że jej ojciec płacze!

- Ale ja naprawdę ją cenię, wasza książęca mość.

- I pewnie pan ją kocha? - powiedział z powątpiewaniem Deverell.

- I kocham ją. Bardzo ją kocham! - zawołał Lancet. - Marisa jest dla mnie wszystkim. Ona jest jedyną moją ziemską miłością, największym skarbem, wasza wysokość. Nie wiedziałem, że wybrała ten sposób życia ze względu na mnie! Książę musi mi uwierzyć. Myślałem, że gwardia była jej marzeniem. Czekałem na ten dzień, kiedy ona wreszcie zmądrzeje i wyjdzie za mąż! I będę miał wnuki, tak piękne i odważne jak ona! Nie usprawiedliwiam się, wasza książęca mość - głos Winthera był nabrzmiąły łzami - ale... postaram się wszystko wytłumaczyć.

- Proszę to zrobić, generale. A przynajmniej... spróbować.

Marisa z trudnością powstrzymywała łzy. Jej ojciec płakał! Trudno było w to uwierzyć.

Mówił o tym, jak niezwykle podobieństwo Marisy do matki spowodowało, że patrzenie na nią sprawiało mu ból. Dlatego też po śmierci żony kazał zniszczyć wszystkie jej portrety.

Marisa tak bardzo przypominała mu ukochaną żonę, że każda próba bliższego kontaktu zabierała mu spokój.

- Dlaczego pan jej tego nie powiedział? - zauważył ksiązę z gniewem. - Mógłby pan choćby napisać list, co byłoby o wiele lepszym wyjściem niż sposób, w jaki pan ją traktował!

- Ksiązę ma rację - przyznał Winther przerywanym głosem.

- Mam nadzieję, milordzie, że zdobędzie się pan teraz na odwagę, aby to zrobić. Oby nie było za późno!

Marisa usłyszała kroki - ktoś wychodził z sypialni. Uchyliła oczy, to był jej ojciec.

W pokoju panowała cisza, czuła jednak, że Deverell pozostał przy jej łóżku.

- Kocham cię, mój miły giermku. Muszę ci to powiedzieć, chociaż mnie nie słyszysz. Wyzdrowiej, moja ukochana, wtedy powiem ci to znowu, jeśli mi pozwolisz.

Marisa czuła, jak delikatnie odgarnia jej włosy z czoła.

- Tylko nie waż się umrzeć, moje najdroższe pachole.

Ksiązę płakał.

- Jeśli nie będziesz chciała mnie już widzieć... zniosę i to...
- szeptał. - Tylko nie umieraj!

Marisa nie mogła już się opanować. Musi się odezwać, bez względu na to, co on pomyśli o tym, że udawała śpiącą i podsłuchiwała. Nawet gdyby miał się na nią rozgniewać.

Łzy spływały jej po policzkach.

- Jeśli obiecuję ci, że nie umrę, książatko – powiedziała cicho -jeśli obiecuję ci, że będę cię kochać przez całe życie, czy ożenisz się ze mną?

Koniec listopada, pałac

- Mam nadzieję, że nie jestem zbyt kompromitującą narzeczoną, wasza królewska mość - powiedziała Marisa do królowej przy śniadaniu - która może obrazić delikatne uczucia Prinny'ego i innych gości z Anglii. Dowiedziałam się, że w Londynie mam już przydomek Księżniczka Baravii w Spodniach.

- Bzdura. - Sophia roześmiała się. - Prinny ma słabość do pięknych kobiet. Jego książęca mość będzie cię uwielbiał.

- Madame, jego książęca mość już ją uwielbia – odezwał się Deverell, wchodząc do pokoju.

- Rozmawialiśmy o regencji, mój drogi – powiedziała królowa.

Deverell pocałował narzeczoną w czoło.

- Tęskniłem za tobą - szepnął.

- Prinny ma prawo uwielbiać Marisę, ale z odpowiedniej odległości - dodał, całując matkę w policzek. - Jak się pani czuje, madame?

- Tak samo, jak wczoraj rano, kiedy mnie o to pytałeś - powiedziała królowa. - Powiem to samo królowi, kiedy się

pojawi. Wiesz, Mariso - zwróciła się z uśmiechem do swojej przyszłej synowej - mężczyźni zawsze robią niepotrzebne zamieszanie wokół kobiet w poważnym stanie.

- Co innego nam pozostało w tej sytuacji?- wtrącił Deverell. - Mówię o dziewięciu miesiącach oczekiwania, a nie o naszym początkowym...

- Deverell! - skarciła go królowa. - Jesteś w towarzystwie dam!

Marisa zarumieniła się. Ta sytuacja dostarczała księciu przewrotnej uciechy. Królowa zaczęła domagać się, aby traktować byłego kapitana Gwardii Konnej z honorami należnymi prawdziwej damie. Od momentu, kiedy Deverell oświadczył się formalnie o rękę Marisy i Lancet przyjął jego oświadczyzny ze łzami w oczach, królowa wkroczyła do akcji i wzięła w swoje ręce obronę dobrego imienia narzeczonej następcy tronu. Biada temu, kto by się ośmielił zakwestionować jej reputację!

- Jak się ma sierżant O'Reilly? - Marisa zwróciła się do Deverella.

Po haniebnym odwrocie Napoleona spod Moskwy O'Reilly stwierdził, że wojna przestała być zabawna, i wycofał się ze służby.

Wellington stracił specjalistę od musztry i zasugerował w liście do Ruperta, że ten Irlandczyk mógłby zająć się teraz szkoleniem bojowym Gwardii Konnej, w sytuacji kiedy

pewna dama odzyskała rozum i zrezygnowała ze swojej funkcji. Ta propozycja była oczywiście żartem, ze względu na wiek O'Reilly'ego, który był co najmniej dwa razy starszy od każdego z gwardzistów.

List ten dał Rupertowi do myślenia. Ze słów Deverella, który wreszcie wtajemniczył ojca w fortel księcia Hala - a nie była to przyjemna rozmowa! - wynikało, że O'Reilly oddał Baravii duże usługi. Postanowił odznaczyć Irlandczyka Wielkim Krzyżem Zasługi, najwyższym wojskowym odznaczeniem Baravii dla cudzoziemców. Quince, Deverell i Marisa mieli być odznaczeni Orderem za Ofiarną Służbę, który był najwyższym wojskowym odznaczeniem dla obywateli Baravii.

Ceremonia odznaczeń miała się odbyć za dwa dni. Deverell został wysłany na spotkanie sierżanta, z poleceniem, aby przyprowadził go przed oblicze króla.

- O'Reilly - powiedział Deverell - był jeszcze bardziej czarujący niż zazwyczaj. Jego królewska mość był nim zachwycony.

- Dlatego też - skomentowała uszczypliwie Sophia - jego królewska mość nie pojawił się na śniadaniu.

Marisa i Deverell roześmiali się. Rupert przeważnie wstawał bardzo wcześnie.

- Zapewniam panią, *madame* - powiedział Deverell - że jego królewska mość nie nadużywał napitków. Meerston

polecił mi mieć pieczę nad królem i świetnie wywiązałem się z tego zadania.

- Zbyt świetnie - zauważył Rupert, wchodząc do pokoju.

- Jak się pani dziś czuje, madame? - spytał król, całując żonę w czoło.

- Słyszycie? - królowa zwróciła się do Deverella i Marisy, upewniając jednocześnie małżonka, że czuje się świetnie.

- Może to i dobrze, że czuwałeś nade mną - powiedział król do syna. - Ten Irlandczyk spił Garricka do nieprzytomności.

- Quince'a! - wykrzyknęła królowa. - Znam go i wiem, że on nigdy nie nadużywał trunków.

- Ale on był w towarzystwie O'Reilly'ego. - Deverell roześmiał się.

- Czy Garrick jeszcze śpi? - Marisa zwróciła się do narzeczonego.

Królowa, w trosce o wymogi przyzwoitości, zdecydowała, że do czasu ślubu księżę nie powinien mieszkać w pałacu. Marisa musiała tu zostać, dopóki jej rany całkowicie się nie wygoją, poza tym królowa chciała ją mieć blisko siebie, aby móc układać plany uroczystości weselnej. Deverell i Marisa nie byli zachwyceni tym przymusowym celibatem, jednak królowa była niewzruszona. Deverell mieszkał teraz, razem z Garrickiem, w koszarach.

- On i O'Reilly powoli wstają - poinformował Deverell Marisę. - Będziesz miała niespodziankę.

- Niespodziankę?

- Prezent ślubny od O'Reilly'ego. - Deverell uśmiechnął się. - Chce ci go wręczyć już teraz. Może weźmiemy Achillesa i Mustafę i przejedziemy się trochę?

Były to ich jedyne chwile samotności. Chociaż Sophia nalegała, aby towarzyszyli im chłopcy stajenni, można ich było trzymać z daleka.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Marisa.

Pół godziny później byli już w odległości kilku mil od pałacu. W dębowym zagajniku zsiadli z koni. Deverell chwycił ją w ramiona.

- Jeszcze dwa tygodnie -jęknął. - Przekłete dwa tygodnie do tego cholernego ślubu, a ja szaleję z pożądania!

Pieścił jej piersi, na ile pozwalał mu na to jej strój do konnej jazdy. Marisa zadrzała ponownie, kiedy zaczął całować Jej szyję.

- Dev... chłopcy stajenni...

- Niech ich szlag trafi - mruknął, całując ją w czoło, aby na koniec wziąć w posiadanie jej usta. - Dobry Boże - powiedział po chwili - to wpędzi mnie do grobu.

- Może jej królewska mość ma jednak rację... – zaczęła Marisa. - Nie mówię o przymusowym celibacie – dodała

szybko, widząc jego zdziwione spojrzenie - ale może mieć rację, nie dając nam okazji do tego, co robimy teraz.

- Hm - mruknął tylko. - Czy niczego nie żałujesz? - spytał po chwili.

- Nie, mój ukochany - powiedziała.

Marisa wiedziała, że on myśli o jej postanowieniu odejścia z gwardii.

- Twój nadgarstek, mimo przewidywań Meerstona, jest w bardzo dobrym stanie - mówił Deverell. - Mój ojciec i gwardziści pozostawiają ci wolny wybór. Jesteś jedyną osobą w historii naszego kraju, która została dożywotnio mianowana honorowym kapitanem Królewskiej Gwardii Konnej. Wiem jednak, że gwardziści z radością powitają cię w swoich szeregach i będziesz mogła zapomnieć o honorowym tytule.

Marisa spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

- Mam dość wojny i zabijania. Wybrałam drogę, którą już dawno mi wskazywałeś. Wybrałam życie.

- Kocham cię, mój giermku.

- Kocham cię, mój księżę.

- Ruszajmy - powiedział Deverell. - O'Reilly i jego prezent czekają na ciebie.

Po dwudziestu minutach byli w stajni i witali się z uśmiechniętym byłym sierżantem.

- *Ello*, Georgie - rozległ się głos, którego nie spodziewała się już nigdy usłyszeć.

- Maisie! - zawołała, chwytając przyjaciółkę w objęcia.
- To nie jest Georgie, to jest lady Marisa - usłyszała.
- Harriet! - Marisa krzyknęła z radości.
- Ciekaw jestem, jak by sobie matka poradziła z zachowaniem pozorów przyzwoitości, gdyby wiedziała, kim one są - powiedział z uśmiechem Deverell do O'Reilly'ego.

Epilog

- Jesteś szczęśliwy, mój giemku? - spytał Deverell.

Bawił się pasmem jej włosów, dotykając drugą ręką piersi, której ciemniejąca brodawka dowodziła, że Marisa nosi dziecko w łonie.

- Niewypowiedzianie szczęśliwa - szepnęła, przeciągając się w łóżku.

Pragnęła go znowu, chociaż nadal w niej był, a przed chwilą osiągnęli orgazm. Czuła wyraźnie, że jej mąż równie mocno jej pragnie.

- To dobrze - zamruczał - mam zamiar utrzymywać cię w tym stanie.

Po godzinie lub dłużej, ponieważ Marisa traciła rachubę czasu, kiedy Dev urzeczywistniał swój zamiar, leżeli objęci, cicho rozmawiając.

- A jeśli to będzie dziewczynka? - spytała Marisa, przesuwając dłonią po jego piersi.

- Zamówiłem już sobie dziewczynkę, która będzie podobna do swojej matki - powiedział, dotykając jej tam, gdzie najbardziej lubiła.

Dobrze poznał wszystkie te miejsca jej ciała - już od kilku miesięcy kochali się z pełnym zapamiętaniem.

- Nie zapominaj, że twoja żona jest w poważnym stanie - powiedziała ze śmiechem.

Zegar wybił jedenastą, przypominając im, że znowu nie zjawili się na śniadaniu z królem i królową.

- Jej królewska mość obdarzy nas znowu swoim słynnym spojrzeniem - powiedziała Marisa.

- Służba dowie się, że jej księżęca mość znowu jadła śniadanie w sypialni jego księżęcej mości - dodał Deverell.

- Oni już niczemu się nie dziwią. Zdażyli się przyzwyczaić do tego, że sypiam w jednym łóżku z moim mężem, jem śniadanie w jego sypialni i nawet kąpię się razem z nim.

- Słyszałem, jak marszałek dworu mówił, że można by zwolnić twoje osobiste pokojówki, ponieważ nie mają nic do roboty.

- Niechby tylko spróbował!

Harriet i Maisie były osobistymi pokojówkami Marisy, która zapewniła im wysoką pensję, nawet gdyby przestały pracować. Ale teraz chciała je mieć jeszcze przy sobie.

- Nieustraszony mały giermek! - powiedział, patrząc na jej groźną minę.

- Tak - odparła. - Kiedy trzeba bronić tych, których kocham.

Złożył na jej ustach czuły pocałunek.

- Dajesz mi więcej, niż mógłbym zamarzyć – powiedział cichym głosem. - Jesteś dla mnie prawdziwym uśmiechem losu, Mariso.

- Do nas wszystkich uśmiechnął się los - odparła.

Myślała nie tylko o nich dwojgu. Myślała również o królu i królowej, o swoim ojcu, który teraz otwarcie okazywał jej miłość, o wszystkich mieszkańcach ich maleńkiego królestwa, szczęśliwie ocalonych od zguby.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szybko wstali z łóżka i narzucili na siebie szlafroki.

- Przepraszam, wasze wysokości - powiedziała Maisie, z trudem łapiąc oddech. - Ale mam wspaniałą nowinę. Jej królewska mość urodziła bliźniaki - dwie zdrowe dziewczynki!

- Nie mówiłam ci? - Marisa zwróciła się do męża. - Do nas wszystkich uśmiechnął się los!